

N. ŻMICHOWSKA

# KWIATY RODZINNE

# KWIATY RODZINNE

# KWIATY RODZINNE

## WYBÓR POEZYI POLSKIEJ

UŁOŻONY PRZEZ

NARCYZĘ ŻMICHOWSKĄ

WYDANIE CZWARTE PRZEJRZANE
▫ I DOPEŁNIONE PRZEZ OR-OTA ▫

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA ═══ LUBLIN ═══ ŁÓDŹ
KRAKÓW ═══ G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK ▫ THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.
1912

Żeby zamierzony zbiór poezyi w charakterze ściśle albumowym utrzymać i od licznych innych wypisów go odróżnić, trzeba głęboko przejąć czytelników tem poczuciem, że jest tylko na upodobanie ich obliczony. Upodobanie zależy od wrażeń chwilowych, dlatego też intencyę wydawnictwa oznaczyć można, układając upominek na różne chwile życia, ażeby cel wskazać wyraźnie, a tem samem usprawiedliwić w dalszym ciągu zaprowadzony podział.

Podział albowiem jakikolwiek, w jakiemkolwiek dziełku jest zawsze równie potrzebny, jak mniej lub więcej symetryczne ustawienie sprzętów w salonie, pokoju czy izbie. Kilkanaście arkuszy, choćby samych najpiękniejszych utworów bez ładu, razem, w jedną książkę zebranych, zawsze robi niemiłe wrażenie.

Przypominam sobie, że sama nigdy nie miałam cierpliwości podobnych kolekcyi od pierwszej do ostatniej kartki przerzucić, a widziałam, że inni z tego powodu nieraz wiele też rzeczy, istotną wartość nawet mających, przeoczali. Im

więcej się nagromadzi oderwanych ustępów, tem konieczniej właśnie ugrupować je odpowiednio do jakiego celu należy. Tutaj celem nie jest nauka, więc o żadnym naukowym, choćby bez nadpisu, podziale mówić nie warto. Pomijając wiele innych, na zewnętrznych warunkach, np. długości wyjątków, lub mierze rytmicznej opartych, sądzę, że najwłaściwszym będzie podział, zastosowany do zmienności usposobień duszy, w których przypuszczalnie poeci pisali, a czytelnicy odczytywać sobie lubią niektóre ich utwory. Dałoby się tym sposobem poodznaczać całe serye wierszy przeznaczonych:

I. Na chwile religijnego nastroju.

II. Na chwile wspomnień historycznych.

III. Na chwile poranne.

IV. Przy świetle słońca, trochę dydaktyki: na dnie powszednie, trochę opisów natury.

V. O zmroku, rozmyślania i psychologiczna liryka, pod kolorem tej chwili zdjęte niektóre krajobrazy.

VI. Koło północy, fantazye, ballady, strachy, legendy.

VII. Na chwile smutku.

VIII. Zapału i uniesienia.

IX. Żartu i ironii.

X. Głosy zniechęcenia.

XI. Rozpaczy.

XII. Nadziei.

Nie dość wszelako na tym porządku, chciałabym jeszcze, dla zapewnienia czytelnikom trochę rzeczywistej korzyści, dla przejęcia ich, o ile to możebnem się okaże, duchem poezyi całego narodu, zaprowadzić dość ściśle przestrzegany porządek w szeregowaniu autorów. Przedewszystkiem namyśliłam się, aby tylko autorów bieżącego stulecia podawać. Wybrane poezye, choćby z najwięcej upowszechnionych autorów, powinny być jak najmniej właśnie przez powszednie wypisy spowszechnione, o ile się da mniej znane od umianych na pamięć. Obok nich dopiero trzeba stawiać jak najwięcej m n i e j znanych poetów i jak najwięcej pięknych a mało znanych poezyi. Na to pod ręką dobrze mieć zebrane różne albumy, dawniej wyszłe, efemeryczne dziełka Romanowskiego, Jabłońskiego i t. p., a gdyby i wychodzące między 1836 a 1850 rokiem w różnych stronach z literackim czysto charakterem pisma jakie peryodyczne — byłoby to odnalezieniem prawdziwie złotodajnej żyły. Wiem, że trudno się dzisiaj z temi rzeczami spotykać, ale ostatecznie niepodobieństwo jeszcze nie zapadło. Z pomocą czasu i stosunków trudności dadzą się usunąć.

*Narcyza Żmichowska.*

Warszawa, dnia 6 lipca 1875 r.

(Dyktowane na parę dni przed zgonem).

Staraliśmy się w tym albumowym zbiorku wiernie zastosować do jego tytułu i z głosów poetów naszych dopożyczyć tej nuty ogólnej, która w różnych godzinach życia, różnie, choć ze wszystkich stron kraju podobnie się odzywa. W ciągu życia nabyliśmy przekonania, że dźwięk ten spływał się zawsze harmonijnie, a jednak teraz, gdy przyszło zbierać najwybitniejsze utwory znakomitszych pisarzy, okazało się ogromne bankructwo, gdyż z tych wszystkich pieśni tyle nieledwie zaginęło, ile ich uratowanemi zostało. W tem, cośmy tu wybrali, brakuje nam jeszcze mnóstwo takich, które dla nas osobiście wiele miały uroku i wdzięku: druk ich zaginął, a pamięć nie zachowała...

*Gabriella.*

Warszawa, dnia 22 grudnia 1876 r.

Ś. p. Narcyza Żmichowska, przyjąwszy zobowiązanie wydania albumu poezyi polskich, wzięła się gorliwie do odszukania tych utworów, które żywiej przemawiały do jej duszy. W wypełnieniu jednak dosłownem zamierzonego planu spotkała się z nieprzepartemi trudnościami, po-

nieważ Spółka Wydawnicza nie mogła jej dostarczyć potrzebnych źródeł — z tego też powodu piękny i szeroki program został spełnionym w nieco ciaśniejszych ramach, niż był pierwej obmyślany. Gdy niemoc coraz więcej ogarniać ją zaczęła, wśród ostatecznych cierpień przywołała trzymającą w niniejszej pracy pióro, podyktowała ostatnie swoje słowa do czytelników i wskazała, jakich utworów jeszcze szukać i gdzie je umieścić należy.

Zakres niniejszego zbiorku pomijał zupełnie jej własne poezye — powodowana uczuciem autorskiej skromności, miała zamiar nie umieścić żadnego ze swoich utworów. Gdy jednak książka ta ma być oddaną czytelnikom już po jej zgonie, a zatem, skoro nikt już o próżność pomówić zmarłej nie może, ośmielamy się dołączyć tu kilka z mniej znanych jej poezyi, sądząc, żecałości szkody nie przyniosą, a stanowić będąraczej jeden nieodzowny ton w ogólnej harmonii tej pieśni, o której w przededniu śmierci jeszcze duch jej marzył — której słuchał w przestrzeni.

*Marya B.*

# I.

# BOŻE NARODZENIE.

Bezbrzeżne czasu obiedwie otchłanie,
Początku otchłań ku otchłani końca,
Grzmiały od wschodu do zachodu słońca,
W nocy, jak we dnie grzmiały: »Ojcze Panie!
Kiedyż Twój święty Duch znijdzie na ziemię
Rodziców grzesznych rozradować plemię?

Jęk przeraźliwy, rozciągły, sierocy,
Przez wieki wieków nawoływał Ducha;
Drżał w sercu ludzkiem, a nie szedł do ucha;
Wieść jeno cichą chwytali prorocy,
Zwycięzcy ciała, postem wynękani,
Z puszcz pobrzmiewali za jękiem otchłani:

»Raduj się, ziemio! hozanna! hozanna!
Pan Odkupiciel — Emmanuel idzie.
Nasienie Boże w Jakóbie! Dawidzie!
Niepokalana, Przenajświętsza Panna,
Ewa Królowa, nastąpi na węża!
Słowo staje się ciałem i zwycięża!

Błogosławionaś zaprawdę, Niewiasto,
Między niewiasty jaśniejąca wieńcem:

Albowiem święty Duch Twym oblubieńcem!
Drobne Betleem, niepoślednieś miasto
Między miastami! Ujrzysz wielkie rzeczy:
Bowiem mieszkańcem twoim Syn człowieczy!

Uderzmyż czołem, godów uczestnicy!
Świętych proroków iszczą się nam słowa:
Syn Boży z nami; wieść Gabryelowa,
Oto ów Owoc Żywota Dziewicy;
Lilija biała, wonna Betleemu
Służy Dzieciątku i Panu swojemu!

I Ojciec z Nieba świeci różdżką cudów,
Wielka rumieńcem zapłoniona Zorza
Zwiastuje blaskiem na wszech ziem przestworza,
Że się narodził Pan wieków i ludów:
Stolica jego niepyszna lepianka;
Król królów w żłobku — i na garści sianka.

Śpieszą pod jasnej przewodnictwem zorzy,
Sercem skłonieni ku najczystszej Wierze:
Lud ubożuchny, prostacy, pasterze;
I śpieszą zdala — pokłonić się skorzy,
Z mirrą i złotem — żyjący duchowie,
Trzej święci mędrcy, jako Trzej Królowie.

Gotuje Herod wyrok swój zbrodniczy,
Złość stu kolcami wskróś duszy mu bodzie:
Spełnienie proroctw! Nowy król w narodzie!
Gdzieś — jakieś Dziecko — co go wydziedziczy!
Kłaczystą brodę targa i szaleje.
Pustoszą jego katy Galileję.

Słychać głos w Rhamie. Straszny jęk niewieści
Najdalszy kraju odbija zakątek,

Pomordowanych swoich niewiniątek
Żałują matki w niezmiernej boleści,
We dnie i w nocy z mokremi oczyma,
Niepocieszone, przeto że ich niema.

Ojciec bluźniącym dobrodziejstwo czyni,
Pieści na łonie rówieśników Syna!
»Prostujcie ścieżki!« — Jan już upomina;
Poprzednik mistrza tęskni ku pustyni.
Mistrz z matką swoją daleko na chwili
Czeka, aż pomrą, którzy nań godzili.

Obiedwie czasu bezbrzeżne otchłanie,
Jako rozjęte po modlitwie ręce,
Klaszczą ku sobie roznośniej w podzięce.
Tysiąc pokoleń woła: »Ojcze! Panie!
W Synu my Twoim radujem się wielce.
Niech nas obdzieli krwią swą po kropelce!«

»Arka wypada z domu Izraela«
Synowie jęcząc błądzą rozproszeni:
Czcicielów sobie Pan wzbudza z kamieni,
Któryż z narodów upodoba wiela,
Kędy sercami, usty i pokłony,
Aż do dnia Sądu — będzie uwielbiony?

*Bohdan Zaleski.*

# ROZMOWA WIECZORNA.

## I.

Z Tobą ja gadam, co królujesz w niebie,
A razem gościsz w domku mego ducha;
Gdy północ wszystko w ciemnościach zagrzebie,
I czuwa tylko zgryzota i skrucha,
Z Tobą ja gadam! Słów nie mam dla Ciebie:
Myśl Twoja każdej myśli mej wysłucha;
Najdalej władasz, i służysz w pobliżu,
Król na niebiosach, w sercu mem, na krzyżu!

I każda dobra myśl jak promień wraca
Znowu do Ciebie, do źródła, do słońca,
I nazad płynąc znowu mnie ozłaca,
Śle blask, blask biorę i blask mam za gońca.
I każda dobra chęć Ciebie wzbogaca,
I znowu za nią płacisz mi bez końca:
Jak Ty na Niebie, Twój sługa, Twe dziecię
Niech się tak cieszy, tak błyszczy na świecie.

Tyś król! o cuda! i Tyś mój poddany!
Każda myśl podła, jako włócznia nowa,
Otwiera Twoje niezgojone rany,
I każda chęć zła, jak gąbka octowa,
Którą do ust Twych zbliżam zagniewany,
Póki Cię moja złość w grobie nie schowa.
Cierpisz, jak sługa panu zaprzedany;
Jak Ty na Krzyżu, Twój pan, Twoje dziecię,
Niechaj tak cierpi i kocha na świecie!

## II.

Kiedym bliźniemu odsłonił myśl chorą
I wątpliwości raka, co ją toczy:
Zły wnet ucieczką ratował się skorą,
Dobry zapłakał, lecz odwrócił oczy.
Lekarzu wielki! Ty najlepiej widzisz
Chorobę moją, a mną się nie brzydzisz!

Gdym wobec bliźnich dobył z głębi duszy
Głos przeraźliwszy niźli jęk cierpienia,
Głos wiecznie grzmiący w piekielnej katuszy,
Cichy na ziemi, głos złego sumienia:
Sędzio straszliwy! Tyś ognie rozdmuchał
Sumieniu złemu — a Tyś mnie wysłuchał.

## III.

Gdy mię spokojnym zowią dzieci świata,
Burzliwą duszę kryję przed ich okiem,
I obojętna duma, jak mgły szata,
Wnętrzne pioruny pozłaca obłokiem;
I tylko w nocy, cicho, na Twe łono
Wylewam burzę, we łzy roztopioną.

*Adam Mickiewicz.*

# ARCY-MISTRZ.

Jest Mistrz, co wszystkie duchy wziął do chóru
I wszystkie serca nastroił do wtóru,
Wszystkie żywioły naciągnął jak struny,
A wodząc po nich wichry i pioruny,
Jedną pieśń śpiewa i gra od początku:
A świat dotychczas nie pojął jej wątku.

Mistrz, co malował na niebios błękicie,
I malowidła odbił na tle fali,
Kolosów wzory rzezał na gór szczycie,
I w głębi ziemi odlał je z metali:
A świat przez tyle wieków, z dzieł tak wiela,
Nie pojął jednej myśli tworzyciela.

Jest Mistrz wymowy, co bożą potęgę
W niewielu słowach objawił przed ludem,
I całą swoich myśli i dzieł księgę
Sam wytłómaczył głosem, czynem, cudem.
Dotąd Mistrz nazbyt wielkim był dla świata;
Dziś świat Nim gardzi — poznawszy w Nim brata.

Sztukmistrzu ziemski, czem są Twe obrazy,
Czem są Twe rzeźby i Twoje wyrazy?
A Ty się skarżysz, że ktoś w braci tłumie
Twych myśli i mów i dzieł nie rozumie?
Spojrzyj na Mistrza i cierp, Boży Synu
Nieznany, albo wzgardzony od gminu.

*Adam Mickiewicz.*

# UŁAMEK NAŚLADOWANY Z GLOSSY ŚW. TERESY.

Przed życiem czuję, nie przed śmiercią trwogę,
Bo takie światy widzę tam przed sobą,
Że mi ten ziemski grobową żałobą —
I tem umieram — że umrzeć nie mogę!

Umrzeć lub cierpieć! — a cierpieć bez miary!
Bo mnie się z Tobą trza zlać w Twojem niebie,
Lub gdy nie można — żyć w piekle dla Ciebie.
Ślij mi więc męki jak niebieskie dary!
Im sroższe będą, tem mi więcej błogie —
Ja przed spokojem tylko czuję trwogę
I tem umieram, że umrzeć nie mogę!
Jedynej ulgi na moje męczarnie,
— A jedna tylko i Śmierć się nazywa —
Śmierci dać sobie nie zdołam bezkarnie!
O, bardzom, Panie, bardzom nieszczęśliwa!
Tę jedną szczęścia Tyś zamknął mi drogę
I tem umieram, że umrzeć nie mogę!

Czasem Cię tylko widuję w widzeniu,
Lecz Ty nie raczysz długo ze mną zostać,
Wnet niknie Bożo-człowiecza Twa postać
I w gorszem jeszcze konam znicestwieniu!
— Przed chwilą byłam w Wieczności rozlana —
— Nikt nie rozeznałby sługi od Pana —
Ty, Bóg, Ty dla mnie stawałeś się mały,
A ze mnie małej wyrastał Bóg cały!
Tyś się zamykał w mem sercu, jak w grobie —
— Jam się jak Bezmiar szerzyła ku Tobie!

Przez nieskończonej Łaski zezwolenie
Stwórca przechodził na chwilę w stworzenie,
Stworzenie w Stwórcę, przez jedno westchnienie.

Mnie już tak było jakby po pogrzebie —
Bez ciała byłam na ziemi i niebie.
Na wieki z Tobą — przy Tobie — u Ciebie!
W twarz Ci patrzałam — ale nie oczyma —
Bo na to wzroku ócz śmiertelnych niema.
Głos Twój słyszałam, lecz nie ziemskim słuchem,
Wszystkom widziała i słyszała — duchem!
A jednak, Panie, Tyś jaśniał przede mną
Jakby słońc słońce, w którem kształt człowieka!
Ach! światło dzienne nocą wiecznie ciemną
Przy tym promieniu, co z Twych skroni ścieka.
— Choć nie cielesny — widomszy niż ciało —
I słowo każde, co z ust Twych spływało,
Dźwiękiem dźwięczniejszym, niż dźwięk ssan przez uszy,
Niebrzmiące, brzmiało jak pieśń w mojej duszy!
I byłam z Tobą — oglądałam Ciebie —
Nie ukrytego w Przenajświętszym Chlebie,
Nie tajonego przesłonami cudu —
Lecz jakim bywasz śród aniołów ludu,
Tam, gdzie nad światem królujesz z Świętemi!
Takim Cię, takim, tu miałam, na ziemi!
— Lepiej od Świętych widziałam Cię Panie!
Bo silniej kocham, goręcej niż Oni!
— Już w domu wiecznym Tyś dał im mieszkanie —
A ja gdzie mieszkam? co mnie strzeże, broni?
Gdy mnie porzucasz, zostaję w rozpaczy —
Lecz ból i rozpacz, cóż to dla mnie znaczy?
Im bardziej tęsknię, tem kocham goręcej,
Im więcej męki, tem miłości więcej,
W tem piekle bożem Bożego kochania,
Gdzie Twa obecność mnie nawet rozrania —

Bo chwilą później Tyś znowu daleki,
I nim powracasz, upływają wieki!
Bez Boga mego — a z Boga wspomnieniem
Leżą na ziemi grobowym kamieniem —
A przed tym głazem mej niewzruszoności
Smutek przejada do szpiku me kości!
Żądam bez miary — miłuję bez granic —
Miłość i żądza nie zdały się na nic —
Zmienionam cała w jedno upragnienie,
Lecz Twojej woli w tych chwilach nie zmienię!
Pan nieśmiertelny nie zstąpi do sługi,
Aż kiedyś, kiedyś — znowu po raz drugi!
A mimo Twoją, o Ty mój, przestrogę,
Ja tem umieram, że umrzeć nie mogę!

Albo Ty myślisz, o Ty wiecznie żywy,
Że Ciebie kocham, za przyszłe nagrody,
Za obiecane w królestwie Twem gody;
Za palmy, harfy, i cuda i dziwy,
Za jakąkolwiekbądź w niebie zapłatę,
Którąbyś spłacił mi dni mych utratę?
Ja kocham Ciebie, żeś był nieszczęśliwy!
Że przebolałeś to wszystko, co boli,
Że zniosłeś wszystko, co tylko poniża,
Ty Bóg, w kajdanach cielesnej niewoli,
Ty Bóg, przez katów prowadzon do Krzyża!
Ja Ciebie kocham, że Cię o tej chwili
Niebo odbiegło i ludzie zdradzili!
Ja Ciebie kocham, żeś był przymuszony
Wołać do Ojca: »O, jam opuszczony!«
Ja Ciebie kocham za Twoje konanie
I za śmierć więcej niż za zmartwychwstanie!
Bo mi się zdaje, że Ty Zmartwychwstały
Nie tyle biednej potrzebujesz sługi;
Już wtedy służy Ci Twój wszechświat cały —

Stopą powietrzne przelatujesz smugi!
Lecz kiedy konasz, mnie się wiecznie zdaje,
Że wracam duchem w widziane już kraje,
Że oglądałam już wprzódy to wzgórze
I krzyż ten zbroczon w krwi Twojej purpurze,
Że Magdalena, ta święta, Twa miła,
Co tam tak jęczy — to jam chyba była!
Bo w sercu mojem jej serce mi płacze,
Bo drżą mi w oczach wszystkie łzy jej oka,
I rozpacz moja, tak straszna, głęboka,
Że być nie mogą dwie takie rozpacze!
Nie, ona Ciebie więcej nie kochała —
Ja wiem, że ona wielka, a ja mała,
Bom mniej czynami Tobie zasłużona —
Lecz więcej Ciebie nie kochała ona!
Jakżeż to będzie, mój Panie, mój Boże?
Jakżeż rozdzielić sądem Salomona
Tę jedną miłość między te dwa łona?
— Bo dwóch miłości być takich nie może!

— Nie — Ciebie więcej nie kochała ona!
Raz tylko w życiu na Golgockim pyle
Leżała w płaczu, krwią Twoją zroszona —
Raz jeden tylko — a ja razy tyle!
Bo co noc prawie dla mnie się odtwarza
Kalwaryjskiego przytomność cmentarza;
I z poza wieków upłynionych tyla
Wraca ta do mnie zobecniona chwila,
W której śród Niebios i ziemi zaćmienia
Zmarł Wszechstworzyciel wobec wszechstworzenia!
Aż padnie z zorzą pierwszy promień dzienny,
Widuję w celi tej krzyż Twój męczenny
I na tem drzewie oglądam Twe ciało
Ostatkiem światła jeszcze tlące biało,
Gdy wszystko wokół, jak w grobie, sczerniało!

Ty i ja, Panie — nikt więcej — my sami —
Tak blizcy siebie, a tak rozdzieleni,
Bo ja tu w dole pod Twemi stopami,
A Ty nade mną, w tej strasznej przestrzeni,
Do kłód tych z cedru przybity gwoździami!
Zrazu ja klęczę w milczeniu — a cała
Drgająca ciałem od mąk Twego ciała,
Kolcują w skroniach mi kolce Twych skroni,
Rwą mnie w mych dłoniach żelezca Twych dłoni,
W boku mnie szarpie boku Twego rana
I choć tum w dole, takem z Tobą zlana,
Żem z Tobą w górze tam ukrzyżowana!

*Zygmunt Krasiński.*

---

## CHRYSTE, O CHRYSTE!

Z barłogu mego, z czarnej nędz otchłani
Do Ciebie wołam krwawym serca płaczem,
Jako żeglarze wichrami chłostani,
Jako pielgrzymi w zbłąkaniu tułaczem —
Z głębi mej duszy w przestwory gwiaździste
Do Ciebie wołam krwawym serca płaczem
Chryste, o Chryste!

I choć przesytem zmącone aż do dna,
Serce ku Tobie drży i Ciebie pragnie,
Jak ta spragniona rosy lilia wodna,
Co, łodygami grzęznąc w mętnem bagnie,
Twarz tęskną zwraca na zorze ogniste —
Serce ku Tobie drży i Ciebie pragnie,
Chryste, o Chryste!

Krom Ciebie niebo i ziemia mi zbrzydły,
    Ty jeden koisz smutki dusz sieroce,
Więc jak ptak błędny z podartemi skrzydły,
Do nóg twych padłszy, duch mój się trzepoce
I wznosi na Cię oczy bólem szkliste...
    Ty jeden koisz smutki dusz sieroce,
        Chryste, o Chryste!

Usta do stóp twych przebitych przyłożę,
    Słodki twych oczu spokój mnie ogarnie —
Znękany jestem, w nadchmurne przestworze
Rwałem się myślą i spadałem marnie,
Ścigałem ziemskich złud ogniki mgliste —
    Słodki twych oczu spokój mnie ogarnie,
        Chryste, o Chryste!

Chwytam się Ciebie rękoma drżącemi,
    Nie daj mi zginąć w ciemnościach bezbrzeżnych!
Prochem jest ziemia, a jam prochem ziemi,
Lecz mnie nie strącaj z bieli szat swych śnieżnych —
Stwórz we wnętrznościach moich serce czyste,
    Nie daj mi zginąć w ciemnościach bezbrzeżnych!
        Chryste, o Chryste!

Jam kwiat więdnący na życia łodydze,
    Weź mnie do Siebie, bom już pójść stąd gotów,
Dość mi obłędów, które wkoło widzę,
Dość mi już własnych upadków i wzlotów,
Weź mnie na ciszy łono wiekuiste,
    Weź mnie do Siebie, bom już pójść stąd gotów,
        Chryste, o Chryste!

*Lucyan Rydel.*

# WESTCHNIENIE DO BOGA.

O Boże! ja w Ciebie wierzę,
Ja Ciebie kocham, o Boże!
Jabym tak chciał kochać Ciebie,
Kochać i wierzyć tak szczerze,
I z taką siłą, jak tylko ten może,
Komubyś zdarzył być chwilę w Twem niebie.

Od Ciebie tylko w tej chwili
Pełność mej wiary zależna —
Tobie dar taki jest niczem —
Daj mi go! Oto do Twych stóp się chyli,
Pada przed Tobą pokutnem obliczem:
Dopełnij mojej miłości i wiary!

Jam nigdy nie wchodził w sprzeczkę,
Że co mam tylko, to są Twoje dary.
Ja zawsze widzę Twoją cząsteczkę —
W każdem uczuciu mego istnienia,
Uznaję siłę Twego ramienia.
Za każdą rozkosz sumienia
Wielbię Twą dobroć jedynie;
Czuję Ciebie w każdej cnocie,

W każdym wieszczego natchnienia polocie.
Alebym pragnął jaśniej, wznioślej, szczerzej
Czuć, kochać, wierzyć — pragnąłbym bez miary.
Dopełnij mojej miłości i wiary!

Podnieś lot mej duszy wyżej,
Postaw mię przy sobie bliżej,
Zabłyśnij mi choć na chwilę,

Choć jedną iskrą Twoją Wszechświęty!
A ostatnią moc wysilę,
Choćbym miał zdeptać nogami
Najkosztowniejsze ziemskie ponęty,
Stargać tę wstęgę, co serce wiąże
Z najdroższemi sercami, miejscami.

Choćby natomiast to ciało
Trupem ze mnie opaść miało,
Pójdę do Ciebie, podążę:
Byle tylko to sumienie,
Które tak Ciebie przeczuwa, zgadywa,
Byle ta dusza, co tak niecierpliwa
Puka ku Tobie w podniebne sklepienie,
Stanęły rychlej przed Twoim tronem,
Ujrzały Ciebie okiem bez plam nocy
I uderzyły wiecznym pokłonem
Twojej po trzykroć Świętej Wszechmocy.

*Rok 1836.* *S. Goszczyński.*

## PSALM TĘSKNOTY.

Luce intelletual piena d'amore,
Amore e vero ben pien di letizia,
Letizia che trascende ogni doleore..
*(Dante — Paradiso. — XXX).*

### I.

Próżno, szukając Cię, wytężam oko,
Próżno ku Tobie ślę myśli w przestworze...

Tyś tak daleko, Panie — tak wysoko,
Że myśl Cię moja doścignąć nie może,
I — daremnemi utrudzona wzloty —
Wraca znów ragnień pełna i tęsknoty!

II.

Wierzyłem niegdy, żeś pasterzem światów
I wodzisz słońca, niby owiec stada,
Brodzące wpośród maków i bławatów —
Więc słońc pytałem: »Gdzie jest ten, co włada
Trzodą gwiazd mlecznych i którego prawo
Iskrzącą światów zarządza kurzawą?...«

Lecz myśl człowiecza Twych dróg nie przenika...
Milczeniem strop mi gwiezdny odpowiadał,
A kiedym wiedzę wziął za przewodnika
I ustrój światów przy świetle jej badał,
To, co je trzyma i co w bezmiar żenie,
Znalazłem tylko — liczbę i ciążenie!...

*

Skryłeś się, Panie, we mgłach przed mem okiem!
Nie pokazały mi Twego oblicza
Dzieje, płynące łez i krwi potokiem
W blasku łun, które nieci dłoń zbrodnicza,
I we mgle dymu, co Twe niebo mroczy,
Kiedy ku Tobie chcemy podnieść oczy.

I nie objawił mi Cię, wielki Boże,
Ten świat, którego nędza i brzydota
Wyrazem myśli Twojej być nie może,
Ani to życie, co się tam szamota
Na znikomości toniach — słoma krucha,
A jest ciał męką i strapieniem ducha!...

Szumiały u stóp moich ludzkie fale,
W ciężkiej żywota szamocąc się męce...
Rozpaczne bóle, beznadziejne żale
Na własnych piersiach zakrwawiały ręce —
I morze jęków o chmurny strop biło,
Wołając: »Ojcze!« — a Ciebie nie było!...

Nie było Ciebie! — boś krzyżową drogą
Iść nam rozkazał przez dzikie ostępy,
Gdzie ostre głazy potrącamy nogą,
A serc na cierniach zostawiamy strzępy,
O twych zamiarach wiedząc jeno tyle,
Żeś nam kres drogi naznaczył w mogile.

Nie było Ciebie! — boś nam myśl do rojeń
Nastroił, których pragnienia nas drażnią,
A nie zaznają w tem życiu ukojeń...
Boś nas zostawił sam na sam z bojaźnią,
Trwogą zwątliwszy nam strapione duchy,
I przerażonych odszedł bez otuchy...

Nie było Ciebie w tej okropnej chwili,
Cięższej żyjącym niż życia uciski —
Kiedy nerw każdy wzdryga się i kwili,
Czując nad sobą tchnienie śmierci blizkiej,
I — zjęty lękiem podmogilnej głuszy,
Woła: »Żyć! — choćby za cenę katuszy!...«

Nie było Ciebie! — I jadem łez soli
Karmieni co dnia od żywota świtu.
Gdy śmierć nas wiedzie ku nieznanej doli,
Przed okropnością stajemy niebytu
I wylewamy łzy krwawe, znękani,
Płacząc, jak płakał Chrystus w Ghetsemani!..

## III.

Więc się kruszyła wiara dawna we mnie,
Że nad lichemi oko masz pisklęty,
Na smętne ścieżki wątpienia zepchnięty
I chmurny dziełu przyganiając Twemu.

Że z cierpień tkane jest — wołałem: — »Czemu?...«
I przyzywając wiedzę — troską blady,
Rzekłem jej: — »Wiedzo, cel mi bytu powiedz!
Czemu twe twory niszczy Światowłady?...
Czemu je bólem osaczył, jak łowiec,
Gdy lwa jaskinię otacza zarzewiem?...« —
A wiedza na to mi odparła: — »Nie wiem!...«

*

— »Życie — mówiła — jest objawem ruchu,
Co nieświadomie dał światu początek
I z pra-mgławicy w rozwoju łańcuchu
Dobył i snuje wszystkich rzeczy wątek,
I działa siłą kolejnych wytężeń:
Skupień początków i zgonów rozprzężeń!

»Miryady słońc już i światów miryady
Doznały na tym warsztacie rozbicia...
Nowych tysiące wzeszły — z ich zagłady
Wziąwszy początek znikomego życia,
I obok siebie wirują w bezmiarze
Kolebki światów — i światów cmentarze...

»Ruch ten, w zaklętym wirujący kole,
Sam sobie środkiem jest razem i celem...
I — przędąc tworów dolę i niedolę —
Losy przeplata bólem lub weselem
Trawkom — i muszkom — i ludziom — i światom
Sprawca wszech rzeczy — nieświadomy atom!...

»Ty sam, twój smutek, boleść lub uciecha,
To, co zatruwa życie lub upiększa,
Co płacze w tobie i co się uśmiecha —
Wszystko to jeno mniejsza albo większa
Szybkość atomów twej cielesnej gliny,
Warunkująca twe myśli i czyny«.

— »Lecz gdzież jest Stwórca? — zawołałem drżący —
Kto prochów wiru pierwszą jest przyczyną?...
Kto je w ruch puścił?... Jest-że ktoś, stojący
Poza tą światów wirujących gliną
Oczom ukryty, jak za ogniokrzewem?...« —
A ona znowu mi odparła: — »Nie wiem...«

*

Wtedy mnie porwał ten huragan szlochów,
Co się dobywał z tego łez padołu,
Brzemienny skargą uciśnionych prochów,
I z łkaniem duchów zmieszany pospołu.
Wnikał mi w duszę — na wskroś ją przewiewał
I roztkliwioną do buntu zagrzewał.

Wszystkie żywota bóle i rozpacze,
Codzienne troski, lęk bezsennych nocy,
Znękanie serca, co samotne płacze,
I żałość wdowia, i smutek sierocy
Powiały na mnie, niby zawierucha,
I aż do śmierci mi smęciły ducha...

I odczuwałem wszystek ból przyrody:
Tęsknotę ziemi, gdy ją noc zamroczy,
Ucisk strumienia, gdy go ścisną lody,
I boleść drzewa, kiedy czerw je toczy,
I mękę chmury, gdy ją grom rozdziera,
I lęk okropny zwierza, gdy umiera.

I w coraz grubszą zapadając żałość,
Dębił się we mnie umysł buntowniczy,
Że dolą świata boleść a nietrwałość;
Aż wreszcie zdzierżyć nie mogąc goryczy,
I skroń objąwszy rękoma obiema,
Ryknąłem, zdjęty zgrozą: — »Boga niema!...«

IV.

Na krzyk ten gwiazdy przerażone zbladły,
Całunem smutku zamroczywszy twarze,
I zmierzchło światło i w gruz się rozpadły
Prawdy i Dobra wysokie ołtarze —
Bo to, co światu płonie świętym Zniczem,
Bez Ciebie było pustym dźwiękiem — niczem!...

Wśród mroków, które ciemność rozpostarła,
Myśl, zestąpiwszy na ścieżki obłędne,
Próżno szukała, gdzieby się oparła,
Bo wszystko było znikome i względne,
I duszom ludzkim zabrakło oddechu
I schły w wątpieniu, jak przędza na blechu.

I uciśnięte tą straszliwą zmorą,
Mierzchło w gorzkości, co życie rozkwieca,
I rdza toczyła wolę mdłą i chorą,
I zgasła miłość, jak zdmuchnięta świeca,
I sprośne żądze, rzuciwszy swe pęta,
Siały gwałt — dziksze, niż dzikie zwierzęta!...

*

Więc straszno w świecie odbożonym było
Z tą myślą w duszy, że Ciebie już niema,
Że Twoje niebo jest tylko mogiłą,
Na której stopniach straż umarłych trzyma

Rój gwiazd, co, lampy tam paląc nadgrobne,
W czeluściach nocy czuwają — żałobne!...

I jak to ptaszę, gdy je sieć obmota,
Wpleciony w koło tego, co doczesne,
Snułem posępną nić mego żywota —
Miesiące próżne i noce bolesne!
I myśl się moja zwątpieniem oprzędła,
Jak gąsienica — i blakła i więdła.

I uciskała mnie gorzka świadomość,
Że się rozkłada duch, co we mnie gości,
I że się cały zapadam w znikomość,
Jako proch — w otchłań lecący nicości;
I usłyszałem nad sobą lamenty
Dantejskich chórów: — »Przeklęty!... Przeklęty!...«

*

Lecz Ty, o Panie, co znasz ludzkie serce,
Jako jest wątłe, gdy w bólach usycha,
Ty we mnie gonić nie będziesz bluźniercę,
Bo ty wiesz, że mną nie miotała pycha,
I Ty widziałeś, iżem, bluźniąc, szlochał,
Bom tęsknił, Panie! — bom cierpiał! — bom kochał!

Ty mnie nie będziesz ścigał zagniewany,
Żem nie miał kornej ufności węglarza,
Lecz szedł ku Tobie, jak krnąbrne Tytany,
Z tą żarliwością, co niebo podważa,
A jest jak ogień, kiedy czyści złoto,
Bo Ty chcesz, by Cię zdobywać tęsknotą!...

Ty mi przebaczysz! — bo wszak to ku Tobie
Myśli się moje rozszlochane rwały,
Gorzała dusza w serdecznej żałobie,

Dobra i prawdy łaknąc doskonałej —
Wiecznie je goniąc tęsknoty oczyma,
Wiecznie bolejąc, że w świecie ich niema!

Tyś mi przebaczył! — bo z tego pragnienia,
Zdobyte walką i trudem serdecznym,
Trysnęło światło, jak iskra z krzemienia:
Że świat bez Ciebie byłby niedorzecznym,
I że, choć Twoje Cię ukrywa niebo,
Jesteś — boś duszy człowieka potrzebą!...

V.

Wraz się rozpierzchły te zwątpienia mroki,
W których ucisku myśli jasne marły,
I krusząc wiedzy hańbiące wyroki,
Co mu koronę z czoła były zdarły,
Duch mój zwycięski podniósł się z protestem,
Wołając hardo: »Nieśmiertelny jestem!...«

Przez tę skrę Boską, co, we mnie zaklęta,
Tęskni do źródła, skąd wzięła poczęcie,
Przez ten głód Prawdy, co ziemi odjęta,
Przez to wszechdobra i Bóstwa pojęcie,
Przez to, że myślą w nieskończoność płynę —
Jam duch, nad ziemską wywyższony glinę!

*

I wraz z tym blaskiem, co z strumieniem ciepła
Rzeźwiąco spłynął na umysł zmartwiały,
Ożyła ufność i wola okrzepła,
I z ciemnej mroków wybłysły zawały
Prawda i dobro, promieniejąc życiem,
Które jasności Bóstwa jest odbiciem.

I myśl o śmierci nie była mi srogą,
I jasnem w przyszłość tonący spojrzeniem,
Szedłem krzyżową życia mego drogą,
Ścieżką wysłaną trudem i cierpieniem —
Bo na jej końcu, jakgdyby w zawiei,
Siała kojący blask gwiazda nadziei!

Więc chwała Tobie, żeś nam wśród tej drogi
Dał tu i owdzie miejsce do wytchnienia;
Gdzie powój ciernie oplata i głogi,
Kiedy strudzonym użyczają cienia
Przydrożne drzewa i ptaszków kapela
Ponure myśli piosnką rozwesela.

Chwała Ci, Panie, żeś kazał powracać
Słońcu i spędzać cień nocy ponurej,
I świat ten szary uśmiechem wyzłacać —
Żeś tęczę rzucił na skłębione chmury,
I żeś to sprawił, iż czasami bywa
Przyjaźń stateczna, a miłość szczęśliwa...

I chwała Tobie, żeś w duszę człowieka
Wszczepił tę twardą wiarę w nieśmiertelność.
Co majestatem skroń jego obleka,
I krzepi ducha w nim, męstwo i dzielność,
I jad ziemskiego odczuwa cierpienia,
I śmierć nadzieją życia opromienia!...

I bądź sławiony, że w trosce i mroku
Pozostawiłeś mu świętą tęsknotę,
W której łez pełnem przegląda się oku,
Jak w fali słońce przegląda się złote,
I która świadczy o Tobie — jak fala
Świadczy o słońcu, gdy się niem zapala...

*Włodzimierz Zagórski.*

# Z PSALMÓW POKUTNYCH.

## PSALM 31.

Błogosławieni, których Pan nie pytał
O ich nieprawość i zakryte wady;
Błogosławiony, co mu nie poczytał
Grzechu — a nie masz w duchu jego zdrady.
A, iżem milczał, gdym wołał dzień cały,
Kości się moje, Panie, zestarzały;
Boć ociężała i we dnie i w nocy
Nade mną, Panie, ręka Twej wszechmocy!
I nawróciłem się do Ciebie wiernie,
Gdy w mym ucisku we mnie tkwiło ciernie...
Przetomż oznajmił grzech mój, Panie, Tobie!
I, co nieprawe, nie taiłem w sobie.

Rzekłem: »Wyznawam niesprawiedliwości
Przeciwko sobie, Bogu mej pociechy!«
A Tyś odpuścił moje nieprawości,
A Tyś odpuścił, Panie, moje grzechy!

Dlatego będzie w serdecznym pochopie
Wszelaki Święty mąż, czasu przygody,
Modlił się Tobie — wszakże w wód potopie
Już nie przybliżą do Niego się wody...

Tyś mą ucieczką w utrapienia chwili,
Które mnie bardzo, bardzo ogarnęło!
Wyrwij mnie od tych, co mnie otoczyli!
Radości moja! Czyń miłości dzieło!

Rzekłeś mi w Twojej obietnicy, Panie:
»Dam Ja ci rozum i sprawię twe zdanie,
I wskażę, kędy twa droga się toczy,
I sam umocnię nad tobą me oczy!
Nie będziesz, jako koń i muł bywają.
Którzy rozumu i woli nie mają!...«

Wiele jest Bożych biczów na grzesznika,
Ale kto ufa, nie ulegnie marnie:
I ufający ujdzie przeciwnika,
I miłosierdzie Boże go ogarnie!
Przetoż się w Panu weselcie szczęśliwi!
I radość bierzcie, ludzie sprawiedliwi!
A wszyscy chwałę odnoście wybrani,
Co prawe serce przynosicie w dani...

*Wincenty Pol.*

## MODLITWA O DOBRĄ WOLĘ.

Z prostotą dzieciąt, w niewieściej pokorze,
Przed Tobą dzieci i niewiasty, Boże!
Błagamy Ciebie, razem z naszą Panią,
Co za nas Twego doprasza się słuchu,
My, zawieszeni pomiędzy otchłanią
A Twem królestwem, Ojcze, Synu, Duchu!
Błagamy Ciebie z wrytem w ziemię czołem,
Czasów przyśniętych otoczeni kołem,
Błagamy Ciebie, stwórz w nas serce czysto,
Odnów w nas zmysły, z dusz wypleń kąkole
Złud świętokradzkich — i daj wiekuistę
Śród dóbr Twych dobro, daj nam dobrą wolę.

Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o! Panie! świętymi czynami
Śród sądu tego wskrzesić samych siebie.

*Zygmunt Krasiński.*

---

## TAK MI, BOŻE, DOPOMÓŻ.

I.

Idea wiary nowa rozwinięta
W błyśnieniu jednem zmartwychwstała we mnie
Cała, gotowa do czynu i święta.
Więc nadaremnie! o! nienadaremnie!
Snu śmiertelnego porzuciłem łoże.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

II.

Mały ja, biedny — ale serce moje
Może pomieścić ludzi miliony.
Ci wszyscy ze mnie będą mieli zbroje —
I ze mnie piorun mieć będą czerwony,
I z mego szczęścia do szczęścia podnoże.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

III.

Za to spokojność już mam i mieć będę,
I będę wieczny — jak te, które wskrzeszę —
I będę mocny — jak to, co zdobędę —
I będę szczęsny — jak to, co pocieszę —

I będę stworzon — jak rzecz, którą stworzę.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

IV.

Chociaż usłyszę głosy urągania,
Nie dbam czy wzrastać będą — czy ucichać...
Jest to w godzinie wielkiej zmartwychwstania
Szmer kości, który na cmentarzach słychać,
Lecz się umarłych zgrają nie zatrwożę.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

V.

Widzę wchód jeden tylko otworzony,
I drogę ducha tylko jednobramną...
Trzymając w górę palec podniesiony,
Idę z przestrogą — kto żyw pójdzie za mną...
Pójdzie — chociażby wszedłszy szedł przez morze.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

VI.

Drugi raz pokój dany jest na ziemi
Tym, którzy miłość mają i ofiarę...
Dane zwycięstwo jest nad umarłemi,
Dano jest wskrzeszać tych, co mają wiarę...
Na reszcie trumien — Ja — pieczęć położę.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

VII.

Lecz tym, co idą — nie przez czarnoksięstwa,
Ale przez wiarę dam, co sam Bóg daje —
W ich usta włożę komendę zwycięstwa,
W ich oczy — ten wzrok, co zdobywa kraje —
Ten wzrok, któremu nic dotrwać nie może!
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

VIII.

Z pokorą teraz padam na kolana,
Abym wstał silnym Boga robotnikiem.
Gdy wstanę — mój głos będzie głosem Pana,
Mój krzyk — Ojczyzny całej będzie krzykiem,
Mój duch — Aniołem, co wszystko przemoże.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

*Juliusz Słowacki.*

## OPŁATEK WIGILIJNY.

Łamię się z Wami dziś opłatkiem białym,
Wy wszyscy moi, dalecy, czy blizcy:
Wy, co za błędnej gwiazdy ideałem
Po świecieście się rozproszyli całym,
Wy, co pijecie z rzek lodowych zdroi,
Ducha nie dając pod troski nawałem,
Wy wierni, mocni, wytrwali — wy wszyscy,
Których rzęd jasny przed wzrokiem mi stoi;
Związani ze mną węzłem wiecznie trwałym,
Z wami się łamię dziś opłatkiem białym.

I z wami, którzy w życia ciężkim trudzie
Orzecie ziemi naszej zagon twardy,
Czystego serca i uczynków ludzie,
W których duch mieszka na podłość za hardy,
Wy, co grodzicie się murem pogardy
Od tego, co jest pełzania zakałem;
W żadnego błota niestarzani brudzie,
Którym Bóg za to da dziś sen o cudzie:

Ukaże niebo z jego blaskiem całym,
Z wami się łamię dziś opłatkiem białym.

Z wszystkimi, których nieskalane dłonie,
Z wszystkimi, których postacie niezgięte,
Przez to, co kocha w własnem mojem łonie,
I w każdej ludzkiej piersi jest mi święte,
Dla Chrystusowej gwiazdy, co dziś płonie,
Dla Boga, który w ludzkości się rodzi,
Gdy duchy ludzkie idą wniebowzięte,
Dla tego, co nam w nędz i trosk powodzi
Zostaje jasnem, czystem i wspaniałem,
Łamię się z wami dziś opłatkiem białym.

*Marya Ilnicka.*

---

## REZUREKCYA.

Gaj wysmukłych cyprysów i głuchy śpiew chóru,
Laury ciemne i lampy płonące za kratą:
W grobie leży, złocistą okryty makatą,
Blady posąg Chrystusa z białego marmuru.

Wizya wielkiego ołtarza w świecach jarzących i w złocie,
W dymy błękitnych kadzideł złota monstrancya spowita
I tłum żarliwy, zwarty, w wyczekującej tęsknocie
W ciemnej nawie kościelnej — jak falujący łan żyta.

Nagły wybuch organów i dzwonów z wieży kościelnej,
I grom zbudzonej pieśni — wstający hymn alleluja,
Z tysiącznych piersi wyrwany, wznosi się, łka — nie-
[śmiertelny —
Łopoce świec płomieniami, we mgłach kadzielnych się buja·

Zmartwychwstającym gromem rozwiał ulotne kadzidła,
Rozpiera mury kościelne! grzmi w arkad sklepionych stropie!
Zda się, kościół się zerwał — rozwinął tysiączne skrzydła,
I płynie głębią niebieską w złotych błyskawic potopie.

*Bronisława Ostrowska.*

## ZWIASTOWANIE.

Nad obudzonej ziemi łonem
Dzwon bije głośno, bezustannie,
W powietrzu wiosną zbłękitnionem...
Anioł zwiastował Maryi Pannie.

W jasności cichej i radosnej
Topi się złotych wierzb pąkowie;
Pod lasem chodzą aniołowie,
Szukając pierwszych kwiatów wiosny.

Ponad zruszoną ziemią płynie
Odkupiający wid kalwaryi:
W cudu dziewiczych snów godzinie
Anioł zwiastował Pannie Maryi.

*Bronisława Ostrowska.*

# II.

# WSTĘP DO DUMEK.

Wstańcie odgłosy z rodzinnej ziemi,
Otrząście grubą pleśń!
Czy pod mogiły śpicie dawnemi,
Czy błoń i cisza wiejska was niemi,
Czy w cieniach chowa
Gaj i dąbrowa —
W jedną się wiążcie pieśń.
Wstają: tu wrotka wiekiem skażona,
Owdzie zmącona wieść;
Jak zdrój z czystego wytryska łona,
Poiła wdziękiem długie plemiona;
Cicha i miła
Do cnót budziła,
Wpajała ojców cześć.
Tam tęskne córy z mokrą powieką,
W piersi znamiona burz,
Owioń ich myśli błogo i lekko,
Szanuj ten smutek i łzy, co cieką
Cichym i czystym
Żalem ojczystym,
Ojczystą nutą wtórz.

Oto skrzydlaty rój przez zagony
Długi zaściela kir;
Szumią i gwarzą kawki i wrony.
To naszem ciałem tłum wypasiony
W radosnym chórze
Zwiastuje burze
I nowy wietrzy żer.
Tam ruch i wrzawa kona w uboczy,
Ściany pokrywa mech;
Ciężko i dziko czas się tam toczy,
Wieczystym mrokiem przygasłe oczy,
W łonie znędzniałem
Przewlekłym skonem
Leniwy ślęczy dech.
Już, już znękany żywot rozplotę,
Wieczny powitam dzień:
Pieśni! zaludniaj więźnia samotę,
Roztaczaj przed nim skrzydła swe złote,
Niech w barwach tęczy
Świat się mu wdzięczy,
Nim wiecznie wzleci zeń.
Tam, gdy w dziedziny zawitał nasze
Stary Jagiełłów krzew,
Medyckich gajów swobodne ptaszę
Śle powitanie w gościa poddasze,
I w noc samotną
Piersią szczebiotną
Znany mu nuci śpiew.
Wiekiem stępione budzą się zmysły,
W dźwiękach utonął słuch;
Z dźwiękiem Jadwigi w duszy zabłysły;
Na łono spływa
Głowa sędziwa,
W niebo uleciał duch.

Wstańcie, odgłosy z rodzinnej ziemi,
Otrząście grubą pleśń!
Czy pod mogiły śpicie dawnemi,
Czy błoń i cisza wiejska was niemi,
Czy w cieniach chowa
Gaj i dąbrowa —
W jedną się wiążcie pieśń.

*August Bielowski.*

---

## POGRZEB KAPITANA M.[1])

Braliśmy biedną trumnę ze szpitalu,
Do żebrackiego mieli rzucić dołu;
Ani łzy jednej, pamiątki i żalu,
Ani westchnienia nad garstką popiołu!
Wczoraj był pełny młodości i siły!
Jutro nie będzie nawet i mogiły!...

Gdyby przynajmniej przy rycerskiej śpiewce
Karabin jemu pod głowę żołnierski —
Ten sam karabin, w którym na panewce
Kurzy się jeszcze wystrzał belwederski!
Gdyby miecz w sercu lub zabójcza kula! —
Lecz nie! — szpitalne łoże i koszula!

Czy on pomyślał śród nocnych błękitów,
Gdy Polska z grobu powstająca jękła,
Gdy leżał smętny w trumnie Karmelitów,
A trumna w chwili zmartwychwstania pękła,

---

[1]) Majznera.

Gdy swój karabin przyciskał do łona,
Czy on pomyślał wtenczas, że tak skona?!

Dziś przyszedł do nas szpitalu odźwierny
I przyszły wiedźmy, które trupów strzegą,
I otworzyły nam dom miłosierny
I rzekły: »Brata poznajcie waszego!
Czy ten sam, który z wami się po świecie
Kołatał wczora?... czy go poznajecie?«

I płachtę z głowy mu szpitalną zdjęto
Nożem pośmiertnych rzeźników czerwoną;
Źrenicę trzymał na blask odemkniętą,
Ale od braci miał twarz odwróconą;
Więceśmy rzekli wiedźmom, by zawarły
Trumnę, bo to jest nasz brat ten umarły.

I przeraziła nas wszystkich ta nędza,
A jeden z młodszych spytał: »Gdzież go złożą?«
Odpowiedziała mu szpitalna jędza:
»W święconej ziemi, gdzie przez miłość bożą
Kładziemy poczet nasz umarłych tłumny,
W jeden ogromny dół, na trumnach trumny«.

Więc ów młodzieniec, męki czując szczere,
Wydobył złoty jeden pieniądz drobny
I rzekł: »Zaśpiewać nad nim »miserere!«
Niechaj ogródek ma i krzyż osobny...«
Umilkł, a myśmy pochylili głowy,
Łzy i grosz sypiąc na talerz cynowy.

Niech ma ogródek — i niech się przed Panem
Pochwali tem, co krzyż na grobie gada:
Że był w dziewiątym pułku kapitanem,
Że go słuchała rycerzy gromada,

A dziś ojczyźnie jest niczem niedłużny,
Chociaż osobny ma kurhan — z jałmużny.

Ale Ty, Panie, który z wysokości
Patrzysz, jak giną ojczyzny obrońce,
Prosimy Ciebie przez tę garstkę kości,
Zapal przynajmniej na śmierć naszą słońce!
Niechaj dzień wyjdzie z jasnej niebios bramy,
Niechaj nas, Panie, widzą, gdy konamy!

*Juliusz Słowacki.*

## BITWA.

Dzielne było natarcie. Tatarskie szwadrony,
I księżyce, buńczuki z końskimi ogony,
Ich futra wywrócone, ogromne ich łuki,
Płeć śniada, wąsy zwisłe a czarne jak kruki,
Ich nasępione rysy, przymrużone oczy,
W których śnie srogość zwierząt z ludzką się jednoczy,
Cały ten widok wreszcie w dzikość okazały,
Pożar, stepy wokoło, świszczące już strzały,
Żadnego, albo raczej jak z bodźców odzienie,
Takie na czuciach polskich zrobiły wrażenie.
Pędem burzy lecieli; lecz nim przyszło zblizka
Ludziom ostrza się dotknąć, koniom pyskiem pyska,
Gdy wpółobręcz stanęli wsławionem prawidłem,
Skrzydło tatarskie z tyłu zbiegało się z skrzydłem.
»Ałła hu!« wrzasły hordy i tysiączne roty,
Na opasanych strute wypuścili groty.
»Hura!« krzyknęła wiara i lotem sokoła

Chmurę strzał przeszywała w środku tego koła.
Dochodzą, już dochodzą zbitym wszędy tłumem,
Lasem dzid najeżonych, z hukiem, z trzaskiem, z szumem,
Szczęk, krzyk, jęk, łoskot, wrzawa, powstał kurz, a ściana
Przebitych bisurmanów wali się złamana.
Tratują ludzi, konie; koncerze, kopije,
Kolą pod kopytami niewiernych jak żmije,
Zapał głowy ogarnął, stal błyska, krew broczy;
Śmierć trudzi się, zdmuchując wywrócone oczy!
Wszystko to chwilę trwało, bo z boków i w tyle
Barbarzyńcy nastają w niezliczonej sile.
Czas ginąć hufcom polskim, młody wódz je zbiera,
Zachęca ich, szykuje, obraca, naciera.
Dopiero mieszanina; każdy obskoczony,
Wirem męstwa na wszystkie wywija się strony.
Rąbie, sili, morduje z nieprzebraną zgrają
Jeden dziesięciu zwalczył, krocie nań wpadają;
Stek zawziętego mnóstwa, okropne ich wrzaski,
Tuman zewsząd, a mieczów latające blaski...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Jakież to grały trąby za przyległym lasem?
Jakież to świeżo hufce cwałują z hałasem?
Jakiż to nowy rycerz krzyżowym zamachem
Drogę sobie toruje śmiercią i przestrachem?
Koń ledwo ziemi tyka; włosy rzadkie, siwe,
Wiatr z światłem rozwijają, jak komety grzywę;
A w pływających ruchach, wydatnej postawie,
Szparko bieżący pośpiech o szybkość w obawie;
Jak lwica, opuściwszy swoje lwiątko, skoczy
Zajadłem męstwem, gdy je wpośród ludzi zoczy;
Jak matka, o wygnanem straciwszy nadzieję,
Gdy ujrzy swoje dziecię, w radości topnieje:

Z takiem zmieszanem czuciem i matki i lwicy,
Z kordem świszczącym w ręku, z lotem błyskawicy,
Zdziwionym, zlękłym oczom, gdyby jakie mary,
Obok swojego zięcia Miecznik stanął stary.
Jego hufiec tuż za nim, jego przywitanie
Tobie należy naprzód, napuszony Hanie!
Lecą obces na siebie: Polacy, Tatarzy,
W bezczynnem zachwyceniu patrzą, co się zdarzy.
Jakiś czas Miecznik zmudził: uderzy, odskoczy,
I znowu w całym pędzie przeciwnika tłoczy;
Aż wybrawszy swą porę, w odwet silnym razem,
W kark niewierny święconem ugodził żelazem.
Spada dzielnym zamachem odmieciona głowa,
Drga oczyma, bełkoce niepojęte słowa,
Toczy się, ziewa, blednie i gaśnie; z tułupa,
Ce siedzi niewzruszony, krew do góry chlupa!
Powstał krzyk przeraźliwy — pierzchają — koń Hana
Ucieka między hordy z trupem swego pana.
Strach przejął barbarzyńców; grzmią trąby, rzeź grają,
Nowi rycerze gonią, dawni się zbiegają.
Trzask, iskry, świst z połyskiem, huk, wrzask, jęki, rżenie,
A zapylona sława upięknia zniszczenie.

---

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Powstał z pośpiechem Wacław i dawnym zwyczajem
Uściskał starą rękę, co jemu nawzajem
Szorstkie, silne, lecz szczere oddała ściśnienie,
I już bystry koń z jeźdźcem przesadza drzew cienie,
A stary Miecznik wziął się do zwykłych pacierzy.
O jak ślicznie przez pola młody Wacław bieży!
Srebrny połysk na włosach, na piórach, a w zbroi
Twarz ogromna księżyca malutka się dwoi.

O jak ślicznie, wśród ciszy w naturze rozlanej,
Lecieć z tęsknionem sercem do swojej kochanej!
I każdy przedmiot witać z przychylną pamięcią,
I wszystkie je wyścigać nieścignioną chęcią!
Wtedy to słodkie tony, brzmiące przerywanie,
Śpiew słowika, szmer wody i żab skrzekotanie,
W dzikiej, tęsknej i żywej a tkliwej muzyce
Mówią ocknionym czuciom swoje tajemnice;
Wtedy to luby zapach, co z kwiatów ulata,
Lekkiem tchnieniem rozkoszy mgłę trosków odmiata,
I dusza rozjaśniona, jakby ujście miała
W niebiosa swego twórcy, z kajdan swego ciała;
Wtedy matka natura wszystko z człekiem dzieli,
I wszystko się uśmiecha, i wszystko weseli;
Wtedy w schowanej szabli uraz zapomnienie,
W pysznem spojrzeniu dobroć, w ustach — przebaczenie.

*Antoni Malczewski.*

## LIST Z SYBIRU.

Mamo! Piszę do ciebie ten list. Czy go czytać
Będziesz? Nie wiem! Czy dojdzie? Nie wiem! Chciałbym
[spytać
Kwiatka, jak się to u nas wróży listków rwaniem,
Ale kwiaty umarły pod śniegu posłaniem
I o losie tej kartki żaden mi nie powie!
Mamo! jak to okropnie, gdy w słowo po słowie
Kładę serce swe! duszę! ach, całego siebie!
A nie wiem, czy tak chociaż powrócę do ciebie!

Mamo! jak to już dawno! jak dawno się zdaje,
Gdym cię żegnał! Ta chwila jak we mgle mi staje
Przed okiem, zapatrzonem tam, ku naszej stronie!
Widzę twoje rozpacznie wyciągnięte dłonie!
Widzę ruch ten, gdy chciałaś z bólu obłąkana,
Przed potworem dymiącym runąć na kolana,
I ten wieczór — i słońce gasnące szkarłatnie!
I jękiem rwie mi serce »Pamiętaj!« ostatnie!«

»Pamiętaj!« Mamo! Ile w tym jednym wyrazie
Jest męki! Gdyby wyryć słowo to na głazie
I kazać mu pamiętać: z żalu głaz-by spękał!
Niema dnia! niema nocy, bym we łzach nie klękał,
Powtarzając »Pamiętaj!« straszne, jak przekleństwo!
O matko! jeśliś chciała dać błogosławieństwo,
Bym, żyjąc i konając, nie cierpiał ogromniej,
To było mnie pożegnać, wołając: »Zapomnij!«

Piszę rankiem. Śnieg zawiał okienka mej chaty,
W izbie mroźno i szaro... Jakiś gość skrzydlaty
Przed zimnem do lepianki schronił się — i ćwierka.
Ja piszę, a ptaszyna z pod pułapu zerka
I widzi, jak na papier ciężka łza mi kapie...
Sople wiszą lodowe u ścian, na okapie
I stary mój kożuszek srebrzy się od szronu...
Jak głucho! bicie serca słychać, jak głos dzwonu!...

Co tu robię? jak żyję? Nie wiem, jak nakreślić,
Że patrząc — nie chcę widzieć, myśląc — nie chcę myślić
Że pomiędzy tem wszystkiem, co mnie tu otacza,
A mną — jest dusza moja, która przeinacza
Rzeczywistość i sprawia, że, złudzony snami,
Chodzę z niewidomemi, jak ślepiec, oczami
I dzień po dniu przeżywam i chwilkę za chwilką
Tem, co mam wewnątrz siebie... I tak trwam: tem tylko!...

Ludzie nie są źli tutaj! Jest w nich jakaś szczera
Litość. Nieraz chłop prosty tak na mnie spoziera,
Jak ja patrzyłem niegdyś na pisklę bezdomne!
Nieraz, jak wyjdę z chaty na śniegi ogromne,
Zakrwawione od zorzy polarnego nieba, —
Na progu pieniądz srebrny, albo krążek chleba
Położy jakaś dobra, niewidoma ręka! —
Jem chleb ten, gdy to piszę, i serce mi pęka!

Znalazłem na dnie kufra twój »Złoty Ołtarzyk«,
Tyś go włożyła, mamo! To mój relikwiarzyk!
Schowałem go na sercu i chodzę z nim wszędzie!
Jak ty przeczułaś, mamo, czem mi tutaj będzie
Ta książka: jakby żywą i drogą osobą!
Po polsku z nią jedynie rozmawiam — i z sobą.
I codzień na te pustki drętwe, nieskończone
Idzie moja modlitwa: »Pod Twoją obronę!«

Mamo! Napisz mi wszystko! Czy tak samo z rana
Gra srebrna sygnaturka u świętego Jana.
Czy jednako pod zamkiem pluska Wisły fala?
Czy słońce zawsze najpierw płomienie zapala
Na kolumnie Zygmunta, wprost naszego domu?
Czy pieśń z Fary, jak echo dalekiego gromu,
Bijąc w niebo milczące, brzmi po staroświecku?
Pytam, jak dziecko małe... Odpowiedz, jak dziecku!

Ach, mamo! jak mi tęskno! A śnię co noc prawie,
Żem w kraju: nasz pokoik widzę, jak na jawie!
Staś kłusuje na krześle z pałasikiem w ręku,
Ty, mamo, tak jak zwykle, szyjesz przy okienku,
A w kącie ja i Zosia gwarzymy oboje. —
Budzę się, ale oczu otworzyć się boję
I chciałbym usnąć jeszcze, by ujrzeć to samo...
Jaki to żal okropny! jaki to żal, mamo!

Zosia! Nie mogę o tem... Mamo! Powiedz Zosi:
Niechaj zapomni! Powiedz, że ją o to prosi
Umarły! Niech zapomni i niech mi przebaczy,
Żem, prócz niej, kochał kogoś bardziej — choć inaczej!
Stasia ucałuj, mamo. Mów z nim często o mnie!
Mów, jak jest! choćbyś miała zasmucić ogromnie
Tę duszyczkę tak jasną, jak jego oczęta!...
Zosia niechaj zapomni! lecz on: niech pamięta!

Mamo! Bądź zdrowa, mamo! Niech Boża opieka
Będzie nad wami! Pozdrów każdego człowieka!
Mur każdy! wszystkich! wszystko! Pozdrów, jak od brata!
Mamo, ja piszę do was, jak z tamtego świata,
Bo, jak stamtąd — nie wrócę! Ach, jakie wrą wojny
W mem sercu! Chciałbym zwalczyć! Chciałbym być spo-
Ale kiedy pomyślę: Nigdy, nigdy, nigdy! [kojny!
O, mamo!...

*Or-ot.*

---

## GRAF GERO.

### I.

### UCZTA GERONOWA.

Pieśń wam zaśpiewam! w pieśni prawdę szczerą:
Był u Ottona wielki margraf Gero,
Nad pobitymi postawion Sławiany,
A w każdej sprawie rycerz zawołany.

I miał ten Gero murowany dwór,
Co wieżycami wspinał się do chmur,

Miał jasną zbroję i stalowy miecz,
Co w bitwach głowy z karków zmiatał precz,
I zgraję knechtów na wszelkie rozkazy,
Krwawych jak wilcy, a zimnych jak głazy.

A pierś Gerona była jako stal!
Nie znał litości, nie tykał go żal!
Niech drży pobity — niechaj znosi dań,
Jeśli mu miła nieprzerznięta krtań!
Więc już o buntach zaprzestano marzyć,
Nawet lirnicy nie śmieli się skarżyć.

I była radość pomiędzy Germany,
Że legł Sławianin, jak lew okowany.
W Merzburgu Otto na cesarskim tronie
Ściskał margrafa zakrwawione dłonie,
I poczcił złotym łańcuchem Gerona,
I kazał nowe podbijać plemiona.

Siedział więc Gero w murowanym grodzie
I śpiewał Panu psalmy o zachodzie.
I kazał sobie podać wina dzban,
I pił, i marzył, jak go podniósł Pan!
Ha! nie dość jeszcze, więc zamarzył graf,
Jakby do Lachów Odrę przebyć wpław.

A tam już długo chowa się w tem łonie,
Tam chce graf usiąść na udzielnym tronie,
I władnąć berłem po zaborach wzdłuż...
Marzył — i z rodu króla liczył już.

I o dłoń szorstką wsparł brodatą twarz...
Wtem w róg zagrała przedmurowa straż.
»Kto?« »Goniec, Grafie«. — Goniec w drzwiach już stoi.
Jeno się wieści wypowiadać boi.

I drżąc wyjęknął: »Grafie, ciężko nieść
Do twoich uszu taką srogą wieść:
Patrz! Lach Sławianin, co tak bardzo spał,
Jak głodny niedźwiedź z pazurami wstał;
U bożych świątyń porozwalał drzwi
I skąpał ręce w Grafa Hajka krwi«.

Lecz Graf stał zimny. Choć u granic wróg,
Nie zbroi knechtów, ani wiernych sług.
Każe nieść wina, miody i bić woły;
Każe do uczty stawiać sute stoły:
Do lackich książąt zaprosiny śle,
Jakby w najlepsze i przyjazne dnie.
Czasami tylko ściągnie czarne brwi
I mruczy pod wąs: »Napiłbym się krwi!«

A ledwie zaszło w trzeciej dobie słońce,
Od lackich książąt powrócili gońce.
Gero rad z wieści... Hej, już dzwoni róg,
Już wchodzą kniazie w Geronowy próg;
Trzydziestu książąt, szczera lacka krew —
Szerokie czoła, ciemna w kabłąk brew.
Otwarte lica, w źrenicach błękity,
U bioder szable, a na głowach szczyty.

W świątecznej szacie Gero we drzwiach stał,
Powitał kniaziów — dłoń każdemu dał,
Czarnego ducha tak ukrył postacią,
Iżby rzec można brat wita się z bracią.
I w dom prowadzi, i wyrządza cześć,
I każe misy przed kniaziami nieść,
Prosi, by na bok odłożyli bronie
I stół zasiedli po obojej stronie.

Ucztują kniazie, w sali rośnie gwar,
Coraz weselej od pieśni, od czar,

Coraz serdeczniej, co wychylą dzban,
Podaje świeży hojny zamku pan.
I zapomniało szczere lackie plemię,
Że chciwy Gero dybie na ich ziemie,
Że krew już płynie u Odrzańskich wód,
Taki graf zdziałał gościnnością cud.
A Gero wstaje i woła do sług:
»Niechaj zadzwoni paź w złocisty róg!
A ja ten puhar wznoszę wam, kniaziowie!«
I pełny puhar pił za kniaziów zdrowie.

A gdy pił Gero, paź na rogu grał
Dziko, jak wicher wiejący wśród skał.
Na ten głos knechty z morderczem żelazem
Wpadli i kniaziów otoczyli razem,
I krępowali sznurami ramiona,
Cięli im gardła i kłuli im łona.

A możny Gero nad trupami stał,
Uśmiech na ustach, w dłoni puhar miał.
»Siądźcie za stołem — wołał — bracia moi!
Gero się buntu wyrzniętych nie boi!«
I wnet ze sali każdy smętny trup
Poszedł za okop sokołom na łup.

Sokoły niosły wieść za lackie pola,
Że wodzów taka spotkała tu dola.
I siadł graf Gero w murowanym grodzie,
I »de Profundis« śpiewał o zachodzie,
I kazał sobie podać wina dzban,
I pił, i marzył, jak go podniósł Pan!

A potem senną głowę wsparł na łonie
I o złocistej zamarzył koronie.

Taka to była owa uczta sławna,
I tak Germany wojowali zdawna.

---

## II.

## GERO NA LACHACH.

Z chaty do chaty leci wieść,
Zachodni wiatr ją począł nieść,
Płacze nią w polach — w możny dwór,
Bije nią jako piorun z chmur,
Przeraża panów, rycerzy, kmieci —
Zatrważa starców, matki, dzieci;
Pomordowanych książąt wdowy
Ze snu takiemi budzi słowy:

— O! płaczcie wdowy; płakać czas,
Niema już komu bronić was!
Niema już komu bronić grodu,
Ni kmiecej strzechy, ni narodu.
Mężowie wasi, wasi kochani,
W domu Gerona pomordowani. —
I zapłakały wdowy wraz:
»Niema już komu bronić nas!«

A mężny Gero syna do się zwie.
»Sygfrydzie — rzecze — młody ty mój lwie,
Trzoda bez stróża łupami dla zwierza,
Naród bez wodza łupem dla rycerza,
Wybiłem wodzów z nadodrzańskich stron —
Waleczny synu, pójdźmy zbierać plon!«
Tak wyrzekł Gero i na ławie siada,
Lecz Sygfryd stoi i nie odpowiada.

Więc Gero znowu: »Nasz cesarz i pan
Znany z potęgi a i z łaski znan;
Lecz pańska łaska to szalony koń,
Dziś mu ta miłą, jutro owa błoń.
Dobrze, gdy pomny pan swojej czeladzi,
Lepiej, gdy sługa sam o sobie radzi.

»Dziś ja margrafem, Otto możny król;
Dla mnież to niema na królestwo pól?
Otto po Łabę — moje państwo dalej —
Synu! Sygfrydzie, będziem królowali,
Prześcigniem samą Ottonową moc.
Zbierz lud, na Sławian wyruszymy w noc«.
A Sygfryd rzecze: »Ojcze, Bóg ukarze;
Pomordowanych śniły mi się twarze,
Śniły się w nocy w strasznym, wieszczym śnie.
Ojcze, ty zgubisz i siebie i mnie!«

Lecz Gero powstał, zmarszczył czarną brew
I rzecze groźno: »Myślałem, żeś lew,
A ciebie widzę trwoży jasna stal —
Młodej ci żony i uścisków żal«.
Więc poszedł Sygfryd zbierać lud do wojny,
A Geron usiadł i dumał spokojny.

A gdy na zamek spadła noc,
Stanęła rzędem grafa moc,
Stanęła licznie po rozkazie,
Od stóp do głowy w żelazie.
I rżą rumaki, biedz gotowe,
Tylko graf Sygfryd spuścił głowę.
W oknie go płacze żona młoda,
Szkoda mu żony, lat mu szkoda.

Lecz Gero skinął — skoczą wraz,
Od setnych kopyt zagrzmiał głaz,

Od okna biała
Chustka powiała,
Powiała może ostatni raz.

I lecą, palą grody, wsie,
Do grafa kolan lud się gnie,
A którzy klękną, już nie powstają;
Mężów Gerona knechty ścinają,
Dziatwę i żony gonią w plon,
Tak graf buduje sobie tron.

A gdy już w Odrę mieli skoczyć wpław:
»Sygfrydzie, synu — rzecze dumny graf —
Coś tak posępny, czego stronisz mnie?«
»Pomordowanych znów widziałem w śnie«.

»Ha! ha! to dobrze — dobrześ, synu, śnił,
Jutro Lach będzie u nóg mi się wił«.
A Sygfryd rzecze: »Ojcze, Bóg ukarze.
Pomordowani mieli groźne twarze«.

Lecz graf nie słucha. Spiął się pod nim koń —
Pognał przez pola, skoczył w modrą toń —
Szeregi za nim śród spienionych fal.
Dobili brzegu. Gero wznosi stal
I woła: »Synu! jutro z Lachem boje —
Jutro królestwo oddam w ręce twoje«.

Rozbili obóz. Zaszła cicha noc.
Graf się zadumał, waży swoją moc
Sygfryd obchodzi obozowe straże,
Radby zapomnieć pościnanych twarze
I usnąć radby, lecz się lęka śnić.
Usnęli...

Rankiem zorzy złota nić
Obiegła mgłami zaciemniony wschód
I budzi obóz u odrzańskich wód.
»Synu — graf rzecze — czego patrzysz w dal?«
»Patrzę, jak w zorzy błyszczy Lachów stal«.
»Gdzie? pokaż! wzrok mi mroczy się od snu«.
»Patrzaj, mój ojcze, zbliżają się tu«.
»Na koń! — graf krzyknął. — Lachów książę sam
Do kolan dzisiaj pokłoni się nam!«

I stają męże, Gero stawia szyki,
Z borów wychodzą lackie wojowniki,
Oblani zorzą wznoszą jasną broń;
Piękny, dorodny każdy mąż i koń.
Mieszko ich wiedzie na hufy Gerona —
Przy Mieszku z orłem chorągiew czerwona.

»Naprzód, Sygfrydzie! niedługi tu trud!«
Zawołał Gero — i już zwarł się lud.
Skruszyli kopie, miecze chwycą wraz,
W tarcze i w hełmy wiodą silny raz,
Skruszyli miecze, chwycą za topory;
Szczęk się rozlega przez pola i bory.

»Ojcze Geronie, ciężka z Lachem gra —
Dzielnie Lach walczy — twarde ramię ma«.
»Tem większa sława dla nas, synu mój,
Koronę da nam ten rycerski bój!«
I poskoczyli do boju ochoczo,
Pewni, że z Lachów wszystką krew wytoczą.

I znowu rzecze Sygfryd: »Tu nam kres!«
»Nie, nie, mój synu, Lacha weźmie bies«.
I znowu walczą, lecz wtem pęka szyk...
»Sława Mieszkowi!« Lachy wznieśli krzyk

I tną Germanów toporami wkoło;
Gero i Sygfryd jeszcze stawią czoło.

Lecz wtem: »Sygfrydzie!« jęknął graf i zbladł —
Pod ciosem Mieszka młody Sygfryd padł.
Padł z rozłupaną wpół toporem głową
I oblał się krwi strugą purpurową.
O! grafie, jakaż boleść ciebie zgina?
Innej purpury chciałeś ty dla syna.

I w drżące ręce syna chwycił graf —
Skoczył do Odry — przebywa ją wpław;
Za nim rycerstwo, knechty skaczą w toń,
Resztę tnie w polu sroga Lachów broń.
Tak się skończyła wyprawa Gerona,
Tak go minęły sława i korona.

A kiedy wrócił, zbroję z siebie zdjął,
Odział się kutą, kij do ręki wziął,
I szedł w pielgrzymkę, jak uczynił ślub —
Potem dla syna wymurował grób,
I wraz z synową klękał na tym grobie,
I płakał rzewnie i złorzeczył sobie.

*Mieczysław Romanowski.*

---

## WSTĘP
## DO »WITOLDOWYCH BOJÓW«.

---

Dlaczego duchem po rodzinnej ziemi
Błądzę ja zawsze, rozkopując groby,
I szukam życia zgasłego pod niemi,

Życia wśród prochów, śmierci, wśród żałoby?
Dlaczego idę ze świata upiorem
Na Anafielas, gdzie naddziadów cienie,
Z łukiem na plecach, a w rękach z toporem,
Z siwemi brody siadłszy na kamienie,
Płaczą i patrzą ku rodzinnej stronie
Szklanemi oczy, bez łzy i uśmiechu,
Sparłszy na oręż spracowane dłonie,
Sparłszy na ręce piersi bez oddechu?
Dlaczego duch mój nie pójdzie z żywymi
Życiem dzisiejszem serca rozweselać,
I bujać z nimi i rozśmiać się z nimi,
I ich rozkosze i radość podzielać?
Dlaczego w górę zwracam tęskne oczy,
I szukam duchów, co w nieba wzleciały,
W kraj nieśmiertelny, smutny a uroczy?
Dlaczego z nimi i w nim żyję cały?
Dlaczego w pieśni umarłych, co ludzi
Piersi nie grzeje, serca nie porywa,
Wiecznie się głos mój wysila i trudzi,
I ledwie ustał, znowu się odzywa?
Czemu sam jeden na Anafiel lecę,
Napróżno ciągnąc zimny lud do siebie;
Wskazując przeszłość, stary ogień niecę,
Sam tylko, Litwo, mając łzy dla ciebie?
Czemu? nie powiem i wy nie powiecie,
Bo nikt z was nie wie słowa tej zagadki:
Z piastunki ręku czemu drobne dziecię,
Płacząc, się ciągnie do grobu swej matki?
Matką mi przyszłość a piastunką życie.

*J. I. Kraszewski.*

## Z MOHORTA.

(Wyjątek).

Dwa były stada: jedno zwał hetmańskiem,
W niem rosły konie polskiego zawodu,
Drugie nazywał zazwyczaj sułtańskiem,
To już drobniejsze, choć wielkiego rodu.

Kiedyśmy stada objeżdżali wkoło,
Zawołał ku nam pan Mohort wesoło:
»No, tu jest arkan, więc panowie młodzi,
Kto chce mieć konia, niechaj arkan rzuci
I weźmie konia, co w tabunie chodzi,
I niech na obiad do nas na nim wróci!«

Więc jaki taki w rzemiośle nieznanem
Próbował szczęścia i rzucał arkanem,
Ale daremnie.
»Hej! hej! szczęście nasze,
Że dziś z Tatarem nie wojuje Lasze« —
Zawołał w końcu, gdy spłoszone konie
Już się poczęły rozbiegać po stronie;
Lecz gdy po chwili rozsypane zrzadka
Stanęły znowu — rzekł: — »Oto jest matka!
Ta klacz wilczata, co tutaj na przedzie,
I ona wiecznie całe stado wiedzie;
Dziśby zginęła, wzięta z tego stada,
I żadna matka tak już nie przepada
Za swojem dzieckiem, jak za końmi ona,
I, jako lwica, jest nieustraszona,
To postrach wilków, i chociaż już starka,
Utłucze wilków więcej od Kafarka...

A ta tu druga z małą strzałką, gniada,
To już ostatki Wiśniowieckich stada,
Krew arcy-pańska! Tego rodu koni
Łapać na arkan, ni ujeżdżać trzeba,
Bo same z młodu przychodzą do dłoni;
Gdy je chcesz użyć, podaj z solą chleba,
Ogłaszcz, oklepaj i załóż wędzidło,
Siądź i jedź światem, byleby nie zrywać.
U każdej nogi u nich orle skrzydło,
Lecz się tych skrzydeł nie godzi używać,
Chyba już tylko w potrzebie ostatniej,
Kiedy ma wyrwać ze śmiertelnej matni;
U mnie jak dzieci na ręku się rodzą,
I za człowiekiem nie wiązane chodzą.

»Oto jej córka, zwie się Korybutka,
Jak na rzut oka niby trochę krótka,
Ale jak niema krótkiego pałasza,
Bo jeśli krótki, to pomknij się bliżej,
Tak kiedy trzeba, ni dłużej ni chyżej
Sumak nie skoczy jak perła ta nasza:
Przed kilku laty zginęła ze stada,
A po trzech latach sama wraca rada;
Lecz sądzisz książę, że do koni może?
Nie! mnie starego szuka na futorze,
I rży i lata, że aż ziemia dudni;
Poznałem rżenie, wychodzę z nawrotu,
A ona do mnie, i aż drży do lotu;
Więc pogłaskałem i wziąłem do studni;
Ktoś jej dopiero jedną okuł nogę,
Więc rozkuć zaraz kazałem niebogę.
A potem sobie przed namiotem legła,
Jakby się sama obcej ręki strzegła.

A to Giżycka, co chodzi po stronie,
Jacy Giżyccy, takie ich i konie,
Czem starsze, tęższe, a pewne po smaku,
Stąd niema równych do stępu i szlaku.

»A to już sławny jest ród Sahajdaczny,
Biały jak mleko, ale skóra czarna,
Hardy i twardy, i zrazu opaczny;
Ale jak ręka uchodzi go karna,
Całemu wojsku na przednią straż stoi;
Ktoby uciekał na nim, nie ujedzie;
Lecz się nie lęka ni ognia, ni zbroi,
I kto naciera, ten będzie na przedzie;
Daleko widzi, i słyszy na milę,
A dalej jeszcze wietrzy i przeczuwa,
Nigdy nie legnie, chyba przy mogile,
I inni kłusem, gdy on stępem suwa;
Kędy raz przejdzie, nie zmyli już drogi,
Sam na sam hardy, lecz przyjaciel duszny,
I jako ręka człeku jest posłuszny,
Kiedy już przyjdzie do okazyi srogiéj«.
Wtem spytał książę: — »A to co za hetki?«
Gdy troje koni myszatych pomknęło.
Na to rzekł Mohort: — »To inwentarz letki,
Ot i sam nie wiem, skąd się w stadzie wzięło.

»Odkąd ma dusza końskiej maci rada,
Zawsze się myszka przybije do stada,
I jakaś niby napaść oczywista!
Nie lubię myszki, bo maść narowista.
Ale ksiądz Rektor myszki tylko chowa,
Bo grubo-płaskie — więc i trudna rada.
Dawniej'm oganiał tę hańbę od stada,
Lecz teraz trudno powiedzieć i słowa.

Gdy klasztorowi myszka tak na czasie,
To niechaj sobie i ta sierć się pasie.
A jeśli gorszy księcia to myszate,
Jakże się wyda izabelowate,
Co tam spokojnie po stronie się wlecze?
Cóż Mości Książę o tej klaczy rzecze?
To moja iskra — »Kahorlicka córa«,
Z stada Tarnowskich, z łachmanów hetmańskich,
Nie sierć, lecz jedwab — pergamin nie skóra,
Zdatna do harców tylko arcy-pańskich.
Ktoby chciał wiedzieć, jaka cnota w rodzie,
Niech ją użyje w rycerskiej przygodzie;
Dopóki młode ma to krowie nogi,
Podobne osłu — coś później do muła;
Rok siódmy, ósmy dodaje ostrogi,
I więź i oko, i zagra krew czuła.
A gdy chrzęst broni i trąbkę usłyszy,
Rozdziera nozdrza, i aż rży, aż dyszy,
I czuć wyraźnie aż w sercu przez siodła,
Kto tej krwi panem, i co w bój go wiodła.

Po Izabelce niema już w tem stadzie,
Jak ta tu z grubą hreczką co na zadzie,
To ród sułtański dalekiego Wschodu,
Gdzie struś w pustyni gniazdo swoje kładzie;
Więc orle piórko nie wychodzi z rodu.
Wielkie na koniu Bóg położył znaki,
Jednak i wicher bywa nie jednaki,
Poniżej oczu podły wicher wszelki,
Powyżej oka wielkiego przymiotu,
Bo rozum znaczy, na szyi znak lotu,
A już na piersiach znak odwagi wielkiej,
I koń o jednym wichrze to już dobry
O dwóch, ma narów — ale znowu taki,
Coby miał razem trzy niebieskie znaki,

To już i mądry, i lotny, i chrobry;
I wielką łaskę ma u Pana Boga,
Komu do boju padnie na nim droga,
Bo nie da dotknąć jeźdźca, gdy na przedzie,
Wszystkich wybiega; gdy wyciągnie szyję,
Niema co rąbać, bo piersią rozbije;
A jak wnijść umiał, tak samo wywiedzie.
Niedarmo w świecie to pustynia słynie:
Póki w ojczyźnie jeszcze nie zaginie
Koń do pęciny od łba żyłkowany,
Póty i rycerz będzie jeszcze znany...

»Ten brudny kasztan, co tam jeden chodzi,
To syn sułtański, a koń pod Hetmana,
Trzy orle piórka i tam gdzie się godzi,
I biała nóżka do tego sudanna,
Więc nic lepszego!«
I krzyknął: »Arkana!...
To koń dla księcia, bo to wichrów czoło!«
Skoczyli ludzie — czyhają wokoło.
Wzrok się zapalił panu Mohortowi,
Zabrawszy arkan, podjechał znienacka
I jak pierścionek tak go rzucił z gracka!
A gdy padł prosto na szyję koniowi,
Kiedy koń ruszył, Mohort arkan ima,
Wziął go o kulę, pod nogę, i trzyma!
I jękła ziemia, i przypadli ludzie,
A w mgnieniu oka i koń się powalił,
Że się z nas każdy nad nim aż użalił;
Ale tabuńczyk po niedługim trudzie
Już go ochełznął, i tak się uwinął,
Że siadł na niego i z oczu nam zginął.

Długo pan Mohort patrzył za nim w pola,
I rzekł nareszcie: — »I to Boża wola;

I pójdzie ręką, gdy się tak prowadzi,
Bo poszedł równo, a jak strzała sadzi«.

A gdy wysoko książę ten dar ważył,
Taki był kontent, że już dnia owego
Nietylko starszych, lecz i nas każdego
Koniem ze stada swojego obdarzył.

*Wincenty Pol.*

## GARIBALDI.

Wszystko stare! Słońce na zachodzie,
Garść w półzmierzchu przyblakłych promyków —
Stary dworek w latosim ogrodzie,
W dworku dwoje starych romantyków:
Dziad z babunią w niemem zadumaniu...
Wszystko stare — jak dzień na skonaniu!

Wszystko stare... Ściany modrzewiowe,
Z belkowania próchno wieków świeci —
Na kominku figurki gipsowe:
Bonaparte, ten Wielki, ten Trzeci,
I przy młodym chłopięciu o kuli
Garibaldi w rozpiętej koszuli.

Garibaldi! Figurko gipsowa!
Co cię w nasze przyniosło poddasza?
Jakie miałeś na swych wargach słowa?
Jakie hasło na klindze pałasza?
Żeś pod dworku polskiego sklepieniem
Znalazł miejsce z płakanem wspomnieniem!

Coś ty żywy miał u swej źrenicy,
Ty wojaku w rozpiętej koszuli?
Że trwasz po dziś w tej starej świetlicy
Przy tem małem chłopięciu o kuli,
Że się do cię stare oczy śmieją,
Jak ku tamtym, co byli... nadzieją!

Coś ty mówił tym starym za młodu,
Nim srebrzone pochylili głowy?
Że cię wzięli na ołtarz narodu,
Ciebie, obcy posążku gipsowy?
Z czem zaszedłeś do mej ziemi w gości?
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
Dziadu, powiedz!?
...Był echem wolności!

*El. Kazimierz Laskowski.*

# MARATON.

Dawnych olbrzymów przed wami postawię
I z nimi wskrzeszę świat stary, zamarły,
Może choć wtenczas przy waszej niesławie
Z wstydem przyznacie, że jesteście karły...

## I.

Ha! Sardes gore! a spowity w dymie
Gnuśny mieszkaniec snem rozkoszy drzymie,
I osmolone nim przetarł powieki,
Już go objęły złote ognia rzeki,
Już nieprzyjaciel stopą pierś mu tłoczył
I nóż ocierał, co się krwią obroczył,
Ha! Sardes gore! lament się rozrasta,
Ha! Sardes gore!

Z płonącego miasta
Wybiegł niewolnik, a za nim w pogoni
Jęk konających przy uchu mu dzwoni.
I leciał nocą osłoniony mrokiem;
Czasem za siebie trwożnym rzucał wzrokiem,
A wiatr przez góry żarem za nim dmuchał
I wrzask niósł z sobą. On stanął i słuchał:
Może mu teraz wróg braci wyrzyna,
I starą matkę napawa krwią syna,
I chatę niszczy ogniem i żelazem?
— Hej! niema czasu. Z Satrapy rozkazem
Pędź dalej, gończe! Jeszcze drogi wiele!
Gdy wrócisz, trupów policzysz w popiele.

Zerwał się goniec znękany boleścią,
Ruszył przez puszcze z nakazaną wieścią
I biegł tak skoro aż do wschodu słońca:
A gdy na czatach zszedł innego gońca,
— »Hej! Sardes gore! do Suzy! do Suzy!«
Krzyknął i wrócił, a tamten przez gruzy
Jak struś popędził, rozwinąwszy skrzydło,
I znikł przed słońcem, jak nocne straszydło.

II.

Suza, wiosenna królewska stolica,
Jako wybrana młoda miłośnica
Rozpieszcza pana; o, bo jej kochany
Zatęskni w lecie do swej Ekbatany,
A stamtąd w zimie mknie do Babilonu,
A gdy się skłoni do wiecznego schronu,
W Persepolisu skałach grób wyrąbie
I na wiek wieków uśnie w katakombie.

W Suzie, na dworze, król Daryusz ucztuje;
Sto cudnych dziewic jemu usługuje,

Stu niewolników na klęczkach się wije —
On innej wody przy stole nie pije,
Tylko z Choaspu dalekiej krynicy,
A chleb je tylko z eolskiej pszenicy,
A wino jego to aż z Chalibamu,
Sól z puszcz Afryki, ze świętego chramu
Zewsa-Ammona. Bo każda kraina
Pod jego ręką żelazną się zgina,
Co ma najlepsze z drugiemi pospołu
W pokorze znosi do pańskiego stołu.

A tak gdy Daryusz rozległ się za stołem,
Przybieżał goniec i padł przed nim czołem
I woła: — »Panie! Sardes, Sardes płonie!
Sardes, ten klejnot w twej złotej koronie,
A oto rokosz podnieśli Jończycy,
Sprzymierzeńcami są im Ateńczycy
I palą miasto!«
A drugi nadbieży
I woła: — »Panie! Sardes w gruzach leży!
Ateńczyk spalił zamek i świątynię,
Winem napełnia święcone naczynie,
I tobie, królu, przy uczcie urąga!«

Król, wściekły gniewem, wielki łuk naciąga,
I w błękit nieba wypuszcza zeń strzałę
Z prośbą do bogów, aby tę zakałę
Krwią obmyć dali. I jednego sługę
Odstawił, aby każdą rwącą strugę
Wrzawnych uczt jego tamował wykrzykiem:
— »Pomnij się, panie, mścić nad Ateńczykiem!«
A potem Magów rozkazał przywołać
I pyta: — »Grekom godzien też podołać?
Naród to wielki, gdy taki zuchwały?«
A oni rzeką: — »Królu! kraj ich mały,

I w mniejsze jeszcze rozerwany państwa;
Łatwo go w jarzmo zakować poddaństwa.
To szczypta ziemi, tyle co zatrzyma
Przechodzącego podeszwa olbrzyma.
A gdybyś kazał ostrymi pazury
Rozerwać stare Babilonu mury,
To mógłbyś, panie, żwirem i kamieniem
Zasypać kraj ten z całem pokoleniem«.

Magowie prawdę mówili ci, królu,
Naród to mały, lecz, jak pszczoła w ulu,
Każdy z osobna o swym domu radzi,
A gdzie potrzeba, wszystek się gromadzi.
O, kraj to mały, tyle co zatrzyma
Przechodzącego podeszwa olbrzyma;
O, kraj to mały, niby szyba tarczy,
Lecz na grób wrogom przecież go wystarczy

III.

W Atenach wrzawa! Perscy heroldowie
Stoją na rynku i w nieznanej mowie
Coś ciżbie głoszą. Nikt ich nie zrozumiał —
Jeden Grek tylko, co po persku umiał,
Wstąpił na kamień i zaczął tłómaczyć
Na język swojski, a to miało znaczyć:
»Daryusz, król Persów i Medów, pan świata,
»Na harde ludy plaga i zatrata,
»Zsyła heroldów, by mu wasze plemię
»Na znak poddaństwa dało wodę, ziemię;
»A może da się pokorą przebłagać
»I wstrzyma rękę, co ma Greków smagać!«

Za każdem słowem lud, jako lew, mruczał,
A potem śmiechem szyderskim zahuczał,

Plwał w oczy Persom i szaty rozdzierał,
Ciskał kamieniem. — Pers z trwogi umierał,
A lud, jak rzeka ogromna w wylewie,
Rwał ich ku sobie, szalał w wściekłym gniewie,
I wlókł ich drżących aż za miasta bramy.
Tam między skalnych przepaści rozłamy
Wtrącił heroldów i w ciemnię głęboką
Puścił za nimi w ślad ciekawe oko:
W dzikiej radości aż zębami zgrzytał,
Widząc, jak Pers się po urwiskach chwytał,
I czepiał cierni, i okrwawiał ręce,
I wył, jak szakal, w przedśmiertelnej męce.
A potem — ścichło, — potem jęk: — o skały
Już się ich czaszki w bryzgi roztrzaskały;
A lud zaciekły, zemstą rozjuszony,
Szydził, nad jamą stojąc pochylony:
— »Tam poddostatkiem i ziemi i wody!
Jedzcie i pijcie!«
Temistokles młody
Wystąpił z tłumu i rzecze: — »Ojcowie!
Słuszną ponieśli karę heroldowie;
Lecz między nami jest Grek winowajca,
Niechaj więc ginie, jak oni, jak zdrajca!
Niech więc i tego nie ominie kara,
Co plugawymi wyrazy barbara
Dziś do niewoli wzywać nas się ważył.
Ojcowie! on nam nasz język znieważył!
On jego świętość pokalał i zbrukał,
Na hańbę naszą słowa w nim wyszukał!
Od kiedy przyszła z Olimpu ta mowa,
Jeszcze się w niej tak nie wiązały słowa;
On nierozważnie o jej męty trącił
I czyste źródło mowy naszej zmącił«.

A w całym tłumie jeden okrzyk słynie:
»W przepaść z nim, w przepaść! niech ginie! niech ginie!«
I ciągną Greka. — On błaga ze łzami,
Żeby go razem nie grzebać z Persami,
Żeby nie mieszać jego wolnych kości
Z kośćmi heroldów. W oznakę litości
Dwaj przyjaciele i bracia najszczersi
Własną mu ręką rozpłatali piersi.
On błysnął okiem w bezmownym podzięku
I upadł trupem bez skargi, bez jęku.

IV.

Z czterech stron świata ciągną się zastępy,
Z czterech stron świata zlatują się sępy,
Medy z Egiptem, Pers z Indyanami,
A Artafernes i Datys wodzami.
Aż wichr się zrywa od wiania buńczuków,
I gwar powstaje od pochrzęstu łuków,
Od końskich kopyt ziemia poczerniała,
Tak wielka koni i ludzi nawała.
Możnaby nimi podbić cały świat ten,
A tam krzyk tylko: »Do Aten! Do Aten!«

I mają rozkaz surowy wodzowie
Żadnej ateńskiej nie przepuszczać głowie
I wiele, wiele przysposobić łyków —
Tyle w Atenach wezmą niewolników.

Ciągną szarańczą. — Z pięknego Miletu
Zostały jeno ogryzki szkieletu.
Na szyjach niewiast szczerbiły się miecze.
Chodzono w zakład, kto więcej wysiecze.
Naxos w płomieniach, nad nią dymy w chmurach,

A starce z dziatwą chronią się po górach.
Morska Eubea w perzynie osiadła,
Harda Eretrya do ziemi przysiadła,
I cała Grecya struchlała i zbladła.

V.

W Atenach trwoga; lud tłumem się zbiera,
Milczy i smutnie po sobie spoziera.
Wierny swój naród opuściły bogi,
I do wyboru dały mu dwie drogi:
Łańcuch lub hańba — lub śmierć i mogiła!

I jedni szepcą: »Nieprzyjaciół siła!
Na cóż się przyda ofiara i męstwo?«
A drudzy krzyczą: »Śmierć albo zwycięstwo!«

Śród nich Milcyades, jak zesłannik bogów,
Jak ona Pytya z delfickich trójnogów,
Słowem podźwiga zwątpiałego ducha.
Lud go otoczył, zwiesił skroń i słucha.

— »Kto chce być sługą, niech idzie, niech żyje,
Niech sobie powróz okręci o szyję,
Niech własną wolę na wieki okiełza:
Pan niedaleko — niech mu do nóg pełza,
I tam głaskany, a potem wzgardzony,
Niechaj na progach wybija pokłony,
Niech, jak pies głodny, czołga się bez końca
Za pańską nogą, która nim potrąca!

»A my zostańmy! My w nieszczęściu razem!
Albo wytępim Persów tem żelazem,
Lub za najświętszą wielkich bogów wolą

W grobie się wolni schronim przed niewolą.
Na naszej skroni tylko z laurów wieniec,
Lub bladość trupia — nie wstydu rumieniec!

»Wy się trwożycie tą liczbą ogromną
I tą przemocą, co się zda niezłomną? —
Cóż jednak znaczy taka ćma motłochu,
Wylęgła z prochu, czołgająca w prochu,
Którą do boju popędzają biczem,
Aby nie pierzchła przed mężnych obliczem?

»Jakąż nad nami może mieć przewagę
Zgięty niewolnik, którego odwagę
Nikt nie ocenia, co bez łez umiera,
A gdy zwycięży, całą sławę zbiera
Żelazna ręka, co go w bój wypycha,
A którą prawo nie włada, lecz pycha?

»A u nas wielkie praojców posągi
Do świetnych czynów wzywają, jak ongi,
Długim szeregiem ogrodziły rynek,
Ażeby sądzić każdy nasz uczynek,
Aby nas gromić marmurową twarzą,
Jeżeli wrogi ziemię ich znieważą.

»A u nas wszystko do boju porywa:
Każda piędź ziemi, mogiłami żywa,
To jasne niebo, co niesie w obłoku
Cienie poległych, widne duszy oku,
I cała przeszłość, ta przeszłość wiekowa,
Co w swojem łonie tyle sławy chowa!

»Bogowie z nami! jedno nasze ramię
Tysiąc najemców zgruchoce i złamie!
Bogowie z nami! Oni nas prowadzą!
Oni nam siłę Tytanów nadadzą!
Niechże nas wspiera ich błogosławieństwo!«

A lud wykrzyknął: — »Śmierć albo zwycięstwo!«
I śród radości weselnych okrzyków
Posłał do Sparty i do Platejczyków
Prosić pomocy.
Odmówiła Sparta,
Bo jej zabrania święta ustaw karta,
Co jest wyrocznią przy wszelkim obrządku,
Na bój wyruszać w księżyca początku;
Ale Platea, nie bacząc na gwiazdy,
Przysłała zbrojny hufiec dzielnej jazdy.

## VI.

Nad Maratonem
Wzniosło się niebo zarzewiem czerwonem.
Nad Maratonem przeciągają sępy,
Siadły na skałach i dziób ostrzą tępy;
Biją skrzydłami, niecierpliwie kraczą,
Rychło też ścierwo na polu zobaczą.

A przeciw Persom stoi garstka ludzi.
Persom się zdaje, że ich oko łudzi,
A gdy poznali istotę zjawiska,
Zagrzmiał w ich szykach śmiech urągowiska.
Med pomrukuje: »Szaleni! szaleni!
Jeden na tysiąc!? my niezwyciężeni!«
Greccy wieszczkowie dobrą wróżbę głoszą,
I na znak dany miecze się podnoszą.
Noga wprzód sunie, mur się tworzy z tarczy,
Od strony Medów już milion strzał warczy;
Już się zbliżają, już ku sobie biegą,
Szczęk, jęk, kurzawa.
Niech bogi ich strzegą!

VII.

W Atenach pusto. Kto mógł miecz podźwignąć,
Już ojca swego w boju chciał wyścignąć.
W nagłej potrzebie, dla kraju posługi
Rzucano skarby, warsztaty i pługi;
Nawet swych mędrców uczniowie odbiegli
I za kraj może w tej chwili polegli.
I każdy ziszczał nie słowem, lecz czynem,
Że nie wyrodnym ojczyzny był synem.

W Atenach pusto, śród obszaru miasta
Pozostał starzec, ślepiec i niewiasta.
A kto mógł, patrzał w trwożnym niepokoju,
Czy nie obaczy co od strony boju.
Nic, nic nie widać; i słońce zagasło,
I gwiazdy... Cyt — cyt... w pobliżu coś wrzasło...
Prędkimi kroki po bruku ktoś bije,
I woła: »Tchu! tchu! głosu! Grecya... żyje!
Cześć! Cześć! Milcyades! Tchu!... Zwycięstwo z nami!«

Kobiety z domów wyszły z pochodniami...
Z gałązką lauru Grek ulicą bieżył
I padł, wołając: »Zwy-cię-stwo!« — Już nie żył.
A lud się ciśnie, podnosi mu głowę,
Rozrywa zbroję; całe ciało zdrowe!
Ni śladu rany.
Na pobojowisku
Po całodziennem morderczem igrzysku,
Po krwawym trudzie, po skończonej wojnie
Tysiące ludzi usnęły spokojnie.
Grecy z Persami na jednem posłaniu
Leżą bez gniewu w wiecznem pobrataniu.
A przy nich kruki skaczą i godują:
I schrzypłym głosem braci swych zwołują.

Z jednego Greka kruk ciało wyrywa,
Grek konający tak do niego śpiewa:
— »O szarp, szarp serce, niech już zaumiera!
O pij, pij, kruku, krew to bohatera!
Szarp, pij, a dziób twój, jak ramię, urośnie!«

Niewiasty greckie śpiewają żałośnie,
Nad każdym trupem chylą się z kagańcem,
Czy okrytego nieprzyjaciół szańcem
Nie ujrzą ojca, kochanka, lub męża.

Wschodzący księżyc bije w lustr oręża:
To Sparta idzie obaczyć ciekawa,
Gdzie się toczyła Aten walka krwawa,
Gdzie Med okrutny, co swe straszne imię
Obwieszczał Grekom w krwi, w pożarów dymie,
Teraz bezwładny, spokojnym snem drzymie.

*Kornel Ujejski.*

---

## WILLA WOŁKOŃSKICH.

### I.

Zamknięta... Cicha, zamknięta i biała,
Sypiąca róże u sennych podwoi,
Na tłach cyprysów, w marmurach swych stoi,
Milczy i pała.

Zamknięta... Razem z szelestem i echem
Kroków pielgrzyma z dalekiej krainy,
I z upojeniem rozkoszy i winy,
Z łkaniem i śmiechem.

Zamknięta... Z żarem ust, co tu gorzały
Szeptem miłości i szeptem zachwytu,
Z drżeniem żądz nocy, z omdleniem dosytu
W poranek biały.

Z rozpaczą spojrzeń, co dobyć chcą z duszy
Nieskończoności czar i piją męty, —
I z melancholią, co jest w swojej głuszy,
Jak grób zamknięty.

Nagle, otwierasz te ciche pokoje:
Woń róż umarłych wybucha z ich wnętrza,
I fala ognia, od ognia gorętsza,
Tchnie w piersi twoje.

I stoisz w progu, iść dalej nieśmiały,
Rzęsą nakrywszy źrenicy płomienie...
Tam, za kotarą, dwa szepty, dwa cienie
W uścisk się zwiały...

## II.

W szerokiej ciszy leży świat,
W wieczornej ciszy...
Otwarła noc już swój biały kwiat
I wonią dyszy.
Pali się łuną zachodnich zórz
Nieba i ziemi skraj.
— Echo gdzieś płynie z za gór, z za mórz —
»...Znasz-li ten kraj?...«

Stary akwedukt rzuca cień
Na mirt i róże.

Skroś arkad świeci mdlejący dzień
W złocie, w purpurze.
Odlata roniąc blaski swych piór
Skroś lazurowych staj...
— Echo gdzieś płynie z za mórz, z za gór —
»...Znasz-li ten kraj?...«

Lateraneńskiej wieży dzwon
Na Ave bije...
Módl się, bo idzie noc, śmierć i zgon
Temu, co żyje...
Na wieży płonie złocisty ćwiek,
Cyprysów klęczy gaj...
— Echo gdzieś bije od pól, od rzek —
»Znasz-li ten kraj?...«

Po wzgórzach wieją modre mgły,
Ruin zasłona...
Jakiejś przeszłości sypią się łzy,
Coś mrze, coś kona...
O, jaka tęskność, jaki ból!
Zamknięty jest mój raj...
— Echo gdzieś płynie od rzek, od pól —
»...Znasz-li ten kraj?...«

III.

Tu był, tu czuł, tu marzył. Tędy jego oko,
Zapalone tęsknotą, przez sabińskie szczyty
Biegło pod sine gwiazdy, w świat mgłami nakryty,
I pierś ku mrocznym borom dyszała głęboko.

Tu śpiewał. Rozkochane słowiki tej wiosny
Ucichły w mirtach, w jego wsłuchując się pienie,

Bo był głos — nad ich głosy — gorący, miłosny,
A z pieśni biły szumy zbóż i gajów drżenie.

Tu czuł. Stąd duch, napięty piorunowym łukiem
Natchnienia, strzałą leciał przez włoskie lazury,
I szum swój zlewał w akord z północnych burz hukiem
I ciskał błyskawice i gromem bił w chmury.

Tu, na samotnej sosny patrząc czarność, smętny
Odwracał od róż oczy tęskne, gorejące...
Stąd — orzeł, gniazda swego górnego pamiętny, —
Wzniósł loty, wzbił nad ziemię i uleciał — w słońce.

*Marya Konopnicka.*

## TESTAMENT ŻÓŁKIEWSKIEGO

PODŁUG AUTOGRAFU WIELKIEGO HETMANA.

Zawsze w pamięci każdego człowieka
Ma stać przytomnie: niepewność godziny,
Śmiertelność ciała, i ów, co nas czeka,
Sąd boski, straszny, za żywota winy.
Toż i ja, pomny ludzkiej nędzy zmiany
Tem więcej teraz, gdy wyruszam w pole
I radbym śmierci słodkiej z bisurmany,
Tu mą ostatnią daję poznać wolę...
Abym przed grobem jeno deptać wroga,
A nie miał innej sprawy ze żywemi,
A zaś po śmierci — abym się ku ziemi
Już nie oglądał, gdy pójdę do Boga.

Małżonko moja! najmilejsza, wierna,
Bogu Cię zlecam, ze wspólnemi dziatki
Żebrząc, by ręka Jego miłosierna
Nie opuszczała moich sierot matki!
Byłaś wżdy cnoty pełna białogłowa,
Pewienem przeto, że nad mym popiołem,
Z wstydliwem, czystem i bez skazy czołem,
Stać będziesz jasna, jak zakonna wdowa,
Do porównania z gromnicą wspaniałą,
Co ciemnych grobów jest pociechą całą!

Żywot małżeński spędziliśmy razem,
Jak dzień pogodny, jak jeden, tak właśnie
Proszę po zgonie, gdy spocznę pod głazem,
Pamiątka moja niech w tobie nie zgaśnie,
W żałoby wdowiej niech nie więdnie cieniu...
Dziateczki lube miej w czułem baczeniu,
Niechaj to wzrasta, jak pod słońcem w maju,
Hoduj te płonki dla Boga i kraju,
Wszystkich spraw innych odbiegłszy z ochotą;
Boć najprzedniejszy owoc ludzkiej pieczy:
Syny i córy, gdy zapłoną cnotą!
Za fraszkę chwała wszystkich innych rzeczy!

Jeszcze Ci jedno do serca zlecenie,
Małżonko, kładę: Zrobiłem legata,
I leżą tam już na wzgórku kamienie
Pod kościół, co miał stanąć tego lata.
Wybuduj ty go ze szpitalem razem,
Opatrz obficie srebrem i żelazem,
Marmurem, złotem: niech krzepko i świetnie
Stanie na ziemi, a wieżą prze chmury!
I z Panią naszą wzbija się w lazury!
Kosztu nie żałuj, Bóg go wróci setnie,
I duszy może da losy łaskawsze...

Wszem zaś potomnym (jakichbądź doczeka)
Ma gmach ten świadczyć od wieka do wieka,
Że człek rycerski trzymał z Bogiem zawsze.

Ciebie też, moja córeczko, Kasieńko,
Starą hetmańską błogosławię ręką,
Nie bez łzy w oku, a w której się mieści
Tren ciężki wszystkiej ojcowskiej boleści!
Bo jeśli jakie miałem ja tu swoje
Rozkosze rajskie, i anielskie śmiechy,
To pewno z tobą, aniełątko moje!
Rośnij więc zdrowo, na wszystkie pociechy
Ojczyzny, matki i przyszłego męża!
Niech Bóg nad tobą swą łaskę rozmnoży,
Ćwicz się w pokorze i bojaźni Bożej,
Pomnij, że Panna starła głowę węża,
Że prawa Polka — święta białogłowa.

A teraz do cię już ostatnia mowa
Janie! mój synu! gdy rękę podnoszę
I na twej głowie składam krzyża znaki,
O jedno tylko Pana Boga proszę:
Aby prostował życia twego szlaki!
Bo tylko prosta jest uczciwych droga,
A choć w zawałach twarda i uparta,
Zawsze to jedna, co wiedzie do Boga,
Inne, acz lżejsze, prowadzą do czarta.
Tej się więc prostej trzymaj zawsze drogi,
Przy wierze, królu — podobien opoce,
Stój, a nie chwiej się — nie ustępuj z nogi,
Choćby cię parły wszystkich piekieł moce!
Przyjdzie ci na harc, miej serce mężnego
I idź przed znakiem — naprzód — w Imię Boże!
Byś też i poległ, to osobliwego
Nic przy tem więcej spotkać cię nie może;

Ginąć za wiarę słodko i poganom,
Ale już rozkosz wielka chrześcijanom.
Życie ma walor, a i śmierć zaiste!
Kiedy otwiera bramy wiekuiste.

Pamięć spraw dobrych, na cnoty zadatek
Zostawiam w spadku, a nie rejestr długi
Kluczów i włości, choć i tych dostatek
Miałem i swoich, i z krwawej zasługi.
Wszakże na ciągłą potrzeb pospolitą
Szły me intraty i (mówię bez pychy)
Część mienia dałem wcale znakomitą,
Tak, że fortuny szmat tam został lichy.
Ale mi nie żal! Bom zawżdy rozumiał,
Że grosz dla kraju, to na lichwę datki
W Boską skarbonkę, a wreszciem nie umiał
Odróżnić od swych potrzeb wspólnej matki.
Radzę-ć i tobie taki dóbr szafunek,
Bo łatwy z niego przed Bogiem rachunek.

Ten najszczęśliwszy, kto rzucił swe zwłoki
W twardy kurz bitwy na czasy wieczyste;
Toć mauzoleum nad wszystkie zaiste!
Gdzie puchem piasek, kotarą obłoki.
Pewnieć mnie takie nieśmiertelne łoże
Byłoby drogie, i z serca go życzę,
Lecz niezbadane są wyroki Boże!
Więc co pogrzebu mego ciała tycze,
Proszę cię, synu, nie czyń duszy sromu!
Nie wódź tych koni, tych hajduków tłumnie,
Jeżeli umrę w pokoju i w domu,
To złóż me kości w prostej czarnej trumnie,
I chowaj w ciszy, z powagą, dostojnie.
Lecz gdybym głowę położył na wojnie,
Wtedy nie kirem, nie płaszczem żałoby,

Ale mnie obrzuć całego szkarłatem,
I nie dla dumy, ni pysznej ozdoby,
Nie! nie dla pompy tam marnej przed światem,
A na radości znak, żem mógł obfitą
Dać krew za wiarę i rzeczpospolitą.
Tak ja ze świata chcę iść w ojców groby
I w tej koszulce czekać zmartwychwstania.
Chwała bądź Trójcy w godzinę skonania!
Amen!
Stało się, stało! Cecoro struchlała,
Widziałaś głowę odciętą od ciała,
Głowę hetmańską, szlachetną, sędziwą...
Widziałaś wbitą na zniewagi włócznię,
Widziałaś motłoch, jak śliną zjadliwą
I wściekłym wrzaskiem plugawił wciąż hucznie,
Sierotę siwą wlokąc do Cargrodu,
Kiedy na haku w pałacu sułtana
Resztka siwizny u sklepień obwodu
Zawisła sina, pocięta, krwią zlana,
Jak potwór straszny dla Stambułu stróża,
Dla nas... jak pełna... jak męczeńska róża.

*Stefan z Opatówka.*

---

## MENUET

(J. I. Paderewski. Menuet Op. 14).

---

Sala w barwach, w blaskach tonie,
Kandelabrów światła drżą;
W głębi sali na balkonie,
W harmonijnem unisonie
Śpiewa wiola przy trombonie,
Flet prym trzyma zgodnie z nią.

Menuet właśnie rozpoczęty,
W tłumie rośnie wir i gwar.
Pełen dźwięku i ponęty
Taniec w wolny rytm ujęty,
W malownicze koła skręty
Łamie szereg strojnych par.

W pozach wdzięcznych, w takt miarowo
Pląsa każdy z damą swą;
Raz wraz w gracyę jednakową
Głowa schyla się za głową,
Błyska gwiazdą brylantową,
I jedwabie barwne lśnią.

Raz wraz lekko się przesuwa
Z miejsc na miejsce każda z par,
Zda się płynie, zda się fruwa,
I do siebie wzrok przykuwa —
Widzów tłum ów czar odczuwa,
Zwolna cichnie rozmów gwar.

Płynie niczem niezmącony
Ponad tłumem skrzypiec śpiew,
Cicho wtórzą mu trombony,
Szat jedwabnych przytłumiony
Szelest idzie przez salony,
Rzekłbyś: szum dalekich drzew.

Trel za trelem szybciej goni,
W chórze teraz wiedzie rej;
Tancerz damie swej się kłoni,
Podniósł rączkę jej w swej dłoni,
W pląsach krąży wciąż koło niej —
Idą za nim oczy jej.

W takt melodyi wracających,
Po posadzki taflach lśniących,
Biegną drobne nóżki dam;
Skoczą w lewo, umkną w prawo,
Na paluszkach cicho, żwawo
Migną, błysną tu, to tam
Po posadzki taflach lśniących...

Szepty, śmiechy i spojrzenia
Sypie taniec tu, to tam,
Miesza, plącze, rwie, zamienia.
Czyjejś twarzy lub ramienia
Czasem lekko, od niechcenia
Dotknie wachlarz której z dam.

Czasem nagłym, szybkim zwrotem
Rączkę damy tancerz sam
Muśnie szarfą lub żabotem,
Wstrzyma w dłoni swej przelotem...
Nie wspomina nigdy o tem,
Lecz pamięta każda z dam.

»Długoż, piękna margrabino,
        Wzdychać będzie sługa twój
Cóż srogości twej przyczyną?
Chcesz zniechęcić, margrabino,
        Wielbicieli swoich rój?

»Twoje oczy z blasku słyną
        I czaruje uśmiech twój;
Jak ćmy w ogień lecą — giną
Słudzy twoi, margrabino,
        Wielbicieli twoich rój!..«

»Panie hrabio, twoja mowa
Ach! do głębi wzrusza mię.
Dziś na wszystko jam gotowa,
Tylko śpiesz się — rzecz nie nowa —
Zgaśnie miłość twa chwilowa,
Nim ten taniec skończy się!

»Mówisz, hrabio, że w komplecie
Otoczyliście tu mnie;
Wszyscy serca mego chcecie?
Mieć kolejno je będziecie.
Ty, mój hrabio... w menuecie —
Potem, proszę, zwróć mi je«.

W pozach wdzięcznych, w takt miarowo,
Pląsa każdy z damą swą;
Raz wraz z gracyą jednakową
Głowa schyla się za głową,
Błyska gwiazdą brylantową —
I jedwabie barwne lśnią.

*Czesław Jankowski.*

## DUMA O SAMUELU KORECKIM.

Wśród czarnej wieży grobowych podziemi
Dumał mąż groźny, próżen trosk i trwogi:
Czy się też jeszcze kiedy z ojczystemi
Zobaczy progi?

W trzynastu bitwach, grzmieniem niesłychanem
Drętwił dzicz, stare grabiąc jej zabory...
Cóż, kiedy nie mógł z sędziwym hetmanem
Ledz u Cecory.

Raz z ośmset braćmi w krąg go obegnano,
Pięć dni go siekli groźni najezdnicy,
Aż, zdradą wzięty, poszedł w plen z strzaskaną
Szablą w prawicy.

— Kto ci rozkazał — spytał sułtan dumnie —
W kraj mój z żołnierstwem wkraczać rozhukanem?
— Nikt — odrzekł Samuel — sam tak chciałem. U mnie
Jam tylko panem!

— Widzę, żeś mężny; wolno idź do domu,
Jeśli uchylisz przed prorokiem czoła...
— Wiedz, że Korecki nigdy się nikomu
Kłaniać nie zdoła.

Wściekły od gniewu sułtan wraz rozkaże
W najpodziemniejsze wtrącić go warownie:
Lecz wkrótce więzień, omyliwszy straże,
Uszedł cudownie.

Najświętszą Pannę uczciwszy w Lorecie,
Wrócił do swoich, istny syn światłości,
Gość z poza świata, co choć rad, a przecie
Niedługo gości.

Wkrótce... Cecora!... wstrząsł się, i o dziwo!
Zadrżał mąż groźny!... On, dźwigając pęto,
Widział, jak głowę hetmana sędziwą
Na włóczń zatknięto.

Tyle krwi przeżył, klęsk i hańby tyle!
Raz wtóry żywcem pchnięty w łono ziemi,
Niechby już wreszcie grób był znalazł, byle
Pomiędzy swemi...

Tak, na żelaznej ręce wsparłszy głowę,
Dumał. Noc była. Wicher rozszalały
Ryczące wściekle głębie Bosforowe
Grzmocił o skały.

Wśród szpar drzwi więźnia skąd te mdławe brzaski?
Chrzęsły wrzeciądze. — Kto tam? — Czausz sułtana
Wchodzi, zwiastując, że mu z jego łaski
Wolność jest dana.

Samuel z zadumy podniósł lica blade:
To, co rzekł zwiastun, snadź złe jakieś knowa...
Wzrok wrył mu w oczy i wyczytał zdradę,
Lecz nie rzekł słowa.

Wstał — stąpił krokiem — alić tuż u proga
W padalcze skręty stryczka więź zelżywa
Szyi mu sięga. Zbladł i boleść sroga
Pierś mu przeszywa.

Westchnął, krew wszystką w mężne serce zbierze:
— Boże mych ojców! — rzekł cichemi modły —
Nie daj, by, ginąc, krzyżowe rycerze
Mieli zgon podły!

A wtem mu w krzepkich członkach lew zachrzęści,
Drgnął — spadły więzy. W siepaczy gromadzie
Pierwszego z brzegu ściąwszy młotem pięści,
Trupem go kładzie.

Zdobył nóż — siecze. Próżno ku pobudce
Zwiększa się zgraja. Samuel nie zna trwogi,
Dwunastu było, wszystkich sobie wkrótce
Zwalił pod nogi.

Przypadli drudzy, złość w nich jadem wzbiera,
Żelazne drągi garść rozwściekła imie,
I z rykiem runą na kark bohatera
Czernie olbrzymie.

On walczy. Gdy mu z zdruzgotanej dłoni
Nóż wypadł — barki przyparłszy do ściany,
Szarpie zębami, piętami się broni
Mocarz krwią zlany.

Wzrok mgłą mu zaszedł — on jeszcze zwycięża.
Padł wreszcie, mając głowę roztrzaskaną...
Tylko żelazem żelaznego męża
Przemódz zdołano!

Tak legł złamany, ale nie ugięty...
Noc była, przycichł wicher rozszalały,
Rozkołysane Bosforu odmęty
Ciężko dyszały.

Jakibądź, Panie, zgon nas przed Twe progi
Pchnąć ma, czy sławny, czy z ręki zdradzieckiej,
Daj nam ku niemu iść, jak szedł bez trwogi
Samuel Korecki.

*Felicyan Faleński.*

# DZWON WAWELSKI.

Słyszycie — w Zygmunta dzwonią!
Powietrze wstrzęsły rozdźwięki,
I ciężkie poważne jęki
Falami Wisły się gonią.
W miedziane dachy uderzą,
Walą się w ulice miasta,
Aż się po rynku rozszerzą,
A dźwięk się wzmaga, rozrasta —
Drżący wzlatuje nad wieżą,
I w czarnej chmury uścisku
Pochwalne hymny śle niebu,
Czy smutne psalmy pogrzebu,
Czy straszne krzyki ucisku?

Słuchałem długo wieczorem,
Duch mój tak wsłuchał się cały,
Że dźwięków tych rozhoworem
Dziwne w nim pieśni zagrały:
To się w przeszłości zagłębił,
To w blasku słońca zapalał,
Szumami wichrów rozszalał,
I w chłodach grobów oziębił.

A dzwon mi mówił powieści:
Jak wiele razy w przeszłości
Brzmiał rozgłosami wielkości,
Tryumfu, wesela, chwały
I takim jękiem boleści,
Że go dwa morza słyszały.

On mówił: »Mam pierś spiżową,
Jak piersi mego narodu,
Serce żelazne, jam głową
Wszech dzwonów starego grodu,
Serce żelazne — gdy go burza czeka,
Serce żelazne — gdy się dąsa piekło,
A jednak serce wielkiego człowieka:
Bo choć tak wiele uczuć z niego ciekło,
Tak wiele uczuć tajemnie w pierś biło,
I wiekuista pleśń na niej osiadła,
Jednak uczucie łona nie stopiło
I rdza mi serca nie zjadła.

»Ja czuję za wszystkie dzwony,
Pamiętam za wszystkie księgi,
Gdy brzmiące wyrzucę tony
I wspomnień roztoczę wstęgi:
Na dźwięk mój, jak na zaklęcie,
Przeszłości spęka się trumna,
A ona — jasna i dumna
Duch ludzi w swoje objęcie,
W uścisk pochwyci uroczy
I sen w nich wzbudzi proroczy«.

Słuchałem dzwonu i na przemiany
To się płoniłem — to bladłem;
Potok przeszłości płynął wezbrany
Przed duszy mojej zwierciadłem.
Jak w zachwyceniu, jak w śnie proroka,
Jasne obrazy, miłe rozgłosy
Tak się cisnęły do ucha — oka,
Spadały w duszę kroplami rosy,
Że odświeżona z tęsknoty pleśni,
Z przeszłości, jakby z pajęczych tkanek,
Snuła nić dźwięków, wiązała w pieśni,
Jak kwiaty w wonny, błyszczący wianek.

R. 1520.

Onego czasu król dzwon kazał ulać
I wybudował mu wieżę wysoką,
A król potężny miał sławę szeroką,
Chciał, by swobodnie i dzwon mógł pohulać.
Wieżę naprzeciw ściany Tatrów stawił,
By echo dzwonu aż do morza grało,
Żeby potęgę narodu rozsławił,
I aż na północ zabrzmiał jego chwałą.

I dzwon ulany — na karkach stu wołów
Wybiegł na wieżę i zawisł u szczytu;
I wylał z siebie w przepaści błękitu
Pierwszy hymn Bogu, jak chóry aniołów.
Głos leciał w górę, w pełnych, brzmiących kołach,
I wstęgę dźwięków jak piorun rozwinął,
Rozbudził echa po dumnych gór czołach,
I do stóp Boga zapłynął;
A od imienia króla mu nadano
Na chrzcie tym »Zygmunta« miano.

R. 1532.

Z pod Obertyna wracał Jan z Tarnowa,
A nad nim sztandar tryumfu wiał,
W gałązkach dębu siwa jego głowa,
A w oczach ogień zapału tlał;
A przed nim szło sześćdziesiąt dział
I u stóp króla usiadły,
I za działami zdobyte sztandary
Pod stopy króla się kładły,
I z gołą głową wołoskie bojary
Na twarz przed królem upadły.

I zstąpił z tronu ów król sędziwy,
Jana do serca przycisnął,
Sławą narodu dumny, szczęśliwy
Łzą rozczulenia zabłysnął.

I kiedy starzec ściskał starca dłonie męskie,
Dzwon rozgrzmiał po powietrzu swe hymny zwycięskie,
A naród uchem w duszę wciągał tę pieśń wzniosłą,
I wzrok mu się rozogniał, i serce mu rosło.

*Edmund Wasilewski.*

## W DZIEŃ PRZENIESIENIA ZWŁOK ADAMA MICKIEWICZA NA WAWEL.

Wzięli ją z ziemi na ramiona
I w białe róże otulona,
Zakuta w trumnę, ale dumna,
Bo jej nie mogła objąć trumna,
Szła pieśń.

Poczęli za nią płakać młodzi,
Że im się taka pieśń nie rodzi,
Że ją ujrzeli cichą, w trumnie,
Gdy pośród starców, zbiegłych tłumnie,
Szła pieśń.

Po ludziach przeszedł szał oręża,
Bo ta, co walczy i zwycięża,
Ta, która umie, kiedy truny
Położą naród, rwać całuny,
Szła pieśń.

Nieśli ją w ciszy i w żałobie,
Lecz nie złożyli pieśni w grobie,
Bo w białych zwojach, w róż koronie,
Aby z królami być na tronie,
Szła pieśń.

*K. M. Górski.*

---

# OSTATNIE CHWILE ZYGMUNTA AUGUSTA.

## (OPOWIADANIE STAREGO DWORZANINA).

Właśnie godzinnik którąś, nie pomnę, uderzał,
Lecz już dobrze w noc było, gdym na zamek wbieżał
Zdyszany, z lekka ugnę oponę komnaty,
A chociaż w cieniu szedłem, wydał szelest szaty
I ciąg, co pofalował damaszkiem kotary.
— Kto tam?
— Ja, miłościwy Panie!
— Ty, mój stary?
Masz z sobą wizerunki? — rzekł słabo.
— Mam, Panie!
Ino co z Tykocina... — Wielkie radowanie,
Gdy z lampy jaspisowej padł odblask bladawy,
Dostrzegłem w licu króla na wieść mojej sprawy.
Dał znak: myśmy schorzałe podjęli mu ciało,
Oparłszy o wezgłowie. Potem, gdy się zdało
Duszno w komnacie, ręką biskupa odprawił
Krakowskiego, toż Mniszchów, — mnie tylko zostawił.
— Pokaż Waść! — Jam skrzyneczkę misternej roboty,
Klęknąwszy, podał; kluczyk otworzył ją złoty,
I król wyjmował... Co zaś malarz tam nakréślił,

Nie wiem; gdyż, patrząc w Pana, srodzem się zamyślił
I zdumiał, skądby zmiana? bo ono oblicze,
Tak zwiędłe, przybrało się w kolory dziewicze,
A oczy, by dwa szkiełka, nie z siebie świecące,
Zagrały gwiazd żywością, i ręce mniej drżące
Zdały się, gdy po długu nad łożem je trzymał
Z wizerunkiem, co pańską pierś szeroce wzdymał
I łzę dobywał. Dziw-to! istne babie lato
Ono wspomnienie, co nam bramuje bogato
Jeszcze żgło nasze, jakby do wiecznej pościeli
Kwiaty co najkraśniejsze rzucali anieli...
To też go odmłodziło lepiej bezoarów,
I praktyk onych nocnych i z Zuzanną czarów!
Bo, zrywając się z łoża siłą nadzwyczajną,
Wołał: — Komorny, szaty! słyszysz, szaty daj-no!
Płaszczyk hiszpański z krezą, łańcuch z karbunkułem,
Jako na gody. Słyszysz... muzykę poczułem,
Bekwarka lutnię... o nie! dźwięczniejszy nad lutnię,
Głos-to mej Basi... słyszysz! jak woła okrutnie...
Trzymajcie — mdleje... Matko! czego chcesz, Królowo?! —
I, niby odpychając, zrywał się na nowo
Z wezgłowia, chcąc za onem już lecieć widzeniem;
Lecz go w pół ciała wziąwszy, z pańskiem przeproszeniem,
Wtłoczyłem w łoże — kędy, napoły omdlały,
Opuścił głowę, iście pod kosą kwiat biały...
Mnie strach zdjął. Nie wiedziałem, wołać-li lekarzy,
Lub księdza z wijatykiem? panów dygnitarzy?
Tylkom nie puszczał z ręku, słuchał, czy puls bije,
Długo, długo, aż westchnął, pot oblał go... żyje!
Chciał mówić, usty ruszał, by pragnął ochłody;
Podałem kordyał, wypił — znów zdał się jak wprzódy
Jedną myślą trapiony; raz wraz ku oponie
Wzrok rzucając, to znowu wyciągając dłonie;
Zagadał: — Czyśmy sami?

— Sami.

— Niech nie waży
Nikt wchodzić.
— Komornego stawiłem na straży.
— Dobrze! — Wskazał na skrzynkę: — Porusz te sprężyny.
Jam ruszył i otworzył.
— Co tam?
— Pergaminy
Zwinięte jakieś.
— Wyjmij i czytaj, co stoi.
Rozwijam, biorę czytać, a w oczach się dwoi,
Tak dziwne konterfekty i wejrzeniem takiem,
Żem mimowolnie krzyża przekreślił je znakiem,
I rzekł z ciężkością, pomnę, mniej więcej te słowa:
»Cichy sługa sług pańskich, Opat z Jędrzejowa
»Baejus, prophetico spiritu natchniony,
»Wiedzion chwałą Kościoła i zdrowiem Korony,
»Takowe vaticinium, z gwiazd i książek wiela
»Zebrane, ostatniemu z Jagiełłów udziela«.
— Ostatniemu! — król krzyknął — a już lat trzydzieści
Jako ta przepowiednia w mym skarbcu się mieści;
Ostatniemu! więc onej postułki proroctwo
Jak raz odgadło domu mojego sieroctwo!
Tak marnie! wielki Boże!... tu oko posępne
Łzą stanęło... po chwili jam czytał następne,
A raczej opowiadał dziwne one znaki,
Zodyakowe Panny, Lwy, Niedźwiadki, Raki,
Wagi i Ryby — i stąd różne konjunktury
Wywodząc a szeroko: czem zagraża który
Przy zbiegu z niebieskiemi gwiazdy i planety,
Skąd złe grozi, a jakiej chronić się kobiety;
Jakie herezye ścierać, a w jakiej trwać wierze;
Z kim bój prowadzić, a z kim zawierać przymierze,
Bo grożące tronowi i krajowi szkody
Wzbierają już w wnętrznościach, jak śmiertelne wrzody;
I innych rzeczy dużo, lecz pod figurami.

W końcu rzekłem: — O Panie! nie trwóż się baśniami,
Astrolodzy nie zawsze z prawdą się popiszą.
— Cóż dalej? — król zapyta, a piersi mu dyszą
Od wzruszenia. — Cóż dalej?!
— Już wszystko, co było —
Odeprę.
— Wszystko? jakże marnie się skończyło! —
I złożył na krzyż ręce, by modlił, żałował,
Że bezpotomnie nogą do grobu zstępował;
A może z sokołami przegamracił losy
Korony... Strach pomyśleć! mnie aż wstały włosy,
Gdym widział, jak zgryzota siadła mu nad brwiami,
I co cierpiał. Westchnąłem: — Zmiłuj się nad nami,
Boże, i nad nim! — gdy wtem oko padło z trafu
Znów na pergamin.
— Panie, małom paragrafu
Jednego nie prześlepił; dopisan jest z boku,
I dopełniać się zdaje tajemnic wyroku...
— Więc to nie koniec? Widzisz, nie koniec, mówiłem.
Czytaj...
»W lat dziesięć znowu horoskop sprawdziłem,
»I gwiazdy swych wyroków nie cofły na jotę...
»Z ostatnim Jagiellonem gasną wieki złote...«
A król: — Przestań — na rany Zbawiciela, cicho! —
Zwinął pięści i groził... Myślę: — Czy mi licho
Nadało czytać? A on: — Kłamie prorok, kłamie!
Kłamią gwiazdy! — i silnie schwycił mię za ramię,
Że znak będzie do śmierci... Lecz zaraz osłabiał
I bledszy upadł na wznak.
Jam panów pozwabiał
Do komnaty. Toż wbiegli... szmer stał się: — Król kona! —
Sam ksiądz biskup krakowski dłoń przytknął do łona:
Jeszcze biło i wargi drgały, lecz bez dźwięku,
I błogosławieństwo niby w podniesionych ręku
Zdało się spływać na nas... Poklękliśmy wszyscy;

W tej ciszy coś bełkotał; ci, co byli blizcy,
Słyszeli: — Kłamie prorok!... — nie pojęli treści,
Jam jeden pojął, milczał... Gdy wtem krok niewieści
Lekko z bocznych drzwi sunąc, mignie się przede mną.
Poznałem: to jej postać... choć pod szatą ciemną,
Ruch żywy, a na ustach uśmieszka tak wdzięczna,
By z pod białawej chmurki obrączka miesięczna.
Byłbym wstrzymał, zgorszony zjawiskiem nie w porę,
Lecz oto już u łoża oparła się, w chore
Ciało królewskie patrzy, czaruje i zda się
Mówić: »Pójdź w me objęcia, przypomnę ci Basię!...«
Na to jakby w odpowiedź wstrzęsła się kotara:
Oto masz, przy skonaniu jeszcze trapi mara!
— Precz, Syreno! — wnet przytnę — dość twoje praktyki,
Precz stąd musisz! — Chcę wywieść, aż tu głośne krzyki:
— Król ducha oddał! — wstrzęsną komnaty ścianami;
Aż tu ryk wielki z głosem kapłanów, z dzwonami,
Cały zamek ogarnia, wylega na błonie
Głośniej, donośniej, rzekłbyś po wszystkiej Koronie...
Żal mną rzucił o ziemię... Po czasie, źrenice
Gdym podniósł i ku łożu toczył — blask gromnice
Z jednej strony twarz zżółkłą oświecał, a z drugiej
Przez okno otworzone wpadał promień długi
Słońca, co już wschodziło nad Knyszyńskim borem
I szkarłatnym pół lica oblało kolorem...
Patrząc w to, iściem widział, jak anielskie skrzydło
Odganiało od duszy doczesność obrzydłą,
A z bram raju głos spływał: — Święty! święty! święty! —
W żalu i pokajaniu rzekłem, wskróś przejęty:
— Owo tak ziemskie wieszczby wszystkie się kończycie:
Niebieskim przepowiedniom wieczne schodzi życie!

*Lucyan Siemieński.*

## W ZBROJOWNI.

W żelazie chodzili od stopy do głowy,
Ich konie w żelaznem okryciu
Na boje ich niosły, turnieje i łowy,
A strój ich był równy ich życiu.

Bo życie to było i twarde i krwawe,
A głośne jak bitew fanfary,
Do świętej szli ziemi po śmierć lub po sławę,
Pod krzyża białymi sztandary.

Na twierdze pogańskie po trupach się darli,
Zatknęli swój znak na wieżycy;
A kiedy spoczęli, to dłonie oparli
Na krwawych swych szabel głowicy.

A jeśli wracali w obronne swe dworce,
To z blizną na piersiach lub twarzy,
Ze złotym księżycem pogańskie proporce
U pańskich składali ołtarzy.

A jeśli klęczeli — to tylko w kościołach,
A jeśli się bali — to czarów.
Po wojnie przy wielkich dębowych swych stołach
Ze złotych pijali puharów.

* * *

Dziś mądre ich wnuki, co z czarów się śmieją,
Bojowym się znojem nie trudzą,
I jeżdżą wygodnie żelazną koleją
W kraj cudzy, gdy w swoim się znudzą.

I z nudów, gdy chwilę poświęcą muzeom,
To rzadkim tam dziwią się rzeczom:
Ogromnym puharom, pancerzom, trofeom
I ciężkim pradziadów swych mieczom.

*Adam Pajgert.*

---

## MARGRABINY.

Nawiedziły mnie we śnie margrabiny moje —
Na samotne mych marzeń zstąpiły pokoje
Te cudne rozkosznice, zalotne i młode,
Abym rzadką ich piękność sławił i urodę.

Z płócien, co stroją rzędem ściany mej komnaty,
Zeszły cicho, a każda miała strój bogaty:
Perukę pudrowaną, jedwabne robrony
I naszyjnik, gwiazdami brylantów sadzony...

Uśmiechnęła się pierwsza rococo'wa pani,
Pamiętna dwóch margrabiów, co, w niej rozkochani,
Ostrzami szpad się starli, aby walką krwawą
Do jej miłości kupić upragnione prawo...

W ślad za nią kroczy druga, wdzięczna, jako łania,
Stworzona do pieszczoty i do miłowania —
Za nią dwór kiedyś szalał i topniały włości
Szambelanów królewskich, żądnych jej miłości...

Trzecia, z niewinną minką młodego dziewczęcia,
Do rydwanu swojego przykuwała księcia,

Co na jej kaprys każdy i skinienie ręki
Szedł, powolny, jak sługa, jak kochanek miękki...

Tuż za nią idzie czwarta, w latach już dojrzała —
Z duszy pięknej słynęła i z białego ciała,
Które boskiej zjednało jej miano Wenery.
Ukłonami mnie wszystkie powitały cztery...

I stałem, jak w olśnieniu, wpatrzony w zjawisko,
Gdy nagle stary szpinet zabrzęczał gdzieś blizko,
I cicho popłynęły menueta tony —
Pochyliły się głowy, uniosły robrony,

I cztery margrabiny w takt muzyki słodkiej
Zaczęły taniec płynny, marzący i wiotki,
Wytworny w każdym ruchu i w każdym ukłonie,
Jak niegdyś na królewskim tańczony salonie...

Szły wolno przeciw sobie, a w rytmicznym pląsie
Ręce ich to się łączą, to znienacka rwą się,
Aby za chwilę zbliżyć w uścisku na chwilę
Cztery zwiewne postacie, barwne, jak motyle...

I długo tak ich białe peruki się snuły
W takt melodyi rozkosznej, wabiącej i czułej,
A księżyc im poświatą świecił srebrno-złotą,
A dusza im poety grała swą tęsknotą.

*Zdzisław Dębicki.*

## DZIEWCZĘ.

»Panowie bracia! dalej na konie!
Daleko mamy pohasać,
Tam w owej stronie, gdzie łuna płonie,
Tam, tam będziemy popasać«.

Na konie wskoczą, sztandar roztoczą,
Wesoło trąbka zadzwoni,
Rumaki spięli, bramę minęli,
A na ich czele on goni.

Pędzą bez drogi, miną rozłogi,
Miną i stepy i pola,
A gdzie dokoła plądruje sioła
Zawolczyk — czartów swawola.

»Hej, bracia wiara, męstwo i wiara,
Odwaga, bracia! Bóg z nami!«
Furknęły piki, runęły szyki,
I już się sieką z wrogami.

»Ho, ho! gdzie nasza zafurknie pika,
Próżno się bronisz, psi synie,
Hartowna pika w krwi Zawolczyka
Łupieżcy serca nie minie.

Znajcie, zuchwali, grom naszej stali«.
Już ich wysiekli i lecą,
Aż gdzie za siołem tańczą półkołem,
Gdzie półksiężyce się świecą.

Wiara, wesoło! wpadli na czoło
I już na karkach im siedzą.
Szyki złamali, w trąbki zagrali,
Tatarzy, gdzie ujść, nie wiedzą.

Tam, tam, na prawo, mknie Tatar żwawo,
Przy nim na siodle dziewczyna.
»Hej, za mną, dzieci!« Kordem zaświeci —
»To moja córka jedyna«.

Ten żwawo goni, ów szybko stroni,
Lecz przed Zawolcem Dniestr płynie,
Wstrzymał się w biegu, stanął u brzegu,
Spiął konia — już na głębinie.

Dziewczę się zrywa, Boga przyzywa,
I pchnie Tatara na tonie,
Konia zwróciła, na brzeg skoczyła,
I już u ojca na łonie.

*Ludwik Jabłonowski.*

## TYRTEUSZ.

Arystomenes w świątyni Ateny,
W pośrodku miasta, puklerz w boju zdarty
Zawiesił nocą... Radość wśród Messeny,
Szalony popłoch panuje wśród Sparty.
Z murów, co dotąd nie zaznały trwogi,
Sromotny przestrach dawne męstwo płoszy,
Uchodzą wstydem pohańbione bogi —

Arystomenes Lakonię pustoszy,
I w serce miasta śle okrzyk zwycięski,
A tam jęk — rozpacz!...
Ustały igrzyska
Wojennej młodzi — wciąż klęski i klęski,
A znikąd zbawcza nadzieja nie błyska,
Przy wspólnym stole nikt głośno nie gwarzy,
Bo strach niewoli usta lodem ścina,
I tylko radzą i radzą wciąż starzy,
I ślą do Delfów, do wróżb Apolina.

W przybytku syna Zeusa i Latony,
Gdzie wieszczka bogów w tajemniczej mowie
Uchyla Grekom przyszłości zasłony,
Stają z darami spartańscy posłowie.
Nie znać w nich jednak tej spartańskiej buty,
Co ludom Grecyi w oczy kurz miotała;
Wzrok mężów chmurny, do ziemi przykuty,
A twarz od sromu blada i nieśmiała.

Wieńcami strojni i bielą odziani,
Słudzy Apolla zalegli świątynie —
Pada zwierz liczny dokoła otchłani,
Nad którą trójnóg w mgłach kadzideł ginie,
A na nim Pytya.
W porywczym zachwycie
Z ust jej bezładne, dziwne płyną dźwięki,
Apollo głosi: »Spartanie, wam życie
I wolność wróci tylko z Aten ręki,
Ich więc błagajcie!«
Błagać? — O złowieszcze
Słowo! Śmierć raczej z rąk mściwej Messeny!
Sparta ma błagać? Błagać?! Kogo jeszcze?!
Zazdrosne wiecznie i wrogie Ateny?
Sparta nie znała ni srebra, ni złota,

Wymyślnej strawy, ni pysznego stroju,
Tylko żelazo — a najpierwsza cnota
Spartańskich synów ginąć za kraj w boju;
Sparta ilekroć za oręż porwała,
Zawsze zwycięska: uległy Arkady,
Padła Tyrea i Messena spała
Lata w niewoli. — Wśród całej Hellady
Jedne Ateny stały jej na drodze,
Na każdym kroku czyniąc Sparcie wstręty:
Ateny Sparcie to cierń w krwawej nodze...
I dziś ich błagać?!!
Ale wróg zawzięty
Pod samo miasto rozpuszcza pogonie,
Kwiatem młodzieży gęsto zasłał pola,
I szydząc, poi w Eurotasie konie,
A Sparcie tylko już śmierć lub niewola —
Śmierć lub niewola!...
O, jeszcze zawcześnie
Umierać Sparcie! Choć przedśmiertne dreszcze
Przebiegły ciało, i duch porósł w pleśnie,
W schorzałej piersi bije serce jeszcze.
I krzew laurowy, gdy go dręczy spieka,
Opuszcza liście i zda się już ginie...
Lecz gdy wiatr spędzi nawał chmur z daleka,
I deszcz ożywczy potokami spłynie,
Laur nową siłą odżyje wspaniale,
Świeże listeczki gałęzie odmłodzą.

A co niewola? — nie wie Sparta wcale,
Bo niewolników jej córy nie rodzą.

Gdy nawą fala rozhukana miota,
Czyż hańbą szukać zbawienia wśród burzy?
»Z rąk Aten przyjść ma zbawienie żywota,
Z rąk Aten wolność Apollo nam wróży:

Słuchajmy bogów!«
Wnet Messeńskie straże
Omylił sternik, szybko z wiatrem leci,
Do Akropolu prostą drogę wskaże,
Bo Erychtona wóz na niebie świeci.
Nim księżyc Grecyi nowym błyśnie rogiem,
Straszne pioruny zagrzmią z gór Attyki,
Athene Aten — Ares Sparty bogiem.
Przed tem przymierzem drżyj, najeźdźco dziki!

Nim wrócą posły, Sparta bogów błaga.
Czaty jej wbiegły na wzgórza mórz brzegi,
Śledząc, czy rychło wionie zbawcza flaga,
Albo z gór spłyną ateńskie szeregi.

Złudne nadzieje — biegą dni i noce,
Cisza — nad miastem krążą sępów roje,
Czasami w dali żagiel zamigoce,
Lecz skrzętnie mija lakońskie ostoje.
Złudne nadzieje — próżno uchem męże
Pytają ziemi: w ziemi spokój głuchy...
Czasami, zda się, że dźwięczą oręże —
Nie: to wół w jarzmie potrząsa łańcuchy...

I wiele rzeki, wiele wód uniosły,
Z Aten ni flota, ni zbawcze zastępy,
Ni nawet własne nie wracają posły...
Tylko z północy gęste ciągną sępy,
I na wyżynach zasiadłszy Tajgetu,
O nagie skały poostrzają dzioby.

Za cóż wiatr wiosnę niesie od Miletu,
Chloris po smugach rozściela ozdoby?
Za cóż gród słońce pozłaca uroczo,
W powietrzu drgają cudne kwiatów wonie;

Gdy syny Sparty zwątpiały wzrok toczą,
A córy we łzach załamują dłonie...

* * *

Z woli Eforów zbiera się lud mnogi,
A przed nim pyłem odziany mąż stawa
I rzecze: — »Sparto, witam twoje bogi.
Jestem Ateńczyk!«
Cisza i wnet wrzawa
Rozbija chmury, — woła lud zdziwiony:
»Gdzie zbrojne hufce?«
Ateńczyk im na ten
Wykrzyk odpowie: »Przychodzę w te strony
Sam — mnie wysłali archontowie Aten.
Młódź nasza w domu stali grotów ostrze
Przeciw Megarze, a najwyższa rada
Z lutnią i pieśnią w pomoc Sparcie, siostrze,
Śle mnie, poetę Tyrteusza«.
»Zdrada!«
Ryknęły tłumy: »Szydercy okrutni,
W strasznej niedoli, zamiast zbrojnych szyków,
Ślą nam pieśniarza. — Precz! nie dźwięków lutni:
Krwi nam potrzeba, krwi! krwi Ateńczyków!...
Śmierć Tyrtejowi!«
I już tłum rozżarty
Z okrzykiem: »Śmierć! śmierć!« leci, już z wszej strony
Miecz błyska. A mąż rzecze: »Ludu Sparty,
Wszak jam bezbronny!«
I lud zawstydzony
Cofa się nagle sromem mordu tknięty;
Szmer tylko z piersi a gniew z oczu tryska.

Tak Eurotasu wzburzone odmęty,
Kiedy napowrót wrócą do łożyska,

Ono im ciasne — więc w skaliste łomy
Bije nurt wściekły, miota się i dyszy,
Jakgdyby groził co chwila brzeg stromy
Przełamać znowu.
Wśród chwilowej ciszy
Tyrteusz okiem pogodnem wokoło
Wiedzie, nie trwożny ni wrzawy ni grotów,
I rzecze, jasne wznosząc w górę czoło:
»Jestem Ateńczyk, a więc umrzeć gotów,
Gdy wam się zdaje, żem wniósł w wasze gniazda
Obelgę Aten i przyjaźni zdradę;
Lecz pozwól, ludu, nim zagaśnie gwiazda,
Ostatnią pieśnią pożegnać Helladę,
Grecyi poświęcić gasnące strun dźwięki,
A tam, do Aten, nad brzegi Illisu,
Wiatry poniosą echa mej piosenki«.

Cisza tak wielka, że słychać szmer cisu,
Pod którym stoi wieszcz, a lud wzburzony
Nie śmie odrzucić tej ostatniej prośby;
A choć zniewagi tkwią mu w sercu szpony,
Milczy ponuro i połyka groźby.
A Tyrtejowi czoło opromienia
Niebiańska światłość i męskie oblicze
Niewysłowiony krasi wdzięk natchnienia,
I z lutni zrazu nadziemskie, dziewicze,
Pełne a rzewne płyną w przestrzeń tony,
Jakoby z arfy czarownej Eola...
Znów jęczą dziko poszarpnięte struny
A pieśń wylata straszna — jak niewola!...

## PIEŚŃ.

»Znacie ten kraj, co mu stopy skaliste
Zmywa toń mórz, a Olimp wieńczy skroń;

Kastalskich wód kryształy biją czyste,
Słowików pieśń i róż zachwyca woń?

Znacie ten kraj, co mężnych synów chwałą
W daleki świat o sobie rozniósł wieść;
Potęgom burz nadstawia pierś zuchwałą
I szydzi z tych, co mu chcą jarzmo nieść?

Znacież ten kraj, co dostał z bogów ręki
Olbrzymią moc, z harmonią cudną słów?
Gdzie wyrósł mąż, co targał lwom paszczęki,
I mieczem swym ściął hydrze siedem głów?

Dziewiczych niw przemocą ani zdradą
Aż po dziś dzień nie zdeptał obcy wróg;
Znacież ten kraj?... nie znacie — nie — Hellado!
Ja ciebie znam i Ares, mężnych bóg.

Wyrzecz się ich! Hellado, ziemio święta,
Twym synem być wart tylko wolny mąż,
A Sparta kark w ohydne zgina pęta,
Messeno, pójdź! i lud ten podły wiąż!

W okowach wlecz do bram swojego grodu,
Na wieczny wstyd do żaren męże kuj!
Lub sprzedaj ich! a dziewice z ich rodu
Do twoich uczt niech ślubny wdzieją strój.

Śród fletnich brzmień niech w igrzysk śpieszą koło,
I z wrogiem pieśń na Sparty wznoszą skon,
A zdobiąc w kwiat Arystomena czoło,
Włochatą pierś do czystych tulą łon.

Bo w Sparcie już krew starych ojców zmarła!
Od Aten chcą, aby im pomoc nieść

I grożą im — a nie śmią wrogom z gardła
Ojczyznę krwią wydrzeć, wolność i cześć?!

O światło, zgiń! niech nigdy promień słońca
Nie spłynie już w skalany trwogą gród!
Niech straszny mrok, panując tu bez końca,
Skryje ten wstyd, co podły hańbi lud!

Ten wolny nurt, co mężnych krzepił znoje,
Niech wyschnie wraz! niech w łożu pełza gad!
Przeklinam cię, Lakonio, i twe zdroje!
Niech zatrze czas istnienia twego ślad!

I matki te, co trwożnych synów dały,
Zeusie, zhańb! oblicza wstydem spal!
Niech łona ich poszarpią lwy w kawały,
Lub własna dłoń zatopi w piersiach stal!

O Sparto, ruń! nim doznasz strasznej doli,
Nim zwiędnie laur, co kwitł na czole twym,
Nim syny twe przywdzieją strój niewoli:
Upadnij w gruz i hańbę przykryj nim!

O Sparto, ruń! zanim ślad twej wielkości,
Naddziadów grób, messeński zburzy młot,
I na żer psom rozwlecze święte kości,
A przodków cień odpędzi od twych wrot.

Ty ludu! nim wróg w pętach cię powlecze,
Ojców twych broń na progach domów złam;
I w przepaść rzuć! niech świat nie wie, że miecze
Były wśród was — a serca brakło wam!«

*
* *

I pieśń skonała; z ostatnim akordem
Mistrz lutnię z żalu roztrzaskał o głazy.
Gdy igrał ze lwem i drażnił go mordem,
I serce hańbą poszarpał sto razy —
Gdy grobom ojców groził z wrogiej ręki,
Przeklął ojczyznę i łona cnych matek —
Lud milczał — bólem skamieniały męki:
Lecz kiedy wygrał już pieśni ostatek
I pękły struny: wtedy jak huk gromów,
Co walą skały i druzgoczą lasy,
Jak trzask piorunów, co dno morskich toni
Palą swym żarem i niebo drą w pasy,
Z wzgórz, dolin, świątyń, przedsionków i domów
Powstał krzyk jeden: »Do broni! do broni!«
I z placów, ulic, ze wszystkich stron miasta
»Do broni!« milion powtarza się razy,
Zda się, że ludność z pod ziemi wyrasta,
Lub w zbrojnych mężów zmieniają się głazy.

Hasłem »do broni!« rozbudzona Sparta
Rzuca mdłe jęki i za oręż chwyta,
I znowu silna, straszliwa, rozżarta,
Potężna, wielka i walki nie syta.
Trzęsie się miasto od wojennej wrzawy,
Blednieje słońce od blasku oręża,
A naród chciwy rzucić się w bój krwawy
Z zapałem wzywa ateńskiego męża:
»Prowadź nas, prowadź! ty staniesz za krocie,
Umrzem! — lecz wolnej ziemi wróg nie zdepcze,
Umrzem! — lecz dziewic nie damy sromocie;
Chce wróg krwi naszej, niechaj ją wychłepcze!
Chce wróg krwi naszej, niech ją pije rzeką!
Lecz precz z niewolą! my do niej niezdolni,
Niechaj ostatnie krople krwi wycieką,
I padniem wszyscy, ale padniem wolni!«

»Prowadź! — niewiasty wołają i biegną —
Myśmy Spartanki, znamy się z żelazem,
Jeśli mężowie śród walki polegną,
Pobijem dzieci i zginiemy razem!«
I poszli...
Miasto długo pustką stało,
Słychać trąb odgłos, wraca lud zwycięski,
I na zdobytych dźwiga tarczach ciało
Spowite w laury...
Oto wieszcz ateński!

*Wł. L. Anczyc.*

## IDZIE ŻOŁNIERZ BOREM, LASEM...

### I.

Od północy wicher śwista,
Pusta droga, noc za pasem,
Idzie sobie legionista,
Idzie żołnierz borem, lasem.

Potargane lederwerki,
Nogi czarne, jak ta gleba,
A w tornistrze kąsek sperki
I czarnego kawał chleba.

Cały w łatach mundurzyna,
Furażerka — żal się Boże!
Ale jeszcze barwa sina
Przy ponsowym lśni kolorze.

Z kijem w garści, niby ślepy,
Postękując krzynkę czasem,
Przez bezdroża, przez wertepy
Idzie żołnierz borem, lasem...

## II.

Na zachodzie strop się pali,
Morze ognia płynie w górze,
Kędyś wioskę widać w dali,
Całą w złocie i w purpurze.

Ponad strzechy dym polata,
Żóraw skrzypi gdzieś u studni,
Ze źrebięciem klacz srokata
Na podwórzu dworskiem dudni.

Siwy bociek hen klekota
Na kościelnej starej wieży,
Srebrna Wisła z łąk migota,
Co do Gdańska szumnie bieży.

To zadźwięknie śmiech przelotny,
To ktoś piosnkę huknie basem, —
A tam smutny i samotny
Idzie żołnierz borem, lasem...

## III.

Noc zapadła tak ponura,
Jak był jasny dzień miniony, —
Dookoła czarna chmura,
Jak krew księżyc lśni czerwony.

Jakby ludzkie serce płonie,
Z krwawej piersi wyszarpnięte,
Wszystko głuchnie, w mroku tonie,
A to serce drga — przeklęte!

Ani chaty, ani pola,
Ani chleba, ani wody,
Jeno z tobą zła niedola
Na pustkowiu sprawia gody.

Jeno gwiazdy tam migocą,
Pokazując drogę czasem, —
Cichą nocą, głuchą nocą,
Idzie żołnierz borem, lasem...

## IV.

Hej, dorobek niesie suty:
Blizn bez liku! bose nogi! —
I żelazne zdarłby buty
Ten, co schodził takie drogi!

Od południa do północy,
I od wschodu do zachodu,
Latał orzeł w orlej mocy
Z państwa słońca w państwo lodu.

A za orłem skrzydłem burzy
Gnały ptaki z krańca w kraniec,
Krwawiąc pióra w tej podróży,
Z serc pod niebo sypiąc szaniec.

Gdy wędrówkę wspomni ową,
Serce wali tołumbasem, —
Z podniesioną hardo głową,
Idzie żołnierz borem, lasem...

## V.

Ot, szablica z rdzawą klingą,
Jeszcze na niej krwawa rosa!
Zna ją dobrze San-Domingo!
Somo-Sierra! Saragossa!

Nad Adygą, nad Wezerą,
U zielonej Renu fali,
Błyskawicą lśniła szczerą
I piorunem krwawej stali!

Pod płomiennych nieb szafirem,
W łunie piasku jarzącego,
Ona niegdyś pod Kairem
Osłaniała Sułkowskiego.

Śpi Sułkowski gdzieś w Egipcie,
Ukojony słodkim wczasem, —
Tak czytając, jakby w skrypcie,
Idzie żołnierz borem, lasem...

## VI.

Bo ma księgę w swej pamięci
Stary wojak — inwalida, —
To w wyrazie łza się kręci,
To dźga butnie, niby dzida!

Nić się krwawa wskroś przewija,
I po brzegach zorza złota,
A na kartach — kanalija!
Ludzkim głosem łka tęsknota!

Łka tęsknota wielkim głosem,
Bóg wie jeden, Bóg ją zważył!
Za jaśniejszym jakimś losem,
Co się marzył i przemarzył!

Zań to walczył w onej dobie,
Z biciem bębnów, z trąb hałasem,
Śniąc o grobie! wielkim grobie!
Idzie żołnierz borem, lasem...

*Or-ot.*

# III.

# JUTRZENKA.

## GAWĘDA Z SOBĄ.

Widzę, mospanie, jutrznię różową,
I kiwam głową!
Porwał śmiech pusty, komedya szczera
Serce rozdziera!
Jam stary wróbel, i nie dziś przecie
Żyję na świecie!
I wiele, wiele w życiu mem całem
Jutrzni widziałem.

Na jasnem niebie, na ciemnej ziemi,
Z barwy złotemi,
Lub w siedmiorakich kolorach tęczy
Jutrznia się wdzięczy;
I wiele rzeczy dobrych przyrzeka,
Chcąc zdurzyć człeka.
Ej! to zalotna tylko niewiasta,
Kłamie i basta!

Młodzian mię cieszy, żeśmy w tej chwili
Biedę przebyli.
»Wkrótce nie będzie, zobaczysz, dziadu,
Nędzy ni śladu!«

Znów obietnice, znowu nadzieje,
Serce się śmieje,
Ale ich czekać kolej tak długa...
Najniższy sługa!

Już zawstydzona przeszłość surowa
W ziemię się chowa.
Przyszłość przychodzi w tęczowej szacie,
Wierz, panie bracie!
Dla zbolałego serca osłoda
Jutrzenka młoda,
Lecz jasne słońce ze swą opieką
Jeszcze daleko!

Ha! znam ja tęczę... pogodę wróży!
Wierzą niektórzy!
Chociaż nad górą ściele się nizko
Czarne chmurzysko.
A jak się wróci chmura burzliwa
(Co często bywa),
Grzmotem zahuczy, deszczem zaleje,
Ot i nadzieje!

A tu wyraźnie kalendarz pisze:
»Mieć będziem ciszę« —
Błogosławiony, kto dziś ma wiarę
We wróżby stare!
Co to!... nie tylko bredzą bezkarnie
Nasze drukarnie,
I w Berdyczowie kalendarz, słyszę,
Androny pisze.

Ej, dolaż moja! przyszło się dosyć
W życiu przenosić!

Słońca mi trzeba, i powiem szczerze:
　　Gwiazdom nie wierzę...
Niech sobie widzą niewinne dusze
　　　Na wierzbie grusze,
Niech sobie zefir przebiega błonie,
　　　Ja go nie gonię!

*Władysław Syrokomla.*

---

# HANIA.

## LECI PIOSENKA.

Leci piosenka moja skrzydlata
　　Na krańce świata
　　　　Przez mroczny bór,
Nad jasne pola, nad modre rzeki,
　　Gdzieś w kraj daleki,
　　　　Za grzbiety gór...

I śpiewna płynie jaskółczym lotem
　　W powietrzu złotem
　　　　Błękitnych dróg —
Aż przyleciała moja piosenka
　　I kornie klęka
　　　　U twoich nóg.

## MOJA KRÓLEWNA.

Królewna moja idzie przez łąki,
　　　Nad kwieciem się pochyla

I zbiera małe dzwoneczki lila,
Te blade polne dzwonki.

A każdy dzwonek dźwięczy i dzwoni
W liliowe swe kielichy
O tem, co dzisiaj wśród nocy cichéj
Mówiłem gwiazdom o niej.

Królewna moja idzie przez łąki,
Dzwonienia ich nie słyszy,
Nie wie, com gwiazdom rzekł w nocnej ciszy,
I tylko zbiera dzwonki.

## DWA SŁOWA.

Nie będę z tobą mówił o wiośnie:
O tem, jak drzewa puszczają pąki,
Jak złoty jaskier nad wodą rośnie
I w jasne niebo lecą skowronki,
Jak rozorane, pachnące role
W słońcu oparem srebrnym się kurzą —
O tem ja milczeć przy tobie wolę,
Rzekłbym dwa słowa... za dużo!

## IDZIE WIOSNA.

Idzie wiosna i sieje pył złoty
Słonecznych promieni,
Wierzby dźwięczą wróblimi świegoty
W gałązek zieleni,
Ziemia kwitnie, iskrząca się rosą
Przez łzy się uśmiecha,
Ciepłe tchnienie z nad roli gdzieś niosą
Zapachy i echa...

Ty, jak wiosna — tak idziesz siejąca
Czar słodki oczyma,
Czar, co struny mej duszy potrąca
I pierś moją wzdyma,
Coś mi w sercu się śmieje i kwitnie,
I śpiewa i płacze —
Tak mi w oczach słoneczno, błękitnie,
Gdy ciebie zobaczę.

## CHOĆ NIE MAM PÓL.

Choć nie mam pól, choć nie mam łąk,
Ni lasu całych włók —
Mam nieba strop i świata krąg
Aż gdzieś po tęczy łuk.

Mam złoto gwiazd, purpurę zórz
I perły mlecznych dróg,
Szmaragdy niw, szafiry mórz,
Opale mglistych smug.

Mam każdy pąk rozkwitłych drzew
I róż pachnący dech,
I lasów szum, i ptaków śpiew,
I tysiąc brzmień i ech.

Lecz wszystko dam: ten cały świat
I pieśni srebrny zdrój
I wszystek czas młodzieńczych lat
Za pocałunek twój!

## PROŚBA.

Gdy mi się wszystko wkoło mroczy,
Gdy się powszednim trudem znużę —

Wtedy mi patrzeć daj w swe oczy,
W oczy swe czarne, ciche, duże...

Kiedy się ugnę w twardej męce
I gdy w bezsilnym smutku stoję —
Ty mi na czole połóż ręce,
Ręce swe miękkie, słodkie, moje!

## ANI TY MOJA.

Ani ty moja, anim ja twój:
Próżno mi, Haniu, o tobie śnić,
Pryśnie marzenia pajęcza nić
I snów tęczowych prześni się rój,
Ja w swoją drogę, ty w swoją idź,
Próżno mi, Haniu, o tobie śnić.
Ani ty moja, anim ja twój!

## SŁYSZYSZ, HANIU?

Na kwitnącej, na jabłoni
Słowik dzwoni
Tak srebrzyście, tak miłośnie
O tej wiośnie,
O młodości, o kochaniu...
— Słyszysz, Haniu?

## WIATRY ZWIAŁY.

Wiatry zwiały
Ten kwiat biały
Z pachnącej jabłoni,
We mgle bladej
Stoją sady
I słowik nie dzwoni.

Później, wcześniej
Sen się prześni
I kochać przestanę...
— Pod powieką
Łzy mnie pieką,
Łzy niewypłakane!

## SZUMNY WICHRZE.

Szumny wichrze głuchych pól,
Poleć jak najdalej,
Zabierz z sobą gorzki ból,
Co mnie w sercu pali.

Zabierz z sobą gorzki ból,
Niech przestanie boleć —
Szumny wichrze głuchych pól,
Na kraj świata poleć!

*Lucyan Rydel.*

---

## WITANIE WIOSNY.

Na okólnych pogórzach tatrzańskiej rodziny
Szaro-zielone mszyste przebłyskują smugi,
Babia góra, prababa wiekowe łysiny
Obwija czepcem śnieżnym; jej sędziwe syny
Błękitnieją w oddali schylonymi garby,
Dźwigając na nich dzieje i pamiątek tyle,
Że ich dotąd przemyślne nie zorały pługi,
I nie zmyły nawalne nieszczęścia szarugi,

Co trudnym deszczem ściekły po Kraka mogile,
Bo w jej łonie zaległy dla przyszłości skarby!
Wiosna, na niebie wiosna, dziewicza i jasna,
Słoneczną gra źrenicą, z piersi tchnie woniami,
Za każdem tchnieniem strzela z ziemi gwiazdka krasna
Stokroci i żywemi drga w niebo rzęsami;
A stara Wisła szumi i otrząsa lody,
Co ją mroźnemi pęty okuwały zimą,
I błękitem rozbarwia swoje białe wody,
A szelestem fal wszczęła gawędę rodzimą
Z ziemicą okoliczną; pod Wawelu grodem
Nadęła pierś matczyną białą dumy pianą,
Bo w niej zamkowe baszty błyszczą słońca wschodem,
I tulą do jej piersi swoją skroń rumianą,
I szepczą jej przeszłości wielkie, świętsze dzieje
A obecną odmianę; to z żalu fal jękiem
Rozpacznie wraz zaszumi, powodzią wyleje
Na błonia zwierzynieckie; wnet ściszonym dźwiękiem
Spływa stare koryto, a płynie w nadzieje!
I błoń się wnet odziała plon wróżącym majem,
Wieszczek skrzydlaty w błękit poleciał po wieści,
Skowronek pytać niebios poleciał za krajem
I wnet je oraczowi piosenką obwieści.

O ziemio! jakżeś śliczna w majowej sukience;
Słońcem się cała złocisz, tchniesz Wisły falami,
Skowronek pacierz ranny zmówił ci w piosence,
A gród Krakowa w chórze zamodlił dzwonami.

Ziemio moja! od dziecka grasz w mą duszę pieśni,
Jak ty stare, a świetne, jak słońca oblicze,
One pod sercem płyną, a z piersiowej cieśni
Wypierają się w błękit. Święto tajemnicze,
Ja się modlę do ciebie pieśniami takiemi.
Ziemio-Matko! bom perśmi karmiony twojemi
Ziemio-Matko! mą duszę wciągnij w twoje łono,
Synowską, nad twą dolą we łzy roztopioną;

Bo w wiośnianej sukience takeś straszno miła,
Jak dziewica, co wiankiem martwą skroń obwiła,
Gdyby letargiem zaraz po ślubie usnęła...
Tyś usnęła letargiem, bo twe ciało święte
Jeszcze toczącym śmierci robakiem nie tknięte,
O! ciebie słońce moje ogrzeje, tchniesz życiem
I syny twe powitasz głośnem serca biciem;
Wstaniesz i spojrzysz w słońce; dziś my, twoje dzieci,
Na twej chwały koronę wciąż zbieramy kwieci!

*Franciszek Żygliński.*

---

## LIST Z WENECYI DO ZAKOPANEGO.

Na *Piazza di San Marco* co gołębiom powiem?
Na *Piazza di San Marco* między ludzkiem mrowiem
Smutno i niegościnnie po twoim odjeździe.
Niejeden może gołąb zatęsknił dziś w gnieździe
Za twoją ręką hojną, co, jak lilia biała,
Skroś palce mu różowe złoty groch sypała.

Na *Piazza di San Marco*, gdy bije godzina,
Duszy mojej rozłąkę z tobą przypomina,
A gdy w południe wystrzał się ozwie armatni
I spłoszy stada ptaków — twój uścisk ostatni
Rękę mi swego ognia zapala zarzewiem
I stoję osłupiały, i dokąd pójść, nie wiem...

Daleka mi dziś jesteś, a tutaj — tak blizka!
Fala modra, mych smutków i tęsknot kołyska,
Gdy na smukłej gondoli, płynąc, list ten piszę,
Przynosi mi od morza ukojenia ciszę

I zda mi się, że w zmierzchy odpływamy szare
Oboje na tej łodzi, za miasto, *al mare.*

Ledwo nas pożegnały latarnie z *Piazetty.*
Ktoś imię me wymówił. Tyżeś to, czy nie ty?
Od brzegu jeszcze cicho, melodyjnie dzwoni
Uliczna piosnka włoska. Na *Riva Schiavoni*
Światełka coraz bledsze znikają powoli
I niesie nas w mrok nocy szybki bieg gondoli.

Od wody czarnej bije zapach morskiej trawy.
Adryatyk dziś spokojny i na nas łaskawy,
Fala pluszcze i pieści miłośnie kształt łodzi
Coraz śmielej, rozkoszniej i coraz to słodziej.
Dłonie się nasze spłotły w uścisku bez słowa,
I na ramię me lekko schyla się twa głowa...

Objęła nas już przestrzeń nieskończona morza,
Oko się gubi, wodne ścigając przestworza.
Płyniemy, oderwani od ziemskich wybrzeży,
Gondola nasza pląsa po falach i bieży,
Jakby czuła wraz z nami, że tu jest swobodna,
Dwie drogi tylko mając: naprzód, albo do dna!

Nie woła nas brzeg niczem. Nikt po nas nie płacze —
Przywiedliśmy swe serca aż tutaj — tułacze,
Pielgrzymi, którym cięży pył przebytej drogi,
Żniwiarze smutków życia, co swoje rozłogi
Gościnnie rozpostarło przed nami od młodu,
Łowcy chwil gorzkich nudy, pustki i zawodu.

Więc wolno nam nie wracać do brzegu, bo po co?
Lepiej w przestrzeń popłynąć tą gwiaździstą nocą
I miłość swą utopić w rozigranej fali,
Niżby nam ludzie, chciwi łupu, ją zabrali

I, obnosząc po świecie, jak naczynie złote,
Drwiąc, pili słodką, skrytą naszych serc tęsknotę...

A przez nas dobrowolnie porzucona w morze,
Stężeje kiedyś w perłę o cudnym kolorze,
Którą wyśniony z bajki wyłowi królewic
I wprawi ją w naszyjnik najpiękniejszej z dziewic.
A wówczas miłość nasza, w tę perłę zakrzepła,
Ożyje od jej piersi dziewiczego ciepła —

I może dwojgu ludziom to szczęście przyniesie,
Które myśmy zgubili, zabłąkani w lesie
Zjawisk, co w nasze oczy biły niespodzianie,
Aż nas zdradny los przywiódł nad morskie otchłanie,
Abyśmy morzu swoją daninę oddali
I spokój odnaleźli na dnie jego fali.

Cicho. Łódź wolno płynie. W wodzie pluszczą wiosła,
Daleko nas od brzegu gondola odniosła...
Z czarnej toni wyziera smutek, lęk i trwoga...
Gdzie jesteś? Przemów do mnie! Niema cię, na Boga!
Wypłynąłem snadź z widmem na bezdroża wodne,
Tak oczy mam widoku twojej twarzy głodne...

Gondoliere! Do miasta! Z powrotem, a szparko!
Prostą drogą powracaj przez kanał San Marco,
Pręż się, zmagając z wiosłem. Łódź twa, co tysiące
Kochanków już woziła, niech, nim wzejdzie słońce,
Podpłynie pod Piazetty marmurowe schody,
Pokryte, jak grynszpanem, pleśnią morskiej wody.

Tam wyskoczę i wiem już, co gołębiom powiem,
Gdy rankiem sfruną z gzymsów: że w duszy ołowiem
Ciąży mi tu samotność i że w dalszą drogę
Bez ciebie iść już nie chcę — i już iść nie mogę —

A jeden z nich poleci, poseł srebrnopióry,
I list ci mój zaniesie z nad morza — hen — w góry.

*Zdzisław Dębicki.*

## RÓŻOWA CHWILKA.

Pięknym jest ten gaj,
Piękną jezior toń,
Pięknym świeży maj,
Co roznosi woń;

Pięknym jasny dzień,
Co blask złoty śle,
Pięknym nocy cień
Na błękitów tle!

Piękny cały świat,
Piękny wzdłuż i wszerz,
Piękny każdy kwiat,
Każdy ptak i zwierz.

Piękny słońca wschód
I rumieniec róż —
Świat, jak jeden cud,
Piękny wszerz i wzdłuż.

Szczęście, rozkosz tu,
Szczęście, rozkosz tam,
Piersiom braknie tchu
Czerpać zachwyt sam.

Rozkosz płynie w dal,
Rozkosz płynie w krąg,
Płynie z szumem fal,
Płynie z wonią łąk,

Płynie z dolin, gór,
Z lasów, wsi i miast,
Z błękitów i chmur,
Ze słońca i gwiazd.

Słodko szumi las,
Słodką nuci pieśń,
Słodko patrzy głaz
Przez jedwabną pleśń.

Drzewa szczęściem drżą,
Drży ich każdy liść,
Drzewa tańczyć chcą,
Chcą powstać i iść.

Zatacza się buk
I cieszy się w głos,
Brzozy aż do nóg
Opuszczają włos;

Nawet stary dąb,
Przystrojony w bluszcz,
Chce się sunąć w głąb
Swawolących puszcz.

Ptaszki nucą tu,
Ptaszki nucą tam.
Brak mi w piersiach tchu,
Śpiew ich w sercu mam.

Słychać z poza drzew
W jaśminie i bzie,
Słychać ciągle śpiew:
»Ona kocha cię«.

»Kocha« — pluszcze staw,
»Kocha« — szemrze zdrój,
»Kocha« — brzęczy z traw
Złotych muszek rój.

»Kocham« — słówkiem tem
Ziemia w koło brzmi,
»Kocha...« wiem już, wiem!
Sama rzekła mi.

Muszę wierzyć jej,
Bo mi rzekła: Wierz!
Słońce, ty się śmiej!
Ziemio, ty się ciesz!

Róży imię ma,
Różą jest jej twarz,
Kiedy rączkę da,
Różę w sercu masz.

Nie wiem, jak się stał
Cud niebieski ten,
Jednak to nie szał,
Jednak to nie sen.

»Kocham« — rzekła w głos,
Płonąc jako świt —
Z ócz jej krople ros
Biegły gasić wstyd.

»Kocham« — szepnie znów,
A tuż za nią w ślad,
Oddźwiękiem tych słów
Zabrzmi cały świat.

»Kocham« — śpiewa bór,
»Kocham« — woła głaz,
»Kocham« — echo gór
Odpowiada wraz.

»Kocham« — słówko to
Śle tysiące brzmień
I tęczową mgłą
Barwi jasny dzień.

W słońca blasku drży,
Lecąc w światów toń,
Dźwięczy, lśni się, skrzy
I roznosi woń.

Na błękitów tle
Płonie ogniem zórz
I w powietrze śle
Słodki zapach róż.

I zakwita wschód,
Jak różowy kwiat —
Świat jak jeden cud,
Piękny, boski świat!

*El...y.*

## MOJA PIESZCZOTKA.

Moja pieszczotka gdy w wesołej chwili
Zacznie szczebiotać i kwilić i gruchać:
Tak mile grucha, szczebiocze i kwili,
Że, nie chcąc słówka żadnego postradać,
Nie śmiem przerywać, nie śmiem odpowiadać,
I tylko chciałbym: słuchać! słuchać! słuchać!

Lecz mowy żywość, gdy oczki zapali,
I pocznie mocniej jagody różować,
Perłowe ząbki błysną śród korali:
Ach! wtenczas śmielej w oczęta poglądam,
Usta pomykam i słuchać nie żądam,
Tylko: całować! całować! całować!

*Adam Mickiewicz.*

## ZAKOCHANA.

Jego dotąd niema
A duszyczka roi,
Ciągle przed oczyma
Jak zaklęty stoi.

Na dobrą intencyę
Dwa dni poszczę święcie —
A nuż nie przyjedzie?...
Przyjedzie, przyjedzie!

Przyrzekał, że w piątek,
A dziś już sobota —
Zawód na początek?
Piękna mi robota!
Nie myje się kotek,
I bez sroczki płotek —
Pewnie nie przyjedzie?...
Przyjedzie, przyjedzie!

Jakie on do uszka
Szeptał mi pieszczoty!
Ach, piękny! ach, duszka!
Ach, srebrny! ach, złoty!
Tańczył tylko ze mną
I raz kląkł przede mną —
Nuż bałamut skręci?...
Nie skręci, nie skręci!

A potem jak grzecznie
Pochlebiał matusi!
Ach, kocham! ach, wiecznie!
Ach, moim być musi!
Pokłoni się matce
I ma ptaszka w klatce —
A nuż panicz skrewi?...
Nie skrewi, nie skrewi!

Nudno czekać — a więc za to,
Gdy przyjedzie, to ukarzę,

Niech poczeka! — przed herbatą
Pewnie mu się nie pokażę!...

Lecz on jakiś taki żywy,
W jego sercu pełno burz!
Bardzo będzie nieszczęśliwy...
No, to zresztą wyjdę już,
Ale zato będę nosić
Ciągle przy nim śliczną różę,
A gdy o nią będzie prosić,
Nie dam — tylko się zachmurzę.

Lecz on dziwne ma kochanie,
Że szaleje, mówił sam,
Nuż co złego mu się stanie,
No, to zresztą różę dam.
Ale zato pod krosienkę
Nie zapomnę rączki schować...
I to srogo — a więc — w rękę
Dam się tylko pocałować.

Jego dotąd niema,
A duszyczka roi,
Ciągle przed oczyma
Jak zaklęty stoi...
Ach! jak kocham mamę
Otwierają bramę.
Kasztanek na przedzie!...
Ech... to proboszcz jedzie.

*Kornel Ujejski.*

## TRZEBA NAM WIARY.

Trzeba nam wiary — nie tej, co nęci
Tęczowej złudy obliczem;
Nie tej, co woła: O wniebowzięci
Słudzy Jehowy!
Trzeba nam wiary — nie tej, co w nocy
Przed słońca kryje się zniczem —
I drży, gdy świtu wielcy prorocy
Podniosą głowy.

Trzeba nam wiary — nie tej, co w duszy
Krzykiem: tyś prochem jest, człecze!
Zabija wolę i tętno głuszy —
To tętno czynu.
Ani tej wiary — tej, która każe
Odsłaniać piersi na miecze,
By znów przystroić pychy ołtarze
Liściem wawrzynu.

Trzeba nam wiary — nie tej, co wróży
Duchom złamanym cierpieniem
W zamian za kolce ziemskiej podróży
Raj w sferach mytu;
Trzeba nam wiary — nie tej, co zmysły
Piekielnem straszy widzeniem:
»Oto na wieki wam się rozprysły
Tafle błękitu!«

Trzeba nam wiary — tej wszechpotężnej,
Że wobec głodu i męki

Złączonym w światła hufiec orężny
Pójść trzeba w boje.
Trzeba nam wiary, że my zawiśli
Od własnej woli i ręki,
Że przekształcimy w bronze swe myśli
I laurów zwoje!

Trzeba nam wiary, że na rozsądku
I na miłości oparty
Śród wiekowego gmach nasz porządku
Złotem lśnić będzie;
Trzeba nam wiary, że ten gmach słońca
I chleba wszystkim otwarty,
Że każdy walczyć winien do końca,
Aż go posiędzie.

Trzeba nam wiary — wierzmy rówieśni!
O wierzmy, zwycięstw już blizcy!
I bądźmy zawsze jako ci w pieśni
Męże ze stali:
Bo oto idzie czas zmartwychwstania
I zmartwychwstaną ci wszyscy,
Co tej złocistej chwili zarania
Z wiarą czekali!

*Jan Kasprowicz.*

---

## BŁOGOSŁAWIENI!

Błogosławieni, którzy w czasie gromów
Nie utracili równowagi ducha,
Którym na widok spustoszeń i złomów
Nie płynie z serca pieśń rozpaczy głucha;

Którzy wśród nocy nieprzebytej cieni
Nie tracą wiary w blask rannych promieni —
Błogosławieni!

Błogosławieni, albowiem ich męstwo
Wielkiego gmachu wrota im otworzy,
Gdzie razem z Chwałą króluje Zwycięstwo —
Bez twardych kajdan i bez tych obroży,
Które na ziemi noszą upodleni...
Ten raj się tylko dla silnych zieleni —
Błogosławieni!

Błogosławieni, albowiem ich syny
Będą sprzątali z ich ziaren owoce;
I wśród zmartwychwstań porannej godziny,
Gdy złote słońce blaskiem zamigoce,
Będą wołali duchem podniesieni:
Za ojców sprawą świat się nam rumieni,
Błogosławieni!...

*Jan Kasprowicz.*

---

## TERKOTKA.

Biedaż moja z tą ciotką!
Przezwała mnie terkotką,
Jeszcze mi zawiąże świat,
A mam już piętnaście lat!
Taka plotka z poddasza
Kawalerów wystrasza,
A kawaler ślizka rzecz,
Zaglądnie — i pójdzie precz.

Otóż to pora i niezła pobudka,
Wstanę od krosienek, zbiegnę do ogródka,
Niech kukułka powie,
Czy przy tym narowie
Prędko pójdę za mąż — tak, tak.

Ile więc razy kukułeczka kuknie,
To za tyle wiosen wezmę ślubną suknię;
Lecz nim zacznie kukać,
Trzeba ją wyszukać...
O Jezu najsłodszy! — jest ptak.

Gadajże mi — kuku!
Króciusieńko — kuku!
Już mam dosyć! — kuku!
Kukuleńko! — kuku!
To ptaszysko — kuku!
W uszach wierci — kuku!
Krzycz-że sobie — kuku!
Aż do śmierci! — kuku!

Otóż im na złość pójdę za mąż prędko,
Złapię sobie chłopca siatką albo wędką
Na ptaka konfuzyę —
Wezmę wielką fuzyę
I wymierzę w ptaka — tak, tak!

Pani zaś ciotka na wstyd i na karę,
Na mojem weselu pójdzie w pierwszą parę,
Toż będę chichotać,
Toż będę terkotać,
Żem już swoją panią — na znak!

*Kornel Ujejski.*

## CZARY.

Coś się zdawało dziewczynie,
Coś się zdawało
Przy młynie,
Godzinę całą,
Patrzała, jak woda płynie,
Jak pod nią w wodnej kotlinie
Coś się pluskało!

Zdawało jej się, że w wodzie
Widzi tęczowy
Na spodzie
Gmach kryształowy,
A przed nim w świetnym pochodzie
W zaczarowanym ogrodzie
Królewskie łowy.

Zdawało jej się znów dalej,
Że widzi potem
Na fali
Błyszczących złotem
Rycerzy w hełmach ze stali,
Że nawet ukłony w dali
Widzi przelotem.

O cuda! tuż przed nią klęka
Piękna, jak świeża
Jutrzenka,
Postać rycerza;
W pół ją objęła dłoń męska —
Ona się płoni i lęka
I niedowierza.

On szepce miłośnie do niej:
— »Z kraju piękności
Barw, woni,
Z kraju młodości
W wieczyście błękitnej toni,
Przybywam z wieńcem na skroni —
Pragnę miłości.

»Jeśli masz serca choć tyle,
Żeby pierś biała
Na chwilę
Uczuciem drżała;
Porzucę skrzydła motyle,
I pozostanę tu w pyle
Ludzkiego ciała.

»Lecz jeśli tylko odgadnę,
Że kształty owe
Tak ładne
Są marmurowe,
Że serce nie drży w nich żadne,
To wtedy jak cień przepadnę
W mgły zaświatowe!«

Dziewczyna słucha i płonie,
Coś jej się zdaje,
Że w łonie
Zwolna powstaje,
W dziewiczej wstydu osłonie
Prawdziwa miłość — więc dłonie
Drżące podaje.

Lecz kiedy schyla się z trwogą
Do słodkiej mary
Pod nogą —

Byłyż to czary?...
Nie widać przed nią nikogo!
A tylko przechodzi drogą
Młynarczyk stary.

Widocznie w owej godzinie
Coś jej się śniło
Przy młynie;
Skądby wziąć było
Rycerzy w wodnej kotlinie?...
A może w pięknej dziewczynie
Serca nie było...

*El...y.*

---

## DZIECIĘCTWO.

Pamiętam cichą głowę o włosach jak len,
I blade chabry oczu z za rzęs ździebeł słomy,
I tych palców śnieżystych drobny splot ruchomy,
I ten głos oddalony i śpiewny — jak sen...

O, latarnio magiczna ukochanych scen!
O, wy w sadach tonące wiejskie strzeszne domy!
Obrazie jak mgła lotny, jak tęcza znikomy,
Omanie, zatracony w gorzkich dalach — hen...

Jak baśń o kwiecie groszku, szeptana przez ciebie,
Ożywa me dzieciństwo i rozchyla pąk
I niesie mię w pachnącej kwiatowej kolebie

Poprzez niezapominajki nizkich mokrych łąk,
Pod puchami obłoków na pogodnem niebie,
W zmartwychwstałej, najsłodszej pieszczocie twych rąk.

O księżycowe noce, rozwonione bzem!
O pokojów przyćmionych czarodziejskie cisze!
I twoje ręce, spadłe na białe klawisze,
I muzyka, płynąca niewyśnionym snem!

I nie wiedziałam tedy, z kim ja już i gdziem?
Jaki anioł się w górze skrzydłami kołysze?
I jeszcze tę anielskich piór muzykę słyszę,
I tyle cudów jeszcze z niej wysnutych wiem...

Białe lilie, zerwane z nad jasnego zdroja,
Kołyszą się i duszną rozsyłają woń...
Paląca rozkosz zdradnie oplątuje skroń

I wślizga się jak żmija do snów nieukoja...
O cudna, biała, słodka, ukochana dłoń.
Wbrew życiu i wbrew śmierci moja... moja... moja...

*Bronisława Ostrowska.*

---

## RANEK NAD MORZEM.

Cicho dziś zamiera w blasku
Morze jednym rąbkiem piany
I zostawia ślad na piasku,
Połysk szklany i różany,
Chłodząc ranne mgły po fali,
I prześwieca blado słońce...

Gdzieś wysoko, gdzieś w oddali,
Wielkiem skrzydłem bolejące,
Płyną zwolna wielkie łodzie,
Wielkie łodzie rozmarzone
I po sennej, gładkiej wodzie
W niewidomą idą stronę.

*K. M. Górski.*

## VILLA MADAMA.

Migdały kwitną, modry dzień,
Oparem ciepłym rola tchnie.
Ja błagam — i wśród innych tchnień
Wspominaj mnie.

Słońce się kryje w wełnach chmur,
Idzie pozłocić inny świat.
Zima z sabińskich czyha gór
Na wczesny kwiat.

Otoczy smutny mrok i nas,
Nastaną długie żalów dnie, —
W imię tych blasków złud i kras:
Wspomnij mnie.

*K. M. Górski.*

# AMOR I PSYCHE.

Psyche uciekła z domu, gdy w ramiona
Wziął ją raz Amor, i dziś, jego żona,
Mieszka wśród bogów, lecz się z nimi nudzi.
Rwie do dzieciństwa, do swoich, do ludzi.
Dzień cały błąka się niema, ucieka,
Gdy męża ujrzy, i tylko gwiazd czeka.
By udać ciche spanie, bo skrzydlaty
Małżonek w szale wpada do komnaty.

Gdyby dziś mogła na ziemię powrócić,
Jużby nie chciała miłosnych powieści
Słuchać, marzeniem snów dziewiczych kłócić,
Ni kochać w duszy białej i niewieściej,
Dzisiaj już Psyche to wie, jaką zgubną
Siłą jest miłość, złą i samolubną,
Wie, że kochaną, kochającą duszą
Tylko się ciała pożądliwe kuszą,
Że kiedy między dwojgiem istot padnie
Raz słowo »kocham« i zwiąże je zdradnie,
To już w Astarty tajemnym obrzędzie
Jedna ofiarą, druga katem będzie.

Gdyby tak uciec skrytą, cichą nocą.
Lecz mąż jej pragnie i więzi przemocą,
A patrząc na jej bladość, w głuchym gniewie
Trwa i klnie ślepe wyroki, bo nie wie,
Czego tej dziwnej kobiecie potrzeba,
Kiedy ją kocha on, jasny bóg z nieba.
Nie wie, że kiedy bierze ją w ramiona,
Jest najsmutniejsza i osamotniona.

I tak w tęsknocie żyje nieustannéj
Psyche, a pierś jej wzbiera ciężkie łkanie,
Gdy ze smug fali drżącej Helios ranny
I mąż jej z łoża nareszcie powstanie.
Z gór wtedy śledzi: nad rzekami ziemi
Puch piór łabędzich smugami srebrnemi
Zaległ, i Psyche tęsknie, pilnie patrzy,
Jak jej odsłania ziemię coraz rzadszy
Pomrok. I naraz wstrząsa nią znów całą
Dreszcz, jako dzieckiem, co długo płakało.
Chciałaby o tem zapomnieć, co było,
Jak sen odgarnąć lub nakryć mogiłą.

Helios już górą, bogów tłum się roi
I Psyche idzie wzdłuż świętych podwoi,
Słuchając, czy jej jaki głos nie zbudzi,
Nie powie: »wolnaś, powracaj do ludzi«.
Aż niewstrzymana niczem, zapłakana,
Pada przed wielkie bogi na kolana
I tak przed nimi w rozpaczy się żali:
»Na toż więc moja piękność niewiędnąca,
»Czyście mi na to nieśmiertelność dali,
»Bym od miłości cierpiała bez końca?«
Ale się bogi śmieją, w jasny ranek
Od swoich ziemskich wracając kochanek,
I Psyche próżno w oczach bogiń czyta,
Czy nie odezwie się w której kobiéta.
Więc wraca w gorzkiej i samotnej dumie,
Że nikt wśród niebian skarg jej nie rozumie.

*K. M. Górski.*

## ŻÓRAWIE I BOCIANY.

Szczęśliwi posłowie! powietrzni żeglarze!
Powiedzcie? kto lecieć w narody wam każe
Z tą wieścią pogody i ciepłej już rosy?
I czemu dla świata tak miłe te głosy?

Kto was do tej drogi i pieśni tak uczy?
I co to się w duszy i budzi i sieje,
Gdy łańcuch żórawi w niebiesiech zakruczy,
Że serce tak bije i oko młodnieje?

Bo każdy was śledzi i każdy was wita,
I każdy poznaje na niebie po wrzawie,
I nieba i serca o wieści się pyta:
»Hej lecą i kraczą! Żórawie! Żórawie!«

A całe już lato nie słychać żórawia —
Lecz bocian się pora nad strzechą klekotem,
I stare swe gniazdo na wiosnę odnawia.
I siodło okrąża stróżliwym swym lotem.

I żóraw obudził, a bocian weselił...
I zbiegło tak lato, jak z bicza wystrzelił.

Wiatr powiał po ścierni: – »Na Spasa, na Spasa,
Bociany do cieplic, a bąki do lasa«.
I każdy się cicho ogląda na ściany,
I westchnie boleśnie: »Już lecą bociany!...«

*Wincenty Pol.*

# DO MOICH DZIEWCZYNEK.

Dziewczynki moje! o moje kwiatki!
Z kolebki dziecka, od pieszczot matki,
Jak rączo biegną po życia drodze,
Ach! po tej samej, z której ja schodzę!
Znam ją tak dobrze! znam każdy kamień
I każdą ścieżkę błędnych omamień!
Wiem, gdzie jest cięższa, a gdzie wygodna;
Wiem, gdzie bezpieczna, a gdzie zawodna;
Mogłabym przestrzedz, powiedzieć tyle...
Stójcie, dziewczynki! stójcie na chwilę!
Lecz między nami, jak świat od świata,
Daleka przestrzeń, bo długie lata —
I ludzie krzyczą, śpiewają, piszą,
Gdy ja zawołam, ach! czy dosłyszą?

Dziewczynki moje! tam, gdzie biegniecie,
Wy pewnie piękność pochwycić chcecie.
Cacko, gwiazdeczka, kwiatek, piosneczka,
Tęczowe blaski, głośne poklaski.
Wioski spokojność, zbytków ozdoba,
Wszystko was nęci, co się podoba:
A za czem dążyć? co wybrać w świecie?
Co najpiękniejsze? to wy nie wiecie.
No, ja wam powiem, dziewczynki moje!
Piękne są perły, dyamenty, stroje,
Piękniejsza jednak woda w strumieniu,
I lilia polna w białem odzieniu —
A od lilii, od czystej wody,
Piękniejsza świeżość waszej urody;

A od piękności hożych dziewczynek
Jeszcze piękniejsza łza użalenia,
Cicha modlitwa, święte natchnienia,
A najpiękniejszy — dobry uczynek.
Lecz wy daleko! Tam zaś, mój Boże!
Tam wielką piękność inaczej może
Ludzie ocenią, rozważą, zmierzą,
Gdy ja tak mówię, ach! czyż uwierzą?...

Dziewczynki moje! wy się trwożycie,
Bo o cierpieniu często słyszycie;
Więc chociaż jeszcze przed wami leży
Gościniec taki równy i świeży,
Wy po tem polu gładkiem, szerokiem,
Już ostrożniejszym stąpacie krokiem.
Śmiało, dziewczynki! to strachy płonne,
Strachy pogańskie i zabobonne!
Ach! ja wam powiem: jest cierpień mnóstwo,
Piękna, lub chleba głodne ubóstwo;
I od ubóstwa gorsza choroba,
I od choroby gorsza żałoba,
I od żałoby, ach! gorsza strata
Żywych serc bratnich w kałużach świata.
I nad te straty, nad te cierpienia,
Najgorszy z wszystkich — wyrzut sumienia.
A jednak śmiało! dziewczynki moje,
Ja się niczego dla was nie boję.
Ja wiem, że tutaj z litości Pana
Na każdą troskę pociecha dana.
Spokojna godność, wytrwałość z pracą
Ubóstwo znoszą, lub też bogacą.
Przeciw chorobie pomoc skuteczna,
Lub w śnie ostatnim jest ulga wieczna.
Dla tych, co płaczą w grubej żałobie,
Zmartwychwstałego jest krzyż na grobie, —

A za odstępcę, za przeniewiercę,
Za wszystko, co nas gorzko zawodzi,
Dość znaleźć jedno szlachetne serce:
Jeden poczciwy stu złych nagrodzi!
A za grzech własny? o! jest pokora!
Jest do poświęceń chęć bardziej skora,
Jest pobłażanie drugim cierpliwsze,
I są pokutne prace gorliwsze.
Bo tak już chciało mieć prawo Boże,
Że i grzech na coś przydać się może.
Tylko się nigdy nie przyda na nic
Dumnego serca pycha bez granic.
I kiedy wszystkie łzy, wszystkie grzechy
Zbiera i święci anioł pociechy,
Ten anioł we śnie nawet nie stanie
Przy takim, który kochać przestanie.
Toż baczność w drodze z tej tylko strony,
Gdzie samolubstwem szlak jest skrzywiony...
Lecz wy daleko! A tam znów ludzie
W smutku, w potrzebie, w boleści, w trudzie,
Zapewne inne rady im dają...
Gdy ja zawołam, czyż usłuchają?

Dziewczynki moje! wy się śpieszycie, —
Każda z was myśli, że dalsze życie
Oddać jej musi, jak płatnik wierny
Ze skarbów świata procent niezmierny.
A starcy na to kiwają głową,
Dla starców szczęście, to kłamstwa słowo!
Lecz ja wam powiem, jest szczęście przecie,
Jest nawet wiele szczęścia na świecie.
Szczęściem są wasze lata niewinne,
Wpół młodociane, a wpół dziecinne,
Bez doświadczenia, lecz bez kłopotów,
Czy chleb powszedni na jutro gotów?

Czy w zdrojach uciech nie wyschła woda?
Czy do wieczora wytrwa pogoda?

Błogosławione pierwsze dni wiosny!
Błogosławionyś wieku radosny!
Słowik ci kwili, wonieją drzewa,
O tobie Bohdan, poeta, śpiewa:
»Żeś sen na kwiatach, żeś sen nasz złoty,
»Żeś ideałem wiary i cnoty«.
Lecz od tych marzeń, od tej swobody
Jest większe szczęście, o wieku młody!
Jest większe szczęście — jest głos ponętny,
Głos cichy, miękki, a namiejętny,
Głos, co tak szczerze, jak Bogu w niebie,
Wymodli kiedyś: »Ja kocham Ciebie« —
A niż głos taki, niż ta zyskana,
Większem jest szczęściem miłość doznana.
Gdy własne serce silniej uderzy,
Gdy czuje, że mu cieplej i szerzéj,
Że się w niem jakby ze snu zbudziły
Nowe zdolności i nowe siły...
A większem szczęściem od tej młodości
Jest wielkie szczęście ludu całego;
Prawo Chrystusa w rzeczywistości;
Ze słowem Bożem chleb dla każdego;
Z życiem na ziemi miejsce wśród tłumu;
Ze światłem słońca światło rozumu;
Z pamięcią przodków win odpuszczenie,
I z pracą wszystkich — wszystkich zbawienie!...

Dziewczynki moje! niech każda wierzy,
Że jej się takie szczęście należy;
Niech za niem goni, niechaj go szuka;
Piękność, cierpienie, radość, nauka,

To w pomoc tylko dane wam było,
Aby się takie szczęście ziściło.
Lecz wy daleko!...
Ach! tam inaczéj
Może im szczęście kto wytłómaczy?
Może je złudzi inną nadzieją?
To, co im mówię, czyż zrozumieją?
O gdyby mogły!... Dziewczynki moje!...
Lecz ja daleko, daleko stoję...
I jeszcze dalej smutna odchodzę, —
Szczęść Boże lepiej dziewczynek drodze!

*Gabryela.*

---

# MYŚL.

Z mych przyjaciół wiernych grona
Najwierniejszą myśl ma była,
Czasem pieśni rozmarzona
Wiecznie »naprzód dąż« mówiła.

Wskazywała wielkie cele
I do czynów zachęcała.
»Kochaj wiele, pracuj wiele«
Wiecznie do mnie powtarzała.

Myśli moja, myśli złota!
Zawsze, wszędzie bądź ty ze mną,
Gdzie panuje mrok, ciemnota,
Ty rozwidniaj przestrzeń ciemną.

Unoś wiecznie mego ducha
W dal promienną, w dal tęczową,
I powtarzaj wciąż do ucha
Czarodziejskie »naprzód« słowo!

*Władysław Bukowiński.*

## GDY SIĘ W SERCU ZROBI CISZA...

Gdy się w sercu zrobi cisza,
Lasów cisza, świątyń cisza,
Coś w niem szepce, coś w niem gwarzy,
Jak modlitwa nocą mnisza
Wśród klasztornych korytarzy...

Zmartwychwstałych głosów echa,
Słodkie echa, święte echa
Coraz milej w ciszy dźwięczą,
I duch smętnie się uśmiecha,
Czarowany wspomnień tęczą.

Znika z oczu twoich jawa,
Nudna jawa, brzydka jawa.
I spostrzegasz się w krainie,
Gdzie czas, tracąc swoje prawa,
Nie upływa, chociaż płynie.

I znów czucia masz dziecięce,
Sny dziecięce, łzy dziecięce;
W mroku matka na cię woła,
I do modłów wznosząc ręce,
Słyszysz w sobie głos anioła.

Zapachniały tobie kwiaty,
Łąki kwiaty, marzeń kwiaty,
Zaśpiewały tobie zdroje —
I sięgnęły w inne światy
Uciszone zmysły twoje.

Ten sam jesteś, co w zaraniu,
W lat zaraniu, w snów zaraniu;
Wskrzesły w tobie myśli młode,
Na różanem śnisz posłaniu
Wieczny zachwyt i pogodę.

Ale nie trwa długo złuda,
Zmysłów złuda, ducha złuda...
Gdy namiętność serce wzruszy,
Rozwiewają się w mgłę cuda,
Niknie raj stracony duszy...

*Wiktor Gomulicki.*

---

## WĄTPLIWOŚĆ.

Strumień mówi: »Nie rozumiem, na co
»Muszę wiecznie z gór w doliny płynąć?
»Mój ruch ciągły próżną tylko pracą,
»Kiedy w morzu mam bez śladu zginąć«.
Na to kwiaty, w dolinie rosnące:
»Ty się nie skarż, o dobry strumieniu,
»Twoje wody sączą życie łące,
»Są niezbędne naszemu istnieniu!«

Kwiaty mówią: »Dziwne nasze losy!
»Po co wonie rozsiewać z kielicha?
»Po co błyszczeć kropelkami rosy,
»Gdy z nas każdy tak szybko usycha«.
Na to dziewczę: »Dola wasza, kwiaty,
»Jest podziwu godna i zazdrości,
»Waszym wdziękiem ożywiane światy
»Sercom ludzkim niosą woń piękności«.

Dziewczę mówi: »Na co mi uroda?
»Na co w sercu słodkich wzruszeń tyle?
»Szkoda marzeń rozkosznych, ach szkoda!
»Wszystko zniknie jako sen za chwilę«.
Na to młodzian: »Szczęścia nikt nie mierzył
»Dnia długością, lecz tem, co mu dano —
»Bóg ci skarby uczucia powierzył,
»Byś kochała i była kochaną«.

Młodzian mówi: »Ach, w tym życia boju,
»Co wre ciągle przede mną i we mnie,
»Próżno szukam szczęścia i spokoju!
»Po co żyję? gdy walczę daremnie?«
Na to usta dziewczęcia milczały,
Lecz rączkami oplotła mu szyję —
Wątpliwości jako śnieg stopniały,
I nie pytał więcej, po co żyje.

*El.. y.*

# PTASZEK.

Siedzi ptaszek na drzewie
I ludziom się dziwuje,
Że najmędrszy z nich nie wie,
Gdzie się szczęście znajduje.

Bo szukają dokoła,
Tam, gdzie nigdy nie bywa,
Pot im leje się z czoła,
Cierń im stopy rozrywa.

Trwonią życia dzień jasny
Na zabiegi i żale,
Tylko w piersi swej własnéj
Nie szukają go wcale.

W nienawiści i kłótni
Wydzierają coś sobie,
Aż zmęczeni i smutni
Idą przespać się w grobie.

A więc siedząc na drzewie,
Ptaszek dziwi się bardzo,
Chciałby przestrzedz ich w śpiewie,
Lecz przestrogą pogardzą.

*El...y.*

# SIELANKA.

Już słońce na zachód pochyla swą skroń
I czołem się nurza w mgieł fali.
Malutka, milutka, ty podaj mi dłoń,
My teraz będziemy ślub brali!

Las-kościół organem zaszumiał przez liść,
Tłum cieniów gromadzi się w dali,
Noc babka kościelna za chwilę ma przyjść
I gwiazdy na niebie zapali.

Wiatr, lasu zakrystyan, omiata z drzew pył
I ołtarz ubiera we wieńce,
Już księżyc, ksiądz proboszcz, staruszek bez sił
Podąża, by związać nam ręce.

Spogląda na niebo, gdzie biały drży ptak,
I komżę obłoku przywdziewa,
Skowronek-ministrant do ślubu dał znak,
Chorałem ozwały się drzewa.

»Ty kochasz?« wietrzany zapytał się głos.
Wnet echa-sąsiadki dokoła
Chwytają odpowiedź... Ha! szczęsny padł los,
Z uznaniem się chylą drzew czoła.

A kwiaty wonieją, a hymnem brzmi las,
Pójdź, luba, na święto miłości!
Orkiestra słowików swem pieniem czci nas,
A wkoło się zbiera tłum gości.

Na czele orszaku dąb praszczur, śród chmur
Drżą gwiazdy, a księżyc dobrodziej
Za zdrowie-by wypił, zagląda więc w bór,
Uśmiecha się, zerka, podchodzi.

Mgły, wiotkie rusałki, śród pląsów mkną w dal,
Przygrywa muzyka dąbrowy,
Pan młody z swą panią opuścić chce bal,
Do ślubnej podążyć alkowy...

Malutka, milutka, ty rękę mi daj,
Wspaniałeż to było wesele!
Pałacem zieleni otacza nas maj
I ciepłe nam łoże z mchu ściele.

W namiętnych uściskach prześnimy nasz sen,
Nim ranek swym chłodem go spłoszy,
Nim cudna sielanka zamieni się w tren,
A w gorycz kropelka rozkoszy.

Nim życie nas zbudzi do czynu i łez
I ciernie przymiesza do kwiatów,
Nim sami powiemy, przebiegłszy znów kres,
Że była z nas para warjatów!

*Andrzej Niemojewski.*

## GAWĘDKA.

— »Budzę pana«. — »W kolorze?«
— »No... w różowym«. — »O Boże!

Kocham, zanadto może«.
— »Pan żałuje, że kocha?
Pan smutny? — cóż takiego?
Rozśmiej się pan choć trocha,
I mów co wesołego,
Bo ja mruków nie znoszę.
No, mów pan co, ja proszę«.
— »Był król, co miał trzy córki:
Manię, Franię i Hanię,
Dał im pereł trzy sznurki...«
— »Fe, to niegrzecznie, panie —
Pan za dziecko mnie bierze —
Jam się gniewać gotowa,
Jak mamę kocham szczerze«.
— »Więc cóż mówić mam? czyli?«
— »Chcę, byś mi pan powiedział,
Coś pan myślał w tej chwili,
Gdyś tutaj jak mruk siedział?«
— »Com ja myślał? myślałem:
Gdybym więcej był śmiałym,
To po świecie-bym całym
Chodził między panienki,
I szukałbym sukienki,
W jakiej panią poznałem,
I szukałbym uroczéj,
Coby miała twe oczy,
I uśmiechy te twoje,
I dołeczków tych dwoje,
Co do buzi tak nęcą,
Twą figlarność dziecięcą,
I twą w mowie szczerotę,
I serduszko twe złote.
A gdybym łaskę cudną
Między ludźmi gdzie znalazł,
Powiedziałbym jej zaraz,

Że mi bez niej żyć trudno,
Że jeżeli się zgodzi...«
— »Wstań pan, mama nadchodzi«.

*Michał Bałucki.*

## POWIEW W SADZIE.

Do ust gałęzie drzew jej dłoń
Zginała w kwietnym sadzie.
Sad kwiat i woń
Na skroń jej kładzie.

I dla niej woniał cały sad...
Gdy znikła w szacie białej,
Z drzew padał kwiat,
Gałęzie drżały.

Przemknęła, jak wiosny wiew,
Między jabłonki, grusze.
Pośród tych drzew
Straciłem duszę.

*Leopold Staff.*

## ROZKOCHANY.

Ten bronuje, ten obsiewa,
A ów orze,

Na mem polu wicher śpiewa...
Boże! Boże!

Ani mi się wziąć do pracy,
Z rąk mi rwie się;
Błąkałbym się, jak ci ptacy
W polach, w lesie.

Odkąd znam cię, dziewczę moje,
Wszystko marne...
Och, te czarne oczy twoje,
Takie czarne!...

*Mieczysław Romanowski.*

## CZARA.

Rylcem złotym przez lata tęskniące i szare
W krysztale ametystu wyrzeźbiłem czarę:
Na dnie wykułem szczęścia klątewne napisy,
A zewnątrz pośród kwiecia twe wyśnione rysy,
Jak je najczystsza woda, gdy staniesz nad zdrojem,
Zwierciedli i jak w sercu odbijasz się mojem.
I czekałem, że słodsze, niźli miody pszczelne,
Będę z niej pił wraz z tobą swe szczęście weselne
W ów dzień, przy którym dawne wiosny będą zimą.
Aż nadeszłaś, czekana, lecz obok mnie mimo
Przeszłaś, a dzban w twych ręku złoty był już pusty:
Słodycz zeń już ktoś inny wypić musiał usty. —
I patrzyłem za tobą długo w cichej męce. —

A oto dzisiaj idę z drogą czarą w ręce
W najwyższe blade góry, tonące w błękicie,
Aby ją tam postawić na najwyższym szczycie,
Bo warga moja nigdy już pić z niej nie będzie.
I tam ją pozostawię na zawsze. Krawędzie
Kruży, co mego szczęścia wino promieniste
Chować miała, niech wiecznie pozostaną czyste.
W wnętrze jej jeno złoty blask lać będzie słońce,
I srebrna noc siać gwiazdy w sierpniu spadające.

*Leopold Staff.*

IV.

## MEMU SYNKOWI.

Mój synku mały, dźwignio życia
mego i celu duszy mej:
nad twojem czółkiem od powicia
zabłysł zły uśmiech doli złej — —
i całym mego bytu celem
jest walczyć o cię z dolą tą,
klątwy nad tobą być mścicielem
i spłacić dług mój choćby krwią.

Krwią mą serdeczną, trudem, męką,
gdyby tak padło za twą rzecz — —
mój synku mały: tą piosnką
budzę cię rano gdzieś tam precz...
Otwierasz oczy jasne, duże,
jak modry anioł oczy masz — —
mój synku mały: tam, na chmurze,
tam musi być nad tobą straż.

Mój synku mały: teraz czuję,
jak w sercu wiara rodzi się — —
cóż ja potrafię, cóż zbuduję,
jeśli inaczej fatum chce?

I szukam Boga koło siebie,
i szukam jakichś dobrych sił,
aby mi strzegły, synku, ciebie,
abyś ty żył mi, abyś żył...

I moje błędne w myślach czoło
jam gotów wbić w modlitwy próg
i czekać, czy mnie ręką gołą,
gołą Swą ręką nie tknie Bóg — —
czy mi nie powie tam, z tem czołem,
ściemionem przez błędny myśli wian,
zgiętemu tam pod błądzeń kołem:
Jam jest nad twoim synem — Pan!...

Synku mój mały: rośnij duży,
rycerz bez skazy i bez trwóg,
do świętej ręce podnieś róży,
święty na piersiach zawieś róg:
ta róża — to szlachetność duszy,
to cudna, męska, lśniąca stal;
róg: to Achilla głos wśród głuszy,
królewski głos goniący w dal...

Ty bądź poetą — ty ziść w sobie
wszystko, co ojciec marzył, śnił,
wszystko to, po czem jest w żałobie,
oby twych krwią się stało żył —
gorzki zawodu i zwątpienia
trujący uśmiech z twoich ócz
niech się tryumfem wypromienia — —
ty mój zgubiony odnajdź klucz...

I ojca twego, co milczący
u nóg-by twoich siedzieć chciał
i słuchać, jak ty, anioł grzmiący,

słowem twem wierchy zginasz skał:
ty nie potępiaj, żem tak mało,
tak mało zdołał zrobić sam — —
nie żyłem próżno, umrę z chwałą,
że ciebie, o mój synku, mam...

Już słyszę pieśń twą — wiatr, co leci
przez morza, kraje, świata zew — —
słowo nabrzmiałe krwią stuleci,
zwiastuna rannej zorzy śpiew;
w tej pieśni ból i radość świata
i mądrość jego, czyn i sny:
wszystko się w jeden akord splata
i tym poetą jesteś ty!...

Ty jesteś tym poetą, który
śnił mi się, gdym był młody ptak — —
nie doleciałem tam, do góry,
czułem go tylko — — tamten szlak...
O synku! ty mi tam wylecisz,
ty stamtąd spojrzysz, z góry, tam — —
jak słońce w niebie ty zaświecisz
i dumny będę, że cię mam!

I zmarnowane moje życie
objaśni blask twój, synku mój — —
będę cię śledził tam, w błękicie,
z radością, z trwogą wołał: stój!
Wiara i trwoga będą żarem
wstrząsać mą duszą, w sercu drgać —
lecz ty nie będziesz mi Ikarem,
jak bóg lśnić, jak bóg będziesz trwać!

I po raz pierwszy w mojem życiu
będzie mnie błogosławił tłum,

żem dał mu duszę, że już biciu
serc jego dał ktoś wichrów szum — —
i po raz pierwszy ja do rzeszy
wyciągnę ręce, ja, com stał
z boku, jak jeździec obok pieszéj
ciżby, lecz nie wódz dusz i ciał.

Dziecino moja! Ciebie bawi
zabawka, ale w oczach twych
już się duch jasny, mocny jawi
i dumę myśli ma twój śmiech.
Dziecino moja! Zapłać za mnie
ten, com był winien światu, dług,
i na mym grobie powieś dla mnie
złamany miecz, złamany pług...

*Kazimierz Przerwa-Tetmajer.*

## POŁUDNIE.

Samo południe! uroczysta chwila!
I duch na skrzydłach spoczął wyobraźni:
Czasem się listek jak do snu przechyla,
I blask barwiony źrenicę podraźni.
A w sinej przezroczy,
Przez drżącego światła fale,
Słońce wspaniale
Cicho się toczy.

Cicho się toczy ponad ciszą ziemi —
W poblizkich trawach brzęczy tryl konika,

Ulotny wietrzyk nad braćmi śpiącemi
Przez czujne listki z lekka się przemyka.
Tu zagrała mucha,
Tam słowicze pienie kona,
A wkoło głucha
Wrzawa zmącona.

Wszystko, ach! wszystko pięknie gra dla duszy,
Ale ją ciągle coś niestrojne kłóci;
Kiedy mgła myśli świat cały oprószy,
Cóż stąd, że słońce blask oka ocuci?
Na cóż te wśród nieba,
Te wśród ziemi cudów roje,
Gdy komu trzeba
Mieć serce moje?

Ty, coś do wiecznej, harmonijnej zgody
Życia przyrody muzykę nastroił,
Ty, coś żyjące obrazy przyrody
Zgodnemi tęczy barwami napoił,
Objaw mi, o Boże,
Jak jedno dzieło twych ręku
Różnić się może
W tym zgodo-dźwięku!

*Seweryn Goszczyński.*

---

## DO TEOFILA JANUSZEWSKIEGO.

Z PODRÓŻY PO WSCHODZIE.

Już miesiąc, jak z jednego wyjechawszy grodu,
Ty pod strzechę własnego domu, w cień ogrodu,

Ja w nieznane uciekam krainy południa
Przed ścigającą myślą i mrozami grudnia.
A gdy mi już na opak idą roku pory,
Gdy zima kwiatowymi ubrana kolory,
Ani po górach lekkim płatkiem śniegu sypie,
Ani w kryształ ubiera brzozy, ani skrzypie
Pod saniami wieśniaka, ani pod stodoły
Zgania wróble, ni smutno zielone jemioły,
Różami świegocących osypuje gilów
W kraju porzniętym wstążką jasną siedmiu Nilów,
Mógłbym o spokojnikach zapominać wiejskich,
Pijąc muł Etyopów, zamiast wód letejskich.
Lecz ja przeciwnie — wszystkie widziane obrazy
W myśl kładę, jak na wielkie zwierciadło bez skazy,
I chciałbym wam, gdy noc was zimowa zaskoczy,
Tem zwierciadłem Egiptu słońce rzucić w oczy.

Obłąkany nasz okręt zawołał o świcie:
Ziemia! I ziemia wyszła na morza błękicie,
Jak złocistego piasku dzierzgany obrąbek,
Rzekłbyś, że biały siedzi na piaskach gołąbek,
Przypatrując się sobie w zwierciadlanej fali...
A to był pałac wielki Mohameda-Ali;
Rzekłbyś, że przed nim resztki wieśniaczego płota
Sterczą... to było Ali Mohameda flota.
Nad tym brzegiem, a z twarzą, jak ją widzę co dnia,
Leżała niesplamiona purpura przedwschodnia;
Na niej stada gwiazdeczek bladego lazuru
I jedna tylko palma na prawo z marmuru
Otoczona rojami nie śpiących wiatraków.
W przezroczu nieba stada wędrujących ptaków,
Tak jak je ręka Boża w jeden łańcuch sprzęże,
Przede mną w czarne, długie, wiązały się węże...
Tak mi się ukazały afrykańskie brzegi
Smutne, obumarłymi południka śniegi

Zasypane, pod nieba sklepionego łuną,
Długą i rozciągniętą położone struną.
Z niej, jak z boskiego łuku, na niebieskie stropy
Strzał słonecznych wiązane wypadały snopy.
Chciałbym się teraz zbliżyć teleskopu szkiełkiem
Do brzegu — spoić z tęczą kolorów i zgiełkiem.
Tu przeszywany złotem, przetkany bławatem,
Chce być człowiek bawiącym oczy twoje kwiatem;
Nawet w ubiorach ludu taka rozmaitość,
Że cię wkrótce dusząca opanuje sytość,
I szukasz znużonemi oczyma błękitu,
Lecz próżno! bo dom szczytem przyrasta do szczytu,
Bo ledwo się oglądniesz, zaraz ciebie horda
Oślarzy za złotego zwąchała milorda
I osiołkami drogę zwężoną przegradza —
Chwyta — piastuje — z ziemi podnosi i sadza
Na szybkonośnym ośle, razów mu nie szczędzi,
Aż biegnąc pod złotego orła cię zapędzi.
Szczęśliwy, kto, tak gnany, pod rozsądek ścisły
Oczy poda i wszystkie razem zwiąże zmysły!
Nieszczęsny, kto na boczne bramy się ogląda!
Schyl głowy!... osieł wleciał pod juki wielbłąda...
Patrzysz... nad tobą arka tłomoków i skrzyni —
Rozbiłeś się na lądzie — a okręt pustyni
Popłynął. I znów idzie całunem nakryta
Jakaś trumna, szeroka, czarna — to kobiéta!
Płaszczami rozszerzona na całą ulicę,
Z oczyma błyszczącemi jako dwie gromnice,
Przez dwa białe otwory, z jedwabiu szelestem,
Biegnąca... zda się tobie, że pyta: kto jestem?
W łokciach ufaj, jak ryba pływająca w skrzelach,
Rozpychaj tłum — błękitny ustępuje fellach.
Tu pilnująca głową równowagi dzbanka,
Wyprężona przy murach staje Egipcyanka,
Podobna Karyatydzie w ścianie wmurowanej:

Jej koszula, posłuszna piersi z bronzu lanej,
Nad łonem się podnosi i na dół opada,
O każdy kształt jak wodna łamiąc się kaskada.
Tu europejski ubiór, wielki równacz stanów;
Dalej żebrzące stado postaci bocianów
Goni za tobą, prośbą grzechoczącą klaszcze
Czarne, wychudłe, w białe obwinięte płaszcze.
Ledwoś wyrobił w tłumie ulicowym szczerby,
Ledwoś dopadł do bramy: przy bramie, jak herby,
Żywe wielbłądy, okiem przerastając kratę,
Wodą w skórzanych workach zamkniętą skrzydlate,
Stają ci się przed progiem domowym zagrodą,
Odstraszając sączącą się przez skóry wodą.

Nim się myślą o wiekach ubiegłych zasępię,
Bawi mię to, co widzę i słyszę na wstępie;
Dziś ludzi, kolorami w rozkwiecone klomby,
Jutro ujrzę pomniki — trumny — katakomby —
Wszystko, co pozostało na tym piasku z wieków,
Od Egipcyan przez Rzymian podbitych i Greków.
Dosyć już... dziś, znużony arabskimi gwary,
Siądę w oknie i będę patrzał na port stary
Wielkiego Aleksandra, gdzie się jeszcze trzyma
Latarnia morska, świecąc puszczyków oczyma.

*Juliusz Słowacki.*

---

## DZIEWICZE BRZOZY.

Dziewicze brzozy, srebrne korą,
Liść sieją złoty w szmaragd traw.

Przez sieć gałęzi modrą morą
Prześwieca nieba skłon i staw.

Pogodą rana lśni polana.
Cisza opieszcza smukłość drzew,
Dygotem liści roztrzepana,
Źdźbła trawy kłoni lekki wiew.

Tak cicho jest i słodko wszędy
I tak przedziwny wkoło świat,
Jakbyś przed chwilą przeszła tędy,
Musnąwszy trawy skrajem szat.

*Leopold Staff.*

---

## BŁOGOSŁAWIEŃSTWO POLOM.

»Anioł wiosny skroń słodką wychylił nad śniegi,
»I wdzięcznie się rozśmiały nadwiślańskie brzegi;
»Pierwiosnek ubrał łąki — jabłoń kwiat rumiany:
»O ślicznyś nad dziewicę, kraju mój kochany!«
Taką-ć piosnkę jaskółka, witając cię, śpiewa,
Tak ci bocian klekoce, tak ci szumią drzewa;
Taką-ć pochwałę wietrzyk rozgłasza po lesie:
Cóż stęskniony za tobą syn twój ci przyniesie!...
Że nucąc znalazł czasem pociechę w tej nucie;
Że, płacząc nie nad sobą, wzrósł w silne uczucie;
Że pragnie snem spokojnym zasnąć na twej grzędzie:
Pozwól, że polom twoim błogosławić będzie.
I w cytrynowych gajach, wśród nieznanych kwiatów,
Śniąc o jodłowych puszczach i woni bławatów,

Zanuci polskim niwom pieśń w dalekiej ziemi,
Bo je kocha — bo dumny — bo się szczyci niemi.
Nie kwitnie na nich wawrzyn, ni oliwne drzewa,
Ni pod jesiennem słońcem winograd dojrzewa;
Skądże nad skarb Ofiru — nad cedry Libanu
Jest z czego zwić koronę dla skromnego łanu?
Bo kiedy anioł śmierci z rozkoszy ogrodu
Wypędził pierwszych ludzi na ten padół głodu,
Rodzinne pola moje! was łaskawsze nieba
Uczciły przed wszystkiemi arcydarem — chleba.
Jak fale kołysane od morza do morza,
Łany złotej pszenicy i żelazne wzgórza,
Ciemne jodłowe lasy i zielone błonie,
Po którem dzwonią trzody i hasają konie;
Roje ciągnące słodkie soki dzięcieliny:
Otóż święta puścizna — skarb naszej dziedziny;
Polsko! pierwiastki pól twych, jak Abla niewinne;
A więc wam błogosławię, pola me rodzinne!
Błogosławiona wiosna, co was stroi w kwiaty;
I lato, które kłosom daje plon bogaty;
Jesień, która purpurą odziewa ogrody,
I zima, która wasze otula zarody!
Błogosławię po trzykroć tobie, światło dzienne,
Tobie, księżycu blady, i wam, mgły jesienne,
Wam, słodkie dżdże, majowe z ranną rosą społy,
Wam, wszystkie farby życia i woni żywioły.
O! i ty też poczęta z śnieżnych Karpat łona,
Wisło! matko rzek naszych, bądź błogosławiona.
Ożywiaj zwiędłe trawki, a wdzięczni młodzieńce
Co rok rzucać ci będą świętojańskie wieńce.
Gdybym mógł orlem skrzydłem wzbić się pod obłoki,
Gdybym mógł zbadać przyszłość otoczoną mroki,
Naprzód wam, nizkie sioła z słomianemi strzechy,
Głosiłbym, jak skowronek, rzewną pieśń pociechy.

Błogosławieni bowiem na wieki śpiewacy,
Których głos łzy osusza boleści i pracy,
Chwała słynnych niw naszych powiała na groby,
Więc i wam błogosławię, o piewcy żałoby!
Błogosławię... lecz skądże taka zmiana w nucie?...
Rwie słowa, mąci myśli rozgorzałe czucie;
Dźwięk ostatni, dźwięk tęskny zdobędę na strunach:
Błogosławię tym, którzy śpią na tych zagonach!
A ty, drobna ptaszyno! co w górę się wznosisz
I jakąś smętną piosnkę nad mogiły głosisz,
Zamilknij, zbierz twe siły i pod niebios progiem
Błogosławieństwo moje dośpiewaj przed Bogiem!

*Jan Nepomucen Jaśkowski.*

---

## AMFITRYTA.

### CASERTA.

Czy wstało słońce?... Patrzę w tamtą stronę —
Z za gór błękitnych nie podniosło głowy,
Tylko na niebo, porankiem złocone,
Wezuwiusz obłok pędzi fioletowy.

Pogoda. Morze uściele się gładko
Pod moją drogę w nieznajome świty;
Dziś się pożegnam z ziemią, starą matką,
I do kochanki pójdę Amfitryty.

Niebieska moja uśmiechem mnie wabi,
A mnie tak tęskno w jej objęcia świeże

Polecieć jednym z tych sennych korabi,
Co rozwijają tam swe białe pierze.

Niebieska moja Amfitryta grecka
Ze zdradnej toni lubieżne swe ramię
Wyciąga do mnie, — a ja z wiarą dziecka
Oddam się dzisiaj tej fali, co kłamie.

A jeśli kiedy groźne burz orkany
Łódź moją zepchną do zimnego cienia,
A jeśli kiedy z ręki twej kochanéj
Wezmę pogardy cios i zapomnienia,

Konając wspomnę, że w morskim błękicie
Żyłem rozkosznie przez godzinę zdrady
I że wejrzały raz w me chmurne życie
Błogosławione twe oczy najady.

*Józef Weyssenhoff.*

---

## NIKE-APTEROS.

### ATENY.

Na cześć swej Ateny i Niki
Ateńczyk wysmukłe portyki
U grodu postawił na straży.
Tu stoję nad brzegiem urwiska,
I chwila zachodu już blizka,
I tak mi niebiesko się marzy.

Na Fáleron morze lśni srebrem,
Za ostrem dalekich skał żebrem

Czerwone dopala się słońce —
Dopiero ubrane w fijołki
Pobladły Parnasu wierzchołki,
Jak bzy napół przekwitające.

Noc blada już szczytów dosięga.
Ta biała wijąca się wstęga —
To droga do Eleusis święta.
Tam pójdę, gdy noc już zapadnie,
Przepaści wołają mnie zdradnie,
Lecz Nike tu o mnie pamięta.

Bogini ma Nike-bez-Skrzydeł
Od nocy wybawi mnie sideł,
Ramieniem swem boskiem otoczy.
Z nią pójdę po drodze tej białej
Bezpieczny przez mrok i przez skały,
Posłusznie tak patrząc jej w oczy.

W jej oczach trwa blask fijoletu,
W jej ustach są miody Hymetu,
Jej czoło rozświeca noc ciemną.
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
Oparty o mur twej świątyni,
Do ciebie się garnę, bogini,
O Nike ma, Nike, bądź ze mną!

*Józef Weyssenhoff.*

# SZULAK.

### OPOWIADANIE NADWORNEGO KOZAKA.

### Wyjątek ze »Starosty Kaniowskiego«.

Jeszczem nie umiał krzyża na piersiach położyć,
A już umiałem moją szablę na krzyż złożyć.
Nudno mi było doma, na stepie wesoło:
Na stepie orły grają i wichry tańcują,
Orły, wichry, o starej sławie wyśpiewują;
I koń na stepie raźniej w górę niesie czoło,
I skacze przez mogiły, kędy rosną kwiaty,
Niby dusze tych, co tam spoczęli przed laty.
Nigdy się hajdamaka w jarze nie wysiedział,
Wicher mi o nim doniósł, a i wilk powiedział;
I kiedy wsi i grody we śnie głuchym spały,
Wkoło mnie grzmiała szabla i kule świstały.
»Niechaj śpią — pomyślałem — nastaną te czasy,
Gdy mi nie będzie wolno z wrogiem iść w zapasy,
Gdy zima włos pobieli i poradli skronie,
Jak ja dziś, drudzy w mojej wyskoczą obronie...«

Gdzie się tatar zaczajał, tam pierwszy goniłem,
I, jak kot, bez szelestu z tyłu zachodziłem.
Nim przetarł wązkie oczy, swoje wyrzekł słowa,
Koń jego dzwonił tręzlą, w trokach jego głowa.
Od kniei Łebedyńskiej do Taśminy wody
Dwanaście wielkich czajek snuło się tam wprzódy.
Zebrawszy swych mołodców, stanąłem przed niemi,
Trzy dni szable dzwoniły, a o czwartym świcie
Wilki ich białe ciała włóczyły po ziemi,
Kruki się zlatywały; my, we krwi sowicie
Szable obmywszy, szliśmy, wykrzykując: ura!
A od nas wilk uciekał, kruk nastrzępiał pióra.

O czemużem w tych kniejach głowy nie położył?
Spokojne moje oczy w mogile-by spały,
Dni nad niemi jak białe chorągwie leciały,
A noce, jak te kruki, gdy je strzał potrwożył;
W głowach rosła kalina, ptaszki, do kaliny
Zlatując, nosiłyby wieści od rodziny!

*Aleksander Groza.*

## STARY MŁYN.

Czasem wieczorem rozszumią się jodły,
ciemny bór zabrzmi i do życia wstanie;
fale strumienia, jakby wtór mu wiodły,
z głębi srebrzyste wyżalą płakanie —
i słychać wtedy w całym świecie modły
spieśnionych tworów, a na ziemskim łanie
błogo i dobrze i anielsko bywa:
melodja, zda się, z bram niebieskich spływa.

I gra orkiestra! Wtem nagle przycicha;
milkną przerwane akordy w połowie
i taką głuszą znowu świat oddycha,
że myśli niemal słychać szelest w głowie,
słychać, jak w lesie ćma trzepoce licha,
jak sowa z gniazda zrywa się w parowie...
Cisza. Wtem łoskot wzniósł się nad wodami:
młyn się odezwał — zachrzęściał kołami.

Młyn stary nocne odmawia pacierze;
drewniane ręce podnosząc ku górze,

wodę garściami w dłonie z desek bierze,
a potem w kropel rozmgławia ją chmurze
i czoło kryje w to białe opierze,
a że mu łozy obrosły podnóże,
więc go nie widać z za wód i zieleni,
stuk tylko słychać i kół i kamieni.

I jest młyn wtedy jak duch u człowieka:
choć niewidzialny, przecież jęczy głośno,
a we mgle spowit z tęsknotą narzeka...
Chciałby odegnać mgławicę nieznośną,
więc coraz szybciej wodę kołem sieka,
zżyma się, zrzędzi i smutno i złośno,
ale z mgły ruchem skrzydeł podwojonej
coraz się gęstsze wzdymają zasłony.

Wiatr powiał świeży; — młyn odetchnął wolno!
Mocarz! — dławiące rozegnał tumany
i z głębi lasów woń mu przyniósł polną.
Raźniej się ruszył młyn w wietrze skąpany
i zboże, pracą kamieni mozolną
roztarte, chyżo napełniało dzbany.
Skorzej, radośniej młyn się w wodzie pluszcze,
a pieśnią wielką w takt mu grają puszcze...

Czy lasy płoną? Pomiędzy konary
czerwone jakieś rozpala się zorze.
Bór jest jak ręka olbrzymiej poczwary,
a w niej, jak złota topionego morze,
łuna. Ogniste już srebrnieją żary,
lśni się już z wierzchu czarnej puszczy łoże,
lśni się już woda: to czarodziej wstaje,
olbrzymi księżyc wypływa nad gaje.

Jasno! Cień długi po łozach się łamie,
a młyn się zdaje być olbrzymem z baśni;

potężne w światło wytknął z mroku ramię,
a księżyc po niem pływa coraz jaśniéj.
Młyn, jakby kapłan w świętej nocy chramie,
namiętnie szepce: o, światło! nie gaśnij —
przez łzy perłowe z rozkoszą się śmieje...
Księżyc się wznosi i ziemia widnieje...

Pod kołem woda gwiazd ulewą pryska,
a reszta dawnej, duszącej mgławicy
pod czarów różdżką jasnym duchem błyska;
jak na rusałek letniej wieczornicy,
życie i światło z kaskad wody tryska.
Ożył świat cudów! Słowo tajemnicy
zaklęć powiedział księżyca blask nocny,
nieśmiały niby, a czysty i mocny.

Młyn jest pałacem ze srebra, opali
nad rzeką pereł stawionym zaklętą;
wewnątrz księżniczka na łożu z korali
zaczarowana marzy miłość świętą...
Łozy zadrgały, tentent słychać w dali, —
jedzie-ż królewicz wybawić zaśniętą
i czary dzielnem rozłamać ramieniem?...
— Ach! czemuż złudnem to wszystko marzeniem!

*Jerzy Żuławski.*

## KOŚCIÓŁEK WIEJSKI.

Nad wiejską drogą zawisnął skowronek.
Na mszę poranną woła mały dzwonek.
Jakaś zagroda, plebania i szkółka,
I stare drzewa dokoła kościółka.

Odgłos organów miesza się do dzwonka...
Do Matki Boskiej kończy się koronka.
A jak do ula ciągnie z pola pszczoła,
Rzesza się ludzi zbiera do kościoła.

Kruchta z gotycka, ostra, wysklepiona
I nadgrobkami, widzę, ozdobiona...
Jakieś poważne i wierne postacie
Dają świadectwa tu czasom ubiegłym,
Żywo mówiące, choć w kamiennej szacie,
Więc cześć niech będzie tu w Panu poległym.

Po prawej ręce fundator kościoła
Legł na grobowcu, a od jego czoła
Świeci i męstwo i ta bojaźń Boga,
Otóż to złożon u Pańskiego proga.
Znać, że za cnotą żywocił w przymierzu,
Bułat w prawicy, a piersi w pancerzu.
Poważnie spoczął — klejnot koło zbroi,
Krucyfiks w głowach, niżej napis stoi:
»Powstanę Panu: gdy mnie będziesz budził,
»Napowrót spocząć, bom się bardzo strudził«.
— Jakąż to pracę miałeś za żywota? —
Pytam napisu, a napis powiada:

Z królem Stefanem wiodła mnie ochota,
A wierna była i ręka i rada...

Po drugiej stronie poważna matrona,
W stroju zakonnym, to rycerza żona —
Także z szwedzkiego wykuta marmuru,
Uklękła z dziatwą do jednego chóru,
Za nią trzy córy i synów dziesięciu.
Córy pokornie w modlitwie złożone

A syny szablę wynieśli ku cięciu,
Bo znać gotowi na wiary obronę.

Święconą wodę podano u progu.
Robię znak krzyża: »A chwała bądź Bogu«.
Wchodzę: na przodzie klęczą rzędem dziatki
Z książkami, modlą się; za niemi matki;
W ławeczkach siedzi coś z waszecia sznurem,
A starzy kmiecie zasiedli pod chórem.

W kościółku strojno i lubo, jak w raju,
Bo pełno kwiatów i świeżego maju.
Stara chrzcielnica stoi na uboczy.
W ołtarzu obraz Najświętszej Panienki
Ciemnem się licem z pod zasłony mroczy,
A błyszczą tylko złociste sukienki;
U stóp złożone z świeżych kwiatów wianki,
A jakie piękne, kosztowne firanki!
A to pas słucki dał ktoś na ofiarę,
Co miał poczciwą po staremu wiarę.
Mój miły Boże! gdy we wzorach czytam
Tych litych pasów, to chłopięce lata
Stoją mi w myśli — i sam siebie pytam,
Za co to poszło tym pasom ze świata?

Tak zubożało wszystko w starym domu,
Że w złocie chodzić niema już dziś komu;
Jednak pociecha przejmuje to serce,
Że co poczciwe, nie jest w poniewierce.
I Bóg nagrodził: bo to u tych pasów
Wisiała szabla, co za dawnych czasów
Broniła wiary.
Dziś, jak na wspomnienie,
Tylko już kapłan lity pas przywdziewa
Na wielkie święto, kiedy wystawienie
Przenajświętszego Sakramentu bywa,

I to po swojej poświęcanej szacie,
Piastując Boga w jego majestacie.
A kiedy duszę taki widok chwyta,
To nieraz serce z żałością się pyta:
Co się to stało? a czemu to, czemu?
Poczciwe światu nie jest po staremu?

Po suplikacyach z wiejskiego kościółka
Lud się rozbieżał w pola, niby pszczółka.
A jam się błąkał jeszcze koło chóru,
I przyłożyłem serce do marmuru,
Bo kiedy boleść, gdy życie zawodzi,
Marmur grobowców jako balsam chłodzi.

*Wincenty Pol.*

---

## W MUZEUM.

Powracam tutaj po latach
Z duszą, jakgdyby nie swoją,
Gdzie bogi w fałdzistych szatach
Niezmienne stoją.

Pierś moją bóle i troski,
Jak pługi, stokroć zorały,
A trwa posągów sen boski,
Kamiennie biały.

I naraz czuję się niczem
Z uczuć, łez, pragnień mych światem
Przed niemem bogów obliczem
I majestatem.

*K. M. Górski.*

# W PORCIE.

Lekko statki się kołyszą,
Lekko flagi się trzepocą,
Milknie przystań głuchą nocą,
Ledwie senne głębie dyszą.

Maszty skrzypią, fala pluska,
Potrącając czarne statki.
Naraz miga w wodzie gładkiej
Księżycowa złota łuska.

Nad wieczorne mórz tumany,
Na toń cichej lipkiej wody
Wszedł podłużny miesiąc młody,
Miesiąc, we mgle wykąpany.

*K. M. Górski.*

# CHATA POD PUSZCZĄ.

Pies ruszył sarnę, dalejże za tropem,
Ale pociecha była bardzo krótka,
Bo po trzech susach była za okopem
I do małego wskoczyła ogródka.

Patrzę z okopu, gdzie to pies pogonił?
A tu przede mną i domek i sadek,
I po podwórku nawija się dziadek,
I od napadu sarneczkę obronił.

Krzyknąłem na psa, bo widzę chowana.
Otóż przepraszam za mego Sułtana,
A starzec rzucił na mnie wzrok ukosem
I coś gniewliwie zazrzędził pod nosem.

Co to za dziadek, co sarneczkę chowa
I w takim domku, o kraj puszczy mieszka?
Postać poważna, choć trochę surowa,
Myślałem sobie... i patrzę, gdzie ścieżka.

Lecz go nie było, gdym w podwórko wstąpił.
Poszedł do domku, jakgdyby nie wiedział,
Że gość za progiem, i długo tam siedział,
A gdy powrócił, bardzo słowy skąpił.

Pragnąłem sercem przeszłość starca zbadać,
Ale on nie chciał ze mną się rozgadać,
A gdym o nocleg prośbę doń zanosił,
To nie odmówił, ale też nie prosił.

Wszedłem do izby. Izdebka uboga,
Ale nie pusta, rządna i chędoga.
Nad drzwiami półka, kilka książek stoi,
Więc patrzę: jakie? A to wszyscy moi!

Skarga, Brodziński i Piotr Kochanowski,
I Pismo święte, i Zielniki nowe,
Tomasz à Kempis, ba i Homer boski,
I dziejów polskich księgi Długoszowe.

Nie darmo starzec, widzę, przeżył lata:
Wiedział, co zabrać na puszczę ze świata.
O nie zły wybór! i z takim zapasem
Ktoby miał dodać jeszcze własne dzieje,
Można już siedzieć samotnie pod lasem
I nie dbać o to, skąd w świecie wiatr wieje.

Wieczór był chłodny, a więc przy kominku,
Gdy jeszcze nie czas było do spoczynku,
Siedliśmy obaj — i dziadek dokładał,
A paląc lulkę, zwolna się rozgadał.

Znać był wojskowym, bo znał dzieje kraju,
Że szlachcic z rodu, znać po obyczaju;
Postać szlachetna, choć trochę surowa,
Lecz proste, czułe były jego słowa.

Gdym go nareszcie bez urazy badał,
Co go na puszczę samotną wywiodło?
Coś go boleśnie na chwilę ubodło
I tak mi swoje losy opowiadał:

»Nie stało pracy, fortuny i zdania,
Wyszły mi cnoty i prawdy bez czasu
I nic nie miałem już ludziom do dania,
Tom się i zabrał nareszcie do lasu.

»Tutaj cienisto pod tymi konary,
Więc jest ochłoda, spokój i ochrona...
Szczęścia nie było i niema u łona,
Ale tu łatwiej powrócić do wiary.

»Łatwiej zapomnieć i złe i kochane,
Łatwiej przebaczyć i drugim i sobie...
A chociaż cisza nie zagoi ranę,
Tu choć zły człowiek nie bluźni na grobie.

»W świecie nie było czem pokrzepić ducha,
To też wywiała wszystko zawierucha;
Cóż będę mówił, com doznał, com stracił...
Dość, żem się rozstał, gdym wszystko zapłacił.

»Dzisiaj od świata odcięty, daleki,
Chciałbym jedynie ratować już duszę...
Są tutaj zioła, to i zbieram leki:
Świat mnie poranił, to go leczyć muszę.

»Jest tu las różny, to i zbieram grzyby,
Jest blizko Wisła, to chodzę na ryby,
Jest i wiklina, to koszyki plotę,
A często trzeba ratować prostotę«.

Pytałem starca, gdy Bóg dobrą wolę
I po nieszczęściach daje jeszcze w borze:
»Czyby nie lepiej zajść na Bożą rolę,
»Czyby nie lepiej zamieszkać w klasztorze?«

Lecz starzec widać był innego zdania:
»Ja do klasztoru nie mam powołania,
Kocham samotne bez pociechy dusznej,
I jam zaledwie jest Bogu posłuszny!

»Nie lubię murów, bom się w zamku rodził,
Bom niepotrzebnie w murach do szkół chodził,
Bom nieszczęśliwie po twierdzach wojował,
I co najdroższe, tom w murach pochował«.

To rzekłszy, powstał, drew trochę dorzucił,
Cmoknął na sarnę i zniknął gdzieś w borze...
A gdym, wychodząc, witał ranne zorze,
Starzec do domku jeszcze nie powrócił.

*Wincenty Pol.*

# JESIENIĄ.

## I.

Z nad pastuszego wstające ogniska
Błękitne dymy w powietrzu się wloką
Daleko, szeroko,
Na czarne role, na płowe ścierniska.

We mgle majaczą białe grzbiety wołów
I pługi — rzędem ciągnące na roli
Leniwie, powoli,
Pod niebem szarem i ciężkiem jak ołów.

Wron stada kraczą nad zoraną smugą
I za wołami krzyczą poganiacze
Żałośnie i długo,
A wiatr w pożółkłych drzewach cicho płacze.

## II.

Żółte listki brzóz
Dygocą, dygocą,
Bo je dzisiaj nocą
Zwarzył siwy mróz.

I padają z drzew,
Jak ulewa złota,
Po ziemi je miota
Wiatru zimny wiew.

Źle tym liściom, źle,
Co zleciały z drzewa,

Wicher je rozwiewa
Na deszczu, we mgle.

Lecą z ostrym tchem
W zawieję okrutną —
Jak tym liściom smutno,
Ja najlepiej wiem...

*Lucyan Rydel.*

# TATRY.

Jak potopu świata fale,
Zamrożone w swoim biegu,
Stoją nagie Tatry w śniegu,
By graniczny słup zuchwale!
Biodra Tatrów las osłania,
Ponad niemi stoi chmura,
A po halach wiatr przegania
Uronione orle pióra.
Świat to chłodny, a Łomnica
Świeci naszej ziemi do dnia,
Nad Tatrami jak pochodnia,
A na pełni jak gromnica.

Każda skała z tobą gada,
Wiatr, co w równiach ledwie wieje,
Z nóg tam ścina — deszcz, co pada,
To już w turniach śniegiem sieje.

A powyżej... wyżej jeszcze
Pływa sobie orlę wieszcze,

Co wyleci i zawiśnie
Na błękicie bez obłoku.
Widne stamtąd jego oku
Nasze puszcze i ziemice,
Krakowskiego zamku gmachy
I węgierskich gór winnice.

Czeladź górska też nie podła,
Lud wysmukły niby jodła,
Niby górski potok szybki,
Jak ptak lekki, jak pręt gibki;
Wiecznie niby dziarski młodzian,
Strój ma lekko ukasany,
Topór jasno nabijany,
A sam wszystek wełną odzian.
Czysty, ludzki, szczeromowny,
Strojny, dbały i budowny,
Zna się dobrze i na ziołach,
I na gwiazdach, na pogodzie,
Śmiały w skałach i na wodzie,
A radniejszy, niż lud w dołach.

Ziemia jego mało rodzi,
Więc też luźno człek nie chodzi;
Gdy opędzi ziemię snopkiem,
Idzie w równie za zarobkiem.
Do topora lud to sprawny
I do kosy jaki sławny!
Jaki wesół i ochoczy,
Gdy na kośbę w równie rusza!
Jak przyśpiewa i wyskoczy,
Jaka to tam w tańcu dusza!

Na świętego, na Wojciecha,
U nas w polu już pociecha:

Ale w górach ledwie taje,
I zaledwo jar nastaje.
A na Świątki, na Zielone
Szumią majem świeże lasy,
Owce w góry wypędzone,
W halach schodzą się juhasy,
Stary baca rej im wodzi,
Pies liptowski strzeże owiec,
A przez lato juhas zbrodzi
Każdy potok i manowiec.

*Wincenty Pol.*

## WINOBRANIE.

Więc wszystkie już z mojego ogrodu owoce
Dojrzały i żadnego więcej nie wyzłocę,
Ani mu barwy dodam, żeby był nad inne
Kraśniejszy i soczystszy? Więc jagody winne,
Którem chronił od wiatrów troską bezprzykładną,
Więcej już blasków złotych słońcu nie odkradną?

I jakież będzie nikłe, smutne winobranie,
Czemże dzbany napełnię i co mi zostanie
Na szarugi jesienne i na dni zimowe,
Kiedy serce ostygnie, szron obieli głowę,
A myśli się rozpierzchną, jako ptaków stada,
Z których każde gdzieindziej na nocleg zapada?

Niedobrym snadź od wiosny ogrodnikiem byłem,
Źle swe grzędy skopałem i rodzajnym iłem
Nie pomogłem swej glebie, a później za mało
Na straży moich winnic czujne oko stało,

Tak, że pszczół lepko-nóżek rozbrzęczone roje
Mogły często nawiedzać kwietne sady moje.

A poznawszy raz drogę, szły do innych w posły
I powoli z mych kwiatów słodki pył wyniosły,
Aby w ulach swych plastry ponapełniać miodem —
Tak ogród mych nadziei stał się mym zawodem,
Mimo żem pilnie patrzał i wychodził co dnia
Bronić wrótni przed wejściem płochego przechodnia.

Nie pomógł mi ostrokół, ani żywopłoty,
Sadzone w tajnej trwodze, pod wpływem tęsknoty
Do chwili przenajsłodszej, gdy owoc dostały
Żądne ręce we własnym będą sadzie rwały,
Wiedząc, że oto w nim jest sowita zapłata
Za modlitwę wiosenną, za zbożny trud lata...

Więc oto dziś, gdy patrzę, jak zbierają płody
Przyjaciele, co mieli w sąsiedztwie ogrody,
Jak się łozy ich bujne gną pod ciężkiem gronem,
Stoję smutny nad cierpkiem i napół zielonem
Winem własnem, straciwszy krzepiącą nadzieję,
Że mi jeszcze na słońcu jesiennem dojrzeje...

Próżno codzień wyglądam jaśniejszej pogody —
Wiatr się zrywa i idą przedzimowe chłody,
Wiejąc pustką i żalem w moje biedne oczy!
O tej porze, kto szczęsny, złote wino tłoczy
I napełnia niem dzbany z wypalonej gliny,
Radując się nadejściem wesołej godziny...

Oto już wokół wszyscy ogrodnicy marzą,
Że się zejdą na ucztę i z wesołą twarzą
Zasiędą w okrąg stołu na dębowej ławie...
Jeśli przyjdą i do mnie — cóż na stół postawię,

Gdy pieśni winobrania z tryumfem popłyną?
Z niedojrzałych owoców cierpkie, kwaśne wino...

*Zdzisław Dębicki.*

## DO WISŁY.

Nasza się Wisła ukochana toczy
Przez kraj pszeniczny, polisty, uroczy;
Z źródeł karpackich coraz szersza bieży,
Unosząc obraz rozkosznych wybrzeży,
A nad nią owdzie wioska się uśmiecha,
Chatka się bieli, pochyla się strzecha,
I ryczy bydło, pomrukują trzody,
Gdy je dziewczęta prowadzą do wody.
A nasza Wisła tak spokojna, cicha,
Że jej nie słychać, tak lekko oddycha,
I jakąś ciszą spokojną okola
Nadbrzeżne wioski, pastwiska i pola.
Stare się wierzby nad nią zadumały
O swej starości, o spróchniałej korze,
Ściętych konarach i minionej porze;
Bo one młodość z Wisłą przeigrały,
I do niej jeszcze krzywe, karłowate,
Stroją swe czoło w zieloności szatę.
Rzadko już buki i piękne dąbrowy
Pławią w jej nurtach przewrócone głowy,
Lecz częściej nad nią sosna wznosi kolce.
Lub płacze brzoza przy młodej topolce,
A nadwiślańska topola wspaniała
Nad nurtem wielkie konary rozwiała;

To nie Włoch smukły, co liść swój podkasa,
Ale brat szlachcic do korda, do pasa,
Pień swój szeroki podnosi zuchwale,
Macha rękami, z kiściastego wąsa
I z swojej czapki powiewnej wytrząsa
Garście zieleni na wiślane fale.
Ty płyniesz, Wisło! a jak kapłan stary,
Zamek krakowski chrzci cię swym obrazem;
Kapłan to siwy, ale młodej wiary,
Pełen zniszczenia i wielkości razem!
On cię, nim w morskie popłyniesz przepaści,
Świętym chryzmatem pamiątek namaści.
Ty pod Warszawą rozprzestrzeniasz łona,
Płyniesz spokojnie, płyniesz niespłoszona,
I coraz szersza, coraz więcej pańska,
Śpieszysz do niegdyś lennego ci Gdańska.
A pod Krakowem na długim galarze
Gwarzą i kurzą fajczyska węglarze.
Po bokach węgiel w ośmiu kupkach leży,
We środku budka, u rudla flis czuwa,
Włos mu się gruby z pod czapki kędzierzy,
On ją z fantazyą na bakier nasuwa,
Zwija koszuli rękawy bufiaste
I szarawary poprawia pasiaste;
Ma kaftan długi z czerwonem podbiciem,
A twarz z wąsikiem, rumieńcem i życiem.
W Wiśle się kocha, z Wisłą się nie swarzy,
Na niej jak w własnej chacie gospodarzy,
I wiezie śmiało dzielny flis krakowski
Węgiel brzęczkowski, albo laryszowski.
Wisło! ty niesiesz na twoim przestworze
Nasze ziarniste pozłociste zboże,
I cynk srebrzysty, i sól i gips biały,
Wapno i jaja i świeże nabiały.

Niesiesz, gdy zechcesz, a gdy nie masz woli,
Próżno berlinka żaglami swawoli,
Lub galar wiosłem twoje fale liźnie;
Ty nie chcesz — muszą stanąć na mieliźnie.
Ty zechcesz — płyną, a widnokrąg cały
Zda się ucieka i chowa i znika,
I tylko czasem plusną twoje wały
Pletwą szczupaka, wód twych rozbójnika,
Lub wir je zmąci, a na dnach łożyska
Igrają chmury i słońce rozbłyska.
Ptaszki świegocą w nadbrzeżnej wiklinie,
U góry bocian rozciągnięty płynie,
A lekki wietrzyk marszczy twoje wody.
A gdy cię, Wisło, ścisną zimne lody,
Tyś jak zwierciadło, jak srebrna tablica,
Na której słońce maluje swe lica,
Aż lód przepali; wtedy z strasznym grzmotem
Łamiesz kry, toczysz rozłożyste fale,
Pienisz się, płyniesz szeroko, wspaniale,
I pierś twą wzdymasz za wiosny powrotem;
I kiedy w górach potopnieją śniegi,
Ty nagle groźna wychodzisz nad brzegi,
Zalewasz pola i unosisz z sobą
Wieśniacze chaty z całą ich chudobą;
Powalasz domy i na twojej fali
Nieraz niemowlę w kołysce się żali;
A potem znowu wracasz w twe ukrycie
I cicho płyniesz w odwiecznem korycie.
W starem korycie, o rodzinna rzeko!
Niechaj spokojnie twoje nurty cieką;
Niech na twych błoniach tak pełnych tęsknoty
Bóg litościwy da urodzaj złoty;
Wtedy te fale pokrają na pręgi
Niosące zboże, ładowne komięgi,

A flis krakowski, twój przyjaciel stary,
Kupi ci suknię za gdańskie talary.

*Antoni Czajkowski.*

## DO GOPŁA.

Ziemicą Piasta szeroko rozlane,
Witaj nam, witaj, Gopło kujawiane!
Jak tło przeszłości fale twoje ciemne,
Jak powieść ludu głębie twe tajemne!...

Powiedz mi, powiedz, czy morzu naszemu
Świat cześć oddaje jeszcze po staremu?
Czy się korabie po twych falach pławią?
Czy słuchasz modłów pobożnych żeglarzy?
Czy wiosna pieśnią wita cię żórawią?
Czy orzeł jeszcze nad tobą się waży?

»Dawno, już dawno pod mojej tu wodzie
Nie chodzą więcej ładowne te łodzie,
Nie słyszę modłów, nie widzę żórawi...
Ani się orzeł po powietrzu pławi...
Ale się niebo przeziera w mej fali,
A czasem gwiazda nad nią się użali«.

*Wincenty Pol.*

## MAJ KONAJĄCY.

Stanęło słonko w blasków bieli,
Zielony zadrżał gaj!
Omyty w rannych ros kąpieli,
Legł na liliowych bzów pościeli
Maj,
Konający maj!

Spoczął, złożywszy pierś młodzieńczą
Na kiściach zwiędłych bzów,
Żegnając życie z marzeń tęczą,
Z widmem niknących za przełęczą
Snów,
Niewyśnionych snów.

Konał... Marzące podniósł oczy,
Miłosny nucąc śpiew!
Z widzeniem rajskich wzgórz, roztoczy,
Objętych w złoty splot warkoczy
Dziew,
Najpiękniejszych dziew!

Odchodzącemu w twarz o zgonie
Młodzieńczy zajrzał raj!
Uśmiech krzepnące rozgrzał skronie,
Spojrzał... I skonał z szczęściem w łonie
Maj,
Niepowrotny maj!

Wyjrzało słońce w blasków bieli,
Zagrała zieleń wzgórz!

Dziewczyno, pytasz: co nas dzieli?
Maj na śmiertelnej legł pościeli
Już,
Skonał, skonał już!

Skonała młodość z skrą zachwytu,
Prysnęła bańka złud!
Maj z wiosną wróci znów z błękitu,
Lecz chwil minionych z fal niebytu
Cud,
Sam nie wskrzesi cud.

*Kazimierz Laskowski.* (*El.*)

## DO NIEMNA.

Powiedz mi, Niemnie! puszcz obywatelu,
Które ci strony tych porzeczy miłe?
Któreś ukochał z tych zabrzeży wielu?
Czy leśne łąki i puszcze zawiłe?
Czy piękne skały, kędy płyniesz kręto,
Gdzie twe zabrzeża, strojne jak na święto,
Wdzięcznie się sklepią gajmi lipowemi
I miło szumią wodami leśnemi?

Czyliś ukochał może te powiaty,
Gdzie, jak kniaź Litwy władny i bogaty,
I nieujęty w obcej woli karby,
Na morze niesiesz starej Litwy skarby?
— »Pytasz? czy sądzisz, że ja nie mam serca,
Kiedy się z sercem po mych brzegach rodzą?

Miła-ć woń wprawdzie leśnego kobierca,
Lubię szum puszczy, gdy nią wiatry wodzą.
Lubię zakręty skalistych ustroni,
I woń miodową, którą lipa roni;
Ale cudowniej świat mi się układa,
Gdzie droga Wilja w me ramiona wpada,
I najwdzięczniejsza Kowieńska dolina
W całem dziedzictwie kniazia Giedymina...
Bo jak kobierzec ślubny się rozściela
I wiecznie świadkiem naszego wesela«.

*Wincenty Pol.*

---

## DO DNIESTRU.

Jakby się Panu wystroił na święto!
W skalistym jarze Dniestr posunął kręto...
I od gór silnych aż po Czarne morze
Słynie po świecie szumne jego łoże.

I wzbił się orzeł w stepach Akermanu
I pyta Dniestru: »Co to niesiesz Panu?
I coś to widział, Dniestrze, w twoim biegu?
I co się dzieje po oboim brzegu?«

— »Górskie potoki szumią w górach wiosną
I stare buki nad przepaścią rosną;
Dalej się pasą w błoniach siwe stada
I w jar skalisty Podole opada,
I nagie ścianki świecą z poza sadu
I pnie się w słońcu różdżka winogradu,
I stare grody świadczą starej sławie.

Lecz kiedym znalazł w nurtach stare szlaki,
Kości rycerzy i z krzyżem szyszaki,
I kiedym orły ujrzał przy Ładawie,
Tom się tak bardzo w mym biegu zasmucił,
Żem się na przepaść na porohach rzucił,
I nie pocieszon nawet ziemią żyzną
Ślęczę ku morzu i konam mielizną«.

*Wincenty Pol.*

## RZEKI, WPADAJĄCE DO WISŁY.

Nazajutrz w świtu różowej godzinie
Wisława w srebrny uderzyła dzwonek,
Ażeby zwołać pod szklany przysionek
Swoje lennicze bogi i boginie.
Wielki szum powstał w górach i dolinie;
Dążą lennicze bogi i boginie.
Najpierwszy z bożków radosnej młodzieży,
Pusty swawolnik w swej białej czamarce,
Z tysiącem pstrągów dzwoniących u pasa,
Prądnik jak rzeźki Krakowiaczek hasa.
Młodziuchna Nida, podobna kwiaciarce,
Biegnie przez łąki i do swych wybrzeży,
Jak do koszyka, zsypuje wiązanki
Ze złotej ruty, bzu i macierzanki.
Biegną Dunajce, dwaj bracia górale,
Z okiem myśliwskiem i zwinnością gończą;
Jeden z nich w Białe okręca się fale,
Drugi się Czarną owinął opończą.
Za nimi lekko idzie modro-oka,
Brzeg płaszcza Wisły niosąca Wisłoka.

A teraz patrzcie! idzie mąż wspaniały,
San, groźny rycerz, który srebrną dzidą
Druzgoce lasy i przebija skały.
Po jego falach echa Karpat idą.
Tanew, ukryta pod cień borów kruczy,
W głębi puszcz szumnych jak wyrocznia huczy.
Dalej w dolinie wijąca się kręto,
Od tataraku swoich jezior wonna,
W więzach z kamieni żali się Kamionna:
Zda się, że słyszysz królewnę zaklętą.
Między zdumiałym, rozstąpionym tłumem
Tancerka ledwie tykająca ziemi,
Bystrzyca pląsa stopami bystremi.
Za nią poważna, szafirowo-lica,
Idzie, jak cicha kapłanka, Pilica.
A teraz z drogi! oto z wielkim szumem
Nadchodzi Narew, cała upowita —
Narew tak dumna, że gdy Wisłę wita,
Zarzuca ciemny fałd opony swojej
Na modrą suknię, co spływa z królowej.
Jakiż tc kmiotek goni dumną księżnę?
A wszak to brat jej, wesoły ów żeniec,
Bug kłosonośny; codziennie on w wieniec
Statków ładownych pszenicą się stroi;
Wiecznie na wodach wyprawia okrężne!
Tam Bzura dźwiga szaty obciążone
Kiściami pereł; nosi krucze włosy
Perłami spięte i z pereł koronę.
Tam wre i szumi wartko-lotna Drwęca,
Która w winnice i róże i kłosy
Kwitnące czoła swych brzegów okręca.
Brda, jak wąż srebrny, uśpiony na niwie
Pod siecią gajów cicho się pierścieni.
Ossa pod słońcem zapala błyskliwie
Fale, podobne do białych płomieni.

Zajrzyjmy dalej: kto stopy przysunie,
Nad mórz północnych wybrzeża żółtawe,
Ujrzy na straży posępną Motławę
I radującą się wiecznie Radunię.
Co, jak odźwierne, w progu Wisły strzegą
Bram bursztynowych morza Bałtyckiego.
I one dzisiaj tu idą i niosą
Klucze, błyszczącą wysadzane rosą.
Te wodne bóstwa, jasne i złowieszcze,
Ku Wiśle dążą, z niemi inne jeszcze,
I jeszcze inne; lecz któż je wyliczy?
Księgę-by spisał, kto wiernemi farby
Chciałby malować cały dwór lenniczy,
Niosący Wiśle swoje wierne skarby.

*Jadwiga Łuszczewska (Deotyma).*

---

## STEPY W ZIMIE.

Czyś widział stepy, gdy w dzień zimowy
Z północy chmura zaciągnie śnieżna,
I nigdzie schrony dla twojej głowy,
Bo wkrąg pustynia biała, bezbrzeżna,
A przy rosnącym co chwila wietrze
Straszliwa zamieć zaćmi powietrze?
Biedny wędrowcze! w złą się godzinę
Wybrałeś w podróż: patrz, jak szalony
Wicher, jak wielki! całą równinę
Naraz silnymi ująwszy szpony,
Łono jej białe rozrywa, porze,
Rwie aż pod niebo i w kłębach pędzi.
To nie kwiat wiśni, nie puch łabędzi,

By ci rozkoszne podesłać łoże;
To rój gwiazd śnieżnych; wirowym ruchem
W takie cię gęste siatki okręca,
Tak nieprzebytym ściga łańcuchem,
Że, zmęczonego wziąwszy jak jeńca,
Przy tobie, żywym, jak przy twej osi,
Biały, grobowy kurhan podnosi.
Niebo i ziemia nikną ci; kołem
Ćma tylko luźnych atomów krąży,
Owija chwilę i dalej dąży.
Chwyta cię obłęd; sądzisz, że społem
Lecisz z tym wirem, co cię oplata
Sądzisz, żeś jądrem nowego świata,
Który, bujając ponad otchłanią,
Nie zawisł w sferach, bo mu duch Boży
Jeszcze nie wskazał celu podróży.
Nagle cię senność porywa, za nią
Jakieś błękitne ciągną marzenia,
Które zasuwa gęsta pomroka,
Byś się przynajmniej w dniu przebudzenia
Ocknął w dziedzinie rajskiej proroka!

*Gustaw Zieliński.*

---

## JAK TO NA MAZOWSZU.

Po szerokiem polu modra Wisła płynie,
Pochylone chaty drzemią na dolinie,
Nad wodą zgarbiony stary dąb żylasty,
Kędy bielą płótna wesołe niewiasty.
Po łące bociany stąpają powolne,
W owsach jednostajnie brzęczą świerszcze polne,

A z borów cienistych leśnej okolicy
Rozwiewa się wonność sosnowej żywicy.
Po niebie obłoki, jak bieluchne runo,
Słoneczkiem przeciekłe pod błękitem suną.

Na wodzie, na Wiśle, śród ciszy poranka,
Płynie łódź flisowska, jak szara cyranka,
A za nią ładowne pszenicą galary,
Szum wioseł na falach, i śmiechy, i gwary.
Po boru jagody dziewczę rwie na wrzosie
I śpiewa miłemu: »Pędź, głosie, po rosie«.

Po długiej dolinie tęskne tony cieką,
I słychać piosenkę daleko, daleko.
I gdzie się obrócisz, nad Wisłą, nad Bugiem,
Brzmi nuta serdeczna za bydłem, za pługiem,
Po wodzie srebrzystej, po zielonym gaju —
Jakby jedna dusza była w całym kraju.

Oj, śliczna to ziemia to nasze Mazowsze!
I czystsza tam woda, i powietrze zdrowsze,
I sosny roślejsze, i dziewki kraśniejsze,
I ludzie mocniejsi, i niebo jaśniejsze.
Gdzie mi tak na świecie kto zagra od ucha?
Gdzie mi się rozśmieje tak raźna dziewucha?
Gdzie mi pokażecie naszą chatę lichą,
Taki bór szumiący, taką łąkę cichą;
Kędy ja usłyszę tyle ptastwa wrzasku?
Skąd wam modrej Wisły i białego piasku?!
Serce moje, serce do tych lasów goni,
Do Wisły, do Wisły, — oj, tęskno mi do niej!
Szczęśliwe kuliki, szczęśliwe rybitwy,
Co nad nią powietrzne zawodzą gonitwy.
Oj Mazur ja, Mazur pomiędzy obcemi,
Zmarnuję ja młodość w nieswojej tu ziemi.

Kiedy szedł do ludzi, cały dzień padało,
Pod wieczór się za mną słońce obejrzało —
Oj poczerwienione, jak oko matczyne,
Co, mnie błogosławiąc, patrzyła w dolinę.
Wiatr szumiał po polu, a pszeniczne kłosy
Strząsały na ścieżkę krople jasnej rosy.
Po boru, po lesie, przez gęstwinę ciemną,
Na gałęziach wrony krakały nade mną.
Sierocemu sercu tak się wydawało,
Jakby coś w powietrzu po lesie płakało.
Spojrzałem przed siebie — nikogo nie było,
Kilka ciemnych sosen w ziemię się chyliło.
Daremno po drodze patrzyłem za siebie,
Jedna tylko gwiazdka mrugała na niebie,
I ta utonęła w ciemnej, mrocznej fali,
Nie było nikogo — i poszedłem dalej.
I dalej i dalej w świat szeroki, długi...
Bywajcie mi zdrowe mazowieckie smugi!

Skrzypki moje, skrzypki, do serca zagrajcie,
A wy też, Mazury, chętnie posłuchajcie.
Wszystko zostawiłem, a wziąłem to jedno,
Od czego wam lica to płoną, to bledną,
I włóczę się oto, i tęskliwie żyję —
Westchnieniem się żywię i łez się napiję.
I tak schodzi zima i za zimą lato —
Boże dopuszczenie — chwała Mu i za to!

Zagrajcie, skrzypeczki, niechaj wdzięczne granie
Cichy wiatr zaniesie, gdzie moje kochanie.
I życie i piosnka dobrze się opłaci,
Jeżeli łzy-perły weźmie z serca braci.
Witajże mi, witaj, kraino kochana
W boleści, w tęskności — oj dana! oj dana!

*Teofil Lenartowicz.*

# PUSZCZA LITEWSKA.

## WYJĄTEK.

Któż zbadał puszcz litewskich przepastne krainy,
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;
Myśliwiec krąży koło puszcz litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice,
Lecz obce mu ich wnętrzne serca tajemnice.
Wieść tylko albo bajka wie, co się w nich dzieje;
Bo, gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje,'
Trafisz w głębi na wielki wał pni, kłód, korzeni,
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni,
I siecią zielsk zarosłych, i kopcami mrowisk,
Gniazdami os szerszeni, kłębami wężowisk.
Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkiem męstwem,
Dalej spotkać się z większem masz niebezpieczeństwem.
Dalej, co krok, czyhają, niby wilcze doły,
Małe jeziorka, trawą zarosłe na poły,
Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dośledzą;
(Wielkie jest podobieństwo, że tam dyabły siedzą).
Woda tych studni lśni się plamistą rdzą, krwawą,
A z wnętrza ciągle dymi, zionąc woń plugawą,
Od której drzewa wkoło tracą liść i korę,
Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore —
Pochyliwszy konary, mchem kołtunowate,
I pnie garbiąc, brzydkimi grzybami brodate,
Siedzą wokoło wody, jak czarownic kupa,
Grzejąca się nad kotłem, w którym warzą trupa.

Za temi jeziorkami już nietylko krokiem,
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem,

Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,
Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi;
A za tą mgłą nakoniec, jak wieść gminna głosi,
Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica,
Główna królestwa zwierząt i roślin stolica.
W samym środku, jak słychać, mają swoje dwory:
Dawny tur, żubr i niedźwiedź — puszcz imperatory;
Około nich na drzewach gnieżdżą się: ryś bystry,
I żarłoczny rosomak, jak czujne ministry;
Dalej zaś, jak podwładni szlachetni wasale,
Mieszkają dziki, wilki i łosie rogale;
Nad głowami sokoły i orłowie dzicy,
Żyjący z pańskich stołów dworscy zausznicy.

Te pary zwierząt główne i patryarchalne,
Ukryte w jądrze puszczy, światu niewidzialne,
Dzieci swe ślą dla osad za granicę lasu,
A sami we stolicy używają wczasu;
Nie giną nigdy bronią sieczną, ani palną,
Lecz starzy umierają śmiercią naturalną.
Mają też i swój cmentarz, kędy blizkie śmierci
Ptaki składają pióra, czworonogi — sierci.
Niedźwiedź, gdy, zjadłszy zęby, strawy nie przeżuwa,
Jeleń zgrzybiały, gdy już ledwie nogi suwa,
Zając sędziwy, gdy mu już krew w żyłach krzepnie,
Kruk, gdy już posiwieje, sokół, gdy oślepnie,
Orzeł, gdy mu dziób stary tak się w kabłąk skrzywi,
Że, zamknięty na wieki, już gardła nie żywi,
Idą na cmentarz. Nawet mniejszy zwierz, raniony
Lub chory, bieży umrzeć w swe ojczyste strony;
Skąd to w miejscach dostępnych, kędy człowiek gości,
Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.

Słychać, że tam w stolicy między zwierzętami
Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami:

Jeszcze cywilizacyą ludzką nie popsuci,
Nie znają praw własności, która świat nasz kłóci,
Nie znają pojedynków, ni wojennej sztuki;
Jak ojce żyły w raju, tak dziś żyją wnuki,
Dzikie i swojskie razem, w miłości i zgodzie;
Nigdy jeden drugiego nie kąsa, nie bodzie.
Nawet gdyby tam człowiek wpadł, chociaż nie zbrojny,
Toby środkiem tych bestyi przechodził spokojny;
Oneby nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,
Jakim, w owym ostatnim, szóstym dniu stworzenia,
Ojce ich pierwsze, co się w ogrojcu gnieździły,
Patrzyły na Adama, nim się z nim skłóciły.
Szczęściem, człowiek nie zbłądzi do tego ostępu,
Bo trud i śmierć i trwoga bronią mu przystępu.

Czasem tylko w pogoni zaciekłe ogary,
Wpadłszy nieznacznie między bagna, mchy i jary,
Wnętrznej ich okropności rażone widokiem,
Uciekają, skowycząc, z obłąkanym wzrokiem.
I długo potem, ręką pana już głaskane,
Drżą jeszcze u nóg jego strachem opętane.
Te puszcz stołeczne, ludziom nieznane tajniki
W języku swoim strzelcy zowią mateczniki.

*Adam Mickiewicz.*

---

## FARYS WIESZCZ.

### NAŚLADOWANIE Z ARABSKIEGO.

O! i ja kiedyś byłem Farysem!
Lecz czyż wy wiecie, co Farys znaczy?!

Ha! niech step mówi swoim opisem!
Olbrzyma olbrzym niech wytłumaczy!
On tylko jeden prawdę nam powie,
Jemu więc wierzcie, jak koranowi.

»Farys« — step mówi — »to dziecię moje!
To duch, tęsknotą nieba trawiony —
Zesłany tutaj na ciągłe boje,
Na ciągłych pragnień żar niezgaszony!
A tak mu trzeba nieba i słońca,
Że tylko za niem pędzi bez końca.

I nic go w pędzie wstrzymać nie zdoła! —
Ani uroczej cienie oazy,
Ni Beduinka głosem anioła
I blaskiem oczu — milszym sto razy!
Próżne pokusy! — bo tacy gońce
Kochają tylko niebo i słońce!«

Więc jam był gońcem — i gońców bardem. —
Cudneż to było to nasze grono!
Z tą myślą wiecznie w słońce zwróconą
I z tem ramieniem młodzieńczem, hardem,
Co krawędź nieba z krawędzią świata
Sili się spoić — wierząc, że zbrata!

Patrzcie tam — wkoło piaszczyste wzgórza
Niby umyślnie słane mogiły —
Czasem się z głębi szkielet wynurza —
Spytaj szkieletów, czem one były!...
Ha! te mogiły Arabistanu
To tylko ślady stóp huraganu!

On to Farysów pochłonął w sobie!
Pochłonął żywcem braci kochanych!

Jam tylko jeden został na grobie,
Na grobie gońców — już zapomnianych!...
Czy to już łaska, czy kara nieba:
Allah żyć kazał, więc żyć potrzeba!

Jak młode orlę z złamanem skrzydłem,
Co się już nigdy w niebo nie wzniesie,
Żyć, życiem gadu, gnuśnem, przebrzydłem,
W tych smutnych murów ciasnym zakresie!...
Ha! próżne żale! śpiewaj, Pajaco!
Tylko zabawnie — bo nie zapłacą!

O wieczna hańbo! wieczna sromoto!
Ja Farys, piewca z niebios natchniony,
Pieśń mą na ziemskie przestrajać tony,
Pieśń mą sprzedawać muszę za złoto!
By czem okupić cień cudzej strzechy,
Lub zgłuszyć z nędzy szydzące śmiechy!

Oni nie wiedzą, że wieszcza pienie
Jest jako słońce na niebios sklepie,
Co na wszechwładne Boga skinienie
Świeci wędrowcom błądzącym w stepie —
A przecież słońcu nie płacisz za to,
Że cię zbawienną poi oświatą!

Oni nie wiedzą, że wieszcza śpiewy,
Jak ów dziewiczej ogień miłości,
Co za niebiańskie swoje wylewy
Nic! nic nie pragnie — prócz wzajemności!
Sprzedawać miłość — hańba kobiecie!
Sprzedawać śpiewy — hańba poecie!

Przecież tą hańbą wlokę dziś życie!
Allahu! jakże dręczysz mię srogo!

I jeszcze nieraz ktoś niby skrycie,
Niby po cichu powie: »Za drogo«.
Za drogo mówisz?... powiedzże, bracie,
W jakiejż wy cenie życie sprzedacie?...

Bo słuchaj! — pieśń ma to cząstka życia,
Tam jest krew moja, tam są łzy moje,
I mego serca gwałtowne bicia,
I uczuć moich i myśli roje!
A każdą żeby dostać, wyjawić,
Muszę wprzód serce mocno zakrwawić!

Więc cóż? za drogo?... O! bądźcie szczersi!
Gdyby wam przyszło życiem frymarczyć
I, jak pelikan, rozrywać piersi,
By krwi za cenę złota dostarczyć,
W jakiejżby cenie była kropelka
Krwi lub łzy waszej, choćby niewielka?...

Męczarnie wieszcza w chwili tworzenia,
To boleść matki w chwili porodu —
Ile wlał życia do swego płodu,
Tyle wziął życia z swego istnienia —
Ile on pieśni dla was utworzył,
O tyle kroków grób swój przysporzył!

Czasem — w dodatku — słyszę oklaski —
Szczere czy zwodne — wszystko mi jedno!
Znam tych błyskawic przelotne blaski!
Znam ich gruntowność i trwałość biedną!
Wasze pochwały — toć to szyderstwo!
Wasze pochwały — toć to bluźnierstwo!

Gdy syn rozpaczną pieśnią kołacze
W grób, co mu drogą matkę ukrywa,

Możecież mówić, że ślicznie płacze?
Możecież mówić, że z czuciem śpiewa?
Jak ta łza syna na matki grobie,
Tęż samą szczerość śpiew mój ma w sobie!

A więc porzućcie marne pochwały,
Gdy pieśń ma święta jako łza syna.
Nie takie wieńce wieszczom przystały!
Wieszcz takie wieńce depce, przeklina!
Duch jego wielki i wiecznie młody
Innej — o! innej żąda nagrody!

Nagroda piewcy — to cisza owa
Święta, urocza, z której odgadnie,
Że w duszach wielki zamiar się knowa,
Co kiedyś światu zagrzmi wszechwładnie!
Cisza, co mówi, że ziarno wschodzi
I myśl-kwiat wkrótce owoc-czyn zrodzi!

Nagroda piewcy — to te spojrzenia,
Co świecą całym duszy wulkanem!
Krótkie, milczące dłoni ściśnienia
Z westchnieniem długo w piersi stłumianem;
I owa chmura cieniąca czoła,
Z której połyska miecz Archanioła!

To mi nagroda!... jam ją odbierał!
Wkoło mnie stali bracia Farysy,
Każdy pieśń moją sercem pożerał,
Pieśń ma wnikała w ich twarzy rysy,
W krew tych serc wielkich, w ich myśli gniazdo,
Lśniła im w drodze przewodnią gwiazdą!

Farysy znikli! — głucho na stepach!
A w stepie życia, och! smutniej jeszcze!

Czasami tylko wiatr zaszeleszcze,
Dmąc po wywiałych czaszek czerepach!
On wszystko wywiał! — wszystko przewiało,
Co było cnotą, prawdziwą chwałą!

O! i mnie pora spocząć w mogile,
Zasnąć snem braci błogosławionych!
Aż kiedyś, kiedyś, za męczarń tyle,
Gdy głos Allaha, budząc uśpionych,
Na swoje rajskie zwoła ogrody —
I ja niebiańskiej doznam nagrody!

W tym boskim raju, w tem siódmem niebie,
W waszej ojczyźnie, o prawowierni!
Allah mnie wielki wezwie do siebie,
Zdejmie mi z głowy ten wieniec z cierni
I zmyje tylą krwi przesiąkniętą,
Wyrwie mi z serca pamięć przeklętą!

I najcudniejsze wezwie dziewice
I rzeknie: »Służcie, jak Padyszachu!«
Ja — i nie spojrzę nawet w ich lice,
Ale z pokorą powiem: »Allahu!
Jam tylko prawdy szukał na świecie!
Czyż taką miłość znajdę w kobiecie?!

Nie chcę hurysy! choćby piękniejszej
Od tej, com niegdyś kochał na ziemi.
Lecz ja nie gardzę dary twojemi —
Ja tylko łaski błagam pełniejszej...
Za wszystkie, wszystkie twoje hurysy
Niech wstaną moi bracia Farysy!...

I pozwól! pozwól choćby na chwilę
Zstąpić nam jeszcze w nasz kraj cyprysów,

I w dawnej naszej młodzieńczej sile
Pobujać orlim lotem Farysów!
I piersi dawnem orzeźwić biciem
I dawnem naszem zabłysnąć życiem!«

Allah wysłucha — wnet grzmiące głosy
Wystraszą w głębi śpiących tygrysów,
I okrzyk szczęścia buchnie w niebiosy!...
Widzcież raz w życiu polot Farysów!
Może wam wówczas, biedne robaki!
Przyjdzie ochota do jazdy takiej.

*Karol Baliński.*

---

# PRZED BURZĄ.

## WYJĄTEK.

Owe obłoki ranne, zrazu rozpierzchnione,
Jak czarne ptaki, lecąc w wyższą nieba stronę,
Coraz się zgromadzały; ledwie słońce zbiegło
Z południa, już ich stado pół niebios obległo
Ogromną chmurą; wiatr ją pędził coraz chyżej,
Chmura coraz gęstniała, zwieszała się niżej,
Aż jedną stroną nawpół od niebios oddarta,
Ku ziemi wychylona i wszerz rozpostarta,
Jak wielki żagiel, biorąc wszystkie wiatry w siebie,
Od południa na zachód leciała po niebie.
I była chwila ciszy; i powietrze stało,
Głuche, milczące, jakby z trwogi oniemiało.
I łany zbóż, co wprzódy kładąc się na ziemi,
I znowu w górę trzęsąc kłosami złotemi,

Wrzały jak fale; teraz stoją nieruchome
I poglądają w niebo, najeżywszy słomę.
I zielone przy drogach wierzby i topole,
Co pierwej jako płaczki przy grobowym dole,
Biły czołem, długiemi kręciły ramiony,
Rozpuszczając na wiatry warkocz posrebrzony;
Teraz jak martwe, z niemej wyrazem żałoby,
Stoją nakształt posągów sybilińskiej Nioby.
Jedna osina drżąca wstrząsa liście siwe.
  Bydło, zwykłe do domu powracać leniwe,
Teraz zbiega się tłumnie, pasterzy nie czeka
I, opuszczając trawę, do domu ucieka.
Buhaj racicą ziemię kopie, orze rogiem,
I całą trzodę straszy ryczeniem złowrogiem.
Krowa coraz ku ziemi wznosi wielkie oko,
Usta z dziwu otwiera i wzdycha głęboko.
A wieprz marudzi w tyle, dąsa się i zgrzyta,
I snopy zboża kradnie i na zapas chwyta.
  Ptastwo skryło się w lasy, pod strzechy, w głąb trawy,
Tylko wrony, stadami obstąpiwszy stawy,
Przechadzają się sobie poważnymi kroki,
Czarne oczy kierują na czarne obłoki,
Wytknąwszy język z suchej, szerokiej gardzieli
I skrzydła roztaczając, czekają kąpieli;
Lecz i te, przewidując nazbyt mocną burzę,
Już w las ciągną, podobne wznoszącej się chmurze.
Ostatnia z ptaków lotem nieścigłym zuchwała,
Jaskółka czarny obłok przeszywa jak strzała,
Wreszcie spada jak kula.
  Na zachód jeszcze ziemia, słońcem ozłocona,
Świeciła się ponuro, żółtawo-czerwona;
Jak chmura, roztaczając cienie nakształt sieci,
Wyławia resztki światła, a za słońcem leci,
Jak gdyby je pochwycić chciała przed zachodem.
Kilka wichrów raz po raz prześwisnęło spodem,

Jeden za drugim lecą, miecąc krople dżdżyste,
Wielkie, jasne, okrągłe, jak grady ziarniste.
  Nagle wichry zwarły się, porwały się w poły,
Borykają się, kręcą, świszczącemi koły
Krążą po stawach, mącą do dna wody w stawach,
Wpadły na łąki, świszczą po łozach i trawach,
Pryskają łóz gałęzie, lecą traw przekosy
Na wiatr, jako garściami wyrywane włosy,
Zmieszane z kędziorami snopów; wiatry wyją,
Upadają na rolę, tarzają się, ryją,
Rwą skiby, robią otwór wichrowi trzeciemu,
Który wydarł się z roli, jak słup czarnoziemu.
Wznosi się, jak ruchoma piramida toczy,
Łbem grunt wierci, z nóg piasek sypie gwiazdom w oczy,
Co krok wszerz wydyma się, roztwiera ku górze,
I ogromną swą trąbą otrębuje burzę.
Aż z całym tym chaosem wody i kurzawy,
Słomy, liścia, gałęzi, wydartej murawy,
Wichry w las uderzyły i po głębiach puszczy
Ryknęły, jak niedźwiedzie.
                                        A już deszcz wciąż pluszczy,
Jak z sita, w gęstych kroplach; wtem rykły pioruny,
Krople zlały się razem; to jak proste struny
Długim warkoczem wiążą niebiosa do ziemi,
To jak z wiader buchają warstwami całemi.
Już zakryły się całkiem niebiosa i ziemia,
Noc je z burzą od nocy ciemniejszą zaciemia.
Czasem widnokrąg pęka od końca do końca
I anioł burzy, nakształt niezmiernego słońca,
Rozświeci twarz i, znowu okryty całunem,
Uciekł w niebo i drzwi chmur zatrzasnął piorunem.
Znowu wzmaga się burza, ulewa nawalna,
I ciemność gruba, gęsta, prawie dotykalna.
Znowu deszcz ciszej szumi, grom na chwilę uśnie;
Znowu wzbudzi się, ryknie i znów wodą chluśnie.

Aż się uspokoiło wszystko, tylko drzewa
Szumią głucho wokoło i szemrze ulewa.

*Adam Mickiewicz.*

---

## R Y M.

(DO JEDNEJ PANI, KTÓRA GANIŁA RYMY MOJE ZBYT PROSTE).

I.

A więc nie lubi pani mych rymów zbyt prostych?
Wolałabyś, by pieśń ma dźwięczała niezwykle,
Świecąc jako potrójnie złocony akrostych —
Rymy, powiązanymi w niespodziane cykle.
Prawda, rym jest dla pieśni, czem dla mózgu czerep,
Co myśl okrywa ludzką, jak perłę szczeżuja,
Rym to niebo i słońce, to piekło i ereb:
W nim muzyka istnienia jakby echem buja.
Im melodya bogatsza, pierś oddycha szerzej —
I promienistsze barwy w rymów hijacyncie —
A pieśniarz, mknąc ku górze do niebieskich wierzej,
Zda się wołać słuchaczom: Płyńcie za mną, płyńcie!
Bo rym, gdy z niespodzianych, rzadkich sylab splecion,
Zda się, że treść natury lepiej uwypukli!
Jak potęgę wzburzonych fali morskiej wrzecion
Gromada nimf, złocistych od złocistych pukli.

II.

Tak! rym czasem ma szczęki kutych w ogniu żelaz,
A czasem niby echo jakichś wspomnień rajskich;
Czasem, zda się, jak bogów pełna Anafielas —

Lub samotna pustynia proroków hebrajskich.
Są rymy, które dzwonią jak rycerski brzeszczot,
Są rymy, które huczą jak miedziane gongi,
Które tchną pocałunków zapachem i pieszczot;
Są, zda się, marmurowe jak greckie posągi,
Są rymy tak szalone, jak skoczne fandango;
Są, w których grób uśmiechu ślad ostatni zatarł;
Są, które pachną piżmem, żywicą, hidrangą,
Są, rzekłbyś, jako bogów widomy awatar.
Rym to wszystko: melodya, zapach i koloryt
Myśl, forma, bicie serca. Słuchaj ty, co śpiewasz,
Niechaj z twych rond i ballad, sonetów, rifiorit
Dusza wytryska, ale rymu nie lekceważ!
Tracisz mocy połowę, myśl od rymu dzieląc,
Bo czemuż zielenieje w rymie pól aksamit?
Huczy wicher, żeś gotów w duszy swej się przeląc?
Czemu przeszłość w nim żyje, jak w twierdzach piramid?
Przeto, że treść i forma są jak brat ze siostrą:
Niech ci żaden nie będzie jako pan lub murzyn,
I kiedy razem skrzydła ku niebu rozpostrą,
Niech płyną jak dwa duchy dwu bliźniaczych drużyn.
Wiem! Kocham rym, jak słodki upojenia kielich —
Potężny, jako włócznia; cenny, jako szmaragd;
Jasny, jak kryształ; rzewny, jako pieśni El...ych,
A tęczami płonący, jak strugi katarakt.
Świat rymów jest dla mnie, jak gotycki kościół,
Którego szczyt niebieskich, rzekłbyś, sięga posów;
Żyłem w nim, ale duch mój na dwoje się rozciął
I słucham teraz nowych niespodzianych głosów.

III.

Pierś mi strawił zatruty mego wieku rozczyn —
Duch zmęczony, że sam-by pragnął siebie przerość,
Tęskni dziś za spokojem zapomnianych wioszczyn,

Gdzie pod lip starych cieniem kwitnie złota szczerość.
Znudziły mnie zawroty tej abrakadabry —
Prostoty chcę, zieleni śród lasów i opól:
Nęcą mnie kraśne maki i niebieskie chabry,
Szmery wód, ciche szumy rokicin i topól.
I chciałbym ksiąg zapomnieć, których czar mnie urzekł,
I stanąć odrodzony śród zielonych muraw,
I usiąść nad strumieniem w kole dobrych wróżek
Lub ulecieć nad pola, jak swobodny żóraw.
I chciałbym, zapomniawszy pieśni kłamnych syren,
Wsłuchać się w tajemnicze borów Zendawesty,
I jak jaskółka spadać na prostaczy świren
Lub kwitnąć, jak na piaskach nadwiślańskich rdesty.
I tak chciałbym, z nieziemskich odrodzony przyczyn,
Pojąć pieśń, którą śpiewa dziś stuleciu ziemia,
Którą pszczół roje brzęczą śród gryk i koniczyn,
I którą szumią ludzkie ule i żeremia.
Bo wierzę, że w tych szumach żyje Boża czeladź
Kwiatów, ptaków, motyli — i chciałbym balsami
Zapach łąk w serce przelać — i zwolna się wcielać
W treść istot, z którą wkońcu duch się utożsami.
Chciałbym, by światło błysło w moich oczach ślepych,
Bym je zamknął na fałszu uwodzące złoto,
Bym, pojąwszy natury prostotę i przepych —
Jak ona lśnił przepychem naraz i prostotą.

IV.

Niech mi nikt nie zarzuca, że pieśń moja pełza,
I żem opuścił rymów tęczowe Dżennaty,
Lecz moja dłoń pegaza swego sama kiełza:
Szukam ciszy, bo w ciszę duch mój nie bogaty.
Kochałem perły rymów. Poznałem najrzadsze
Klejnoty mowy bogów i najsłodszy zapach
Ich kwiatów. Po czarownym pieśniarzy teatrze

Wędrowałem swobodnie, jak po znanych mapach.
Ale dzisiaj już rymy dobieram najprostsze,
Po edenie płaczący, jak po synach Rizpach —
Bo serce mi przebiło długich zwątpień ostrze
I spoglądam w tę stronę, gdzie odrodzeń wyspa.
Więc i nie dziw, że u mnie nie napotkasz częstych
Rymów, wyświątecznionych w brylantach i perłach.
Są, którzy gonią rzadkie rymy. Lecz drwię z tych,
Co to czynią. Jam pielgrzym, co wchodzi na Gierlach,
Więc rzucam wszystek ciężar i chcę na gołoledź
Szczytu gór iść swobodny — z jedną tylko cytrą,
A duch jakiś mi szepce: Poleć w górę, poleć!
I pożegnaj na wieki wszelką sztukę chytrą.

V.

Tak, bo rym się bez trudu w poezyę ularwi:
Poezya dziś z swych wyżyn zeszła w nędzę dolin,
A każda ciemna fala uda falę Narwi
I dzisiaj sztuka rymów to nuta mandolin.
Jest *tralala* na wszystko — formuły, algebra —
W legiony dziś się rozrósł wierszopisów szereg.
I rymy leją gładko, niby wodę z cebra,
A łatwo tak, jakby to był walc lub oberek.
Są i dziś, którzy pieśni podniósłszy chorągiew,
Niepamiętni światowych złoceń i uszerścień,
W leśnej głuszy słuchają śpiewu makolągiew,
Słuchając, gdzie natchnienia czarodziejski pierścień.
Chwała wam, o pieśniarze, bólu wychowańce,
Co bój toczycie z tłumem ciemnoty dziwożon
I znajdujecie w liliach jad i krew w sielance:
Przed wami czcią przepełnion stoję i ukorzon.
Ale więcej jest takich, co jakoby chrząszcze
Brzęczą — rymy odwieczne przebrzmiałych kantylen,
Bo im już przerąbano oddawna te gąszcze,
Gdzie nad majakiem pieśni dzisiaj płacze selen.

## VI.

Nie lubię rzeczy łatwych. Lubię łamać granit,
Lubię słuchać, jak szumią oceanów larga,
Jak płaczą nad Tytanem chóry Oceanid,
Gdy Jowisz się nad nimi piorunami jarga,
Więc innej szukam drogi. Może pieśń upiększy
Rym, jaki nam gęślarze zostawili dzicy —
Pierwotni — ów pieśniarz najprostszy, największy,
Wojciech święty, co śpiewa o Bogarodzicy.
Albo śpiewać, jak niegdyś Imćpan Rey z Nagłowic,
Co nie znał rymów złotych, ani dźwięcznych cytar,
Lecz duszę miał czującą i wzrok jak ostrowidz
I jędrnych słów na gładkość cukrzoną nie wytarł.
Lub dziwną stworzyć mowę: ni to wiersz ni proza —
I aby w tajemniczych prozy tej orkiestrach
Płynęła przeczuciowa mgieł mistycznych groza
I drgał podziw i zapał, śmiech i płacz i przestrach.
Biały wiersz — cud nad cudy — lampa czarodziejska,
Heksametr, z ilionowych wzięty wykopalisk,
Jak pantera, wygięta w skok — strofa alcejska:
Oto, co dziś mnie nęci, niby wzrok odalisk.

## VII.

A ty, wieszczu, nim przyjdzie dni twoich odwieczerz,
W górę płyń, jako czujny ideału żniwiarz —
I waż, czyli wyborcze słowa swe wyrzeczesz —
I czy nakazem bożym wolę swą ożywiasz.
A kiedy się zabłąkasz śród życiowych bezdróż —
Pogardę miej dla chwały, dla śmiechów i zniewag —
I z żadną tu na dole nicością się nie zdruż —
Spokojny, jako z siebie świat rodzący śpiewak.

*Antoni Lange.*

## Z HARMONII JESIENNYCH.

Południe senne pól zieloność zwiędłą
W srebrzyste pasma oprzędło —
Milczą pożółkłych drzew i wzgórków szczyty
I ponad wód zwierciadła
Głusza przypadła.
Tak, że jedynie wietrzyk w gąszczach skryty
Ilekroć zbudzi w nich dreszcze,
Uschła gałązka szeleszcze,
Lub liść bladawy
Szemrze wśród trawy,
I nigdzie chmurki, plamki, ni obłoka
Tylko, jak zajrzysz z wysoka,
Niebo dokoła.
Nie już błękitne, jak jest wzrok anioła,
Lecz jak go miewa,
W dal patrząc, dziewa:
Przyćmiony pyłami złota.
I spokój wszędzie. Bowiem zwolna cała
Ziemska robota
Na to ustała,
By w znoju czoła setne dawszy plony,
Obchodzić mogła Pański Rok skończony.

Chodźmy na pola. Smutku tam jest wiele,
Lecz i pociechy też słodkiéj...
O! mój milczący aniele,
Patrz, jak te blade stokrotki,
Dni ostatecznych towarzysze wierni,
Wśród zżętych dumają ściern...
Każda z nich, zda się, wspomina
Ubiegłe tylko co lato,

I choć już zima
Szronem się zżyma,
Śni sobie wiosnę skrzydlatą...
Nieprawdaż, moja jedyna,
Że jest uroczym i ten smutek cichy,
I ta pociecha,
Co poprzez łzy się uśmiecha,
Jak wonne kwiatów kielichy,
Zemdlone skwarem, odświeżone burzą,
Które, gdy słońce głowę do snu skłania,
Iskrzące rosą ślą mu pożegnania.

O! nim się nieba zachmurzą,
Powiedz mi, duszo ty tkliwa —
Jakże? więc tylko kto utracił dużo,
Spokojnym bywa?
Patrzę wokoło — tak — o! jakże mało
Jesieni biednej zostało!
W szumiących ścierniach bladych kwiatów nieco,
U drzew ostatki zieleni...
Nieba! toż ona
Samotnie kona —
Bo już i ptacy, indziej gdzieś zwabieni,
Za słońca śladem już lecą.

A nad zdeptaną tą chwałą,
Jakże to nieubłaganie
Dokoła wskroś rozedniało
Niebios błyskanie!

Wiatr tak uciesznie chmurki precz przepędza,
Dzień tak się wdzięczy, jak już i nie było!
O! wszak jest przykrą ta promienna nędza
I ten wesoły uśmiech nad mogiłą?

Chodźmy stąd — chodźmy. — Smutno tu. Pierś wzdęta
Łkaniem nabiera, łzami brzmieją oczy...
O! póki dusza uroczy
Swój raj pamięta,
Lepiej mieć jeszcze choćby bardzo mało,
Niżeli przeżyć wszystko, co się miało.
Bo gdy nadejdzie martwe święto zimy,
W którem ni gromów czekać, ani tęczy,
To któż zaręczy,
Że po niem wiosnę ujrzymy?

*Felicyan Faleński.*

---

## NA ŚWITEZI.

I.

W dal toczy Świteź — w jasną dal
Zwierciadło swe olbrzymie.
U świętych fal jej — świętych fal
Uklęknij, o olbrzymie!

Srebrzyste, czyste, płynne szkło
Roztacza się okręgiem,
I z cichym szumem fale mkną
A mkną pod widnokręgiem.

Zielony bór — odwieczny bór,
Szumiących drzew szeregi
Świętymi Boga żywy mur
Jeziora wieńczy brzegi.

A fala myje brzegu stok
I drzewom pieśni śpiewa,
I nęci — nęci w głąb a w mrok,
Aż w głąb się chylą drzewa.

Lustrzana — gładka płynie toń,
Lecz marszczą jej równiny,
W zielony włos jej zdobiąc skroń,
Wysokie, giętkie trzciny.

I toczy Świteź w jasną dal
Zwierciadło swe olbrzymie.
U świętych fal jej — świętych fal
Uklęknij, o pielgrzymie!

Bądź pozdrowioną świętych wód,
Srebrzystych wód równino!
Skąd boskich pieśni rozgrzmiał cud,
Co w nieśmiertelność płyną.

Z fal, kołysanych w śpiewny ruch,
Pieśń idzie tajemnicza:
W powietrzu święty płynie duch,
Duch święty Mickiewicza!

II.

Wielmożny duchu pieśni, coś przenikał wzrokiem
Naturę, ty naturą byłeś sam: obłokiem —
I powietrzem — i orłów pogwarem skrzydlatych
I byłeś szumem starych dębów rosochatych.

I byłeś szmerem złotych pól — i puszcz łoskotem,
Rykiem burz — wschodów słońca purpurowem złotem,
I byłeś siołem, puszczą, słońcem, niebem, wodą,
I księga twa nie księgą już, ale przyrodą!

Tyś nauczył nas mowy tajemniczej borów
I pieśni głębin jezior i nieba przestworów;
Tyś błądzącym za palmą pustyń bezowocnych
Objawił nam ukryte cuda puszcz północnych.

Echo wiosny jedynej na ten wiek ponury,
Wcielenie wszechplemienia soków i natury,
Ojcze nasz — w każdym kwiatów malowanych puchu
Obecny — chwała tobie, o wielmożny duchu!

Wielmożny duchu pieśni, chwała ci wieczysta,
Bo tworzysz z tychże źródeł, z których Bóg korzysta,
A kto się w twojej księgi pogrąży krynice,
Temu nikną natury i sztuki granice.

O sztukmistrzu, tem wyższy nad inne sztukmistrze,
Żeś sztukę zlał z naturą w braterstwo najczystsze,
Żeś razem był natury piersią i narzędziem:
My, pieśniarze, cię wiecznie wielbić tutaj będziem!

### III.

Ostatnie już różowe na niebiosach pręgi
Za sine schodzą bory. Szarzeją błękity,
Pociemniały Świtezi zwierciadlane płyty,
Rwąc się w dal, w niedojrzane czarne widnokręgi.

Zlewają się niebieskie i wodne potęgi
W jeden ogrom półsenny. Bujne trzcin wykwity
Zasypiają. Zasypia brzeg falami bity,
Chylą się ku głębinom drzew nadbrzeżnych kręgi.

Cisza. Czasami kulik ozwie się od trzciny.
Czasem w boru zahuczy krakanie jastrzębia
Lub rybka falą pluśnie. I znów śród równiny

Cisza. W srebrne opary otulona głębia
Zasypia — nieskończona — nieskalanie czysta.
A wokół cisza wielka — święta — uroczysta.

IV.

Szara noc na niebiosach. Gwiazd korowód złoty
W złotych skrach się odbija pośród głębi szklanej
I tańczy jakieś dziwne, fantastyczne tany,
Jakby głąb' szalonymi wiła się zawroty.

Czarna noc. Wieńce trzciny tworzą wielkie sploty,
Gęste, jakby tajemnic nieprzebyte ściany,
Że strach kierować łódką w ten świat niezbadany,
Gdzie, zda się, wieje otchłań grobowej tęsknoty.

Pierzcha czarnych obłoków ponura zasłona;
Błękitnieją szafiry — blask się ich stokroci —
Rozkołysane ciszą tańczą fal wrzeciona.

Błękitna noc nadchodzi — gwiazdy świecą złociej,
A rozwidnione światłem — traw zaklętych wieńce
Zdają się jako duchy w ludowej piosence.

V.

Hej, wiosła w dłonie!
Na srebrne tonie
Skierujmy łódź!
W ciszy wieczora
Łódź płynie skora...
Na głąb jeziora
Ster łódki zwróć.

Płyń, łódko chyża!
Bieg twój nas zbliża
Ku ciszy — w dal —

Ku głębi onej
Ku nieskończonej,
Gdzie dzwonią dzwony,
   Tajniki fal.

Noc bez miesiąca,
Gwiazdami lśniąca —
   W Świtezi drży
Na wód krysztale
Marszczą się fale...
Niebios opale
   Wiją się mgły!

VI.

Na samym środku fal, gdzie niezgłębiona toń,
Stanęła nasza łódź i wielkiej słucha ciszy —
I wstał towarzysz mój i, w mokrą patrząc błoń,
Okrzyknął w cały głos, czy też go kto usłyszy:
            Hej, hej!

Popłynął jego głos — po nocy w ciemny bór —
I odbił się od drzew, od sosen, iw i buków —
I wrócił ku nam znów, w stokrotny wrócił wtór —
Stokrotnym gromem ech i gwarów i rozhuków.
            Hej, hej!

Z płużyńskich ciemnych puszcz, z Świtezi srebrnych fal
Zagrzmiała niegdyś pieśń, skrą bożą rozpalona —
I, grzmiąc, płynęła w świat — na siół i borów dal —
Stokrotnym gwarem ech brzmiąc w piersiach miliona.
            Hej, hej!

Z Świtezi srebrnych fal, z płużyńskich ciemnych puszcz
Stokrotnem echem gra i żywi pierś miliona —

Potężnej piersi grom, płomienny Boga kuszcz,
Nieugaszony Znicz na przyszłych dni plemiona.
Hej, hej!

VII.

Patrzę w głębię niezmierzoną,
W niezmierzoną głębię wód;
Dziwną żądzą wzbiera łono:
Jeden tylko — jeden rzut!

Jeden rzut w ten bezimienny
Wir! Potężny jeden skok!
Oczarował mię bezdenny,
Magnetyczny głębi wzrok.

Ach — tam grób — tam zapomnienie —
Wiekuisty pokój tam —
Nieśmiertelne tam promienie
Od niebieskich świecą bram.

Ale czemuż tylko roję,
Czemu dłonią trzymam łódź?...
Życie śpiewa pieśni swoje —
Kochaj — pragnij — marz i nuć.

Ach! są w życiu złote blaski,
Są nadzieje cudnych snów:
Może wejdzie zorza łaski,
Może szczęście błyśnie znów.

Po tej fali — ciemnej fali —
Niech przelecę niby ptak.
Płyńmy dalej — płyńmy dalej
W niewidomy życia szlak!

VIII.

Ogniem — zda się — czerwonym gore cała puszcza.
Szczyt boru purpurowym płaszczem się otula,
Niebo płonie jak pożar. Aż ognista kula
Weszła w bór. Rakietę złotych strzał wypuszcza.

I Świteź purpurową falą się rozpluszcza,
Rzekłbyś — ogień po wodzie jak po stepie hula,
Srebrne mgły jak płonąca zdają się koszula —
I drży serce każdego nadbrzeżnego kuszcza.

W wyżyny płynie zorza. Łuna krwi zagasa,
Płomienno-złotym kręgiem zajaśniało słońce
I wszystkie rzeczy złoci jego złota krasa.

A oto wielką tarczą w głębinach się pali
Drugie słońce — i w każdym kędziorze wód fali
Rozpryskuje się w drobnych złotych słońc tysiące.

IX.

Jak bramin w święte fale Gangesu,
Rzucam się w fale Świtezi:
Duch mój wybiega z własnego kresu,
Niech go głąb użelezi.

Całem swem ciałem pruję wód tonie,
Wsiąkam ich treść w swoje żyły;
Siły nadziemskie czuję w swem łonie,
Nieznane czuję w niem siły.

Jak ryba w morzu toczę się kołem,
Toń mię w objęcia pochwyca,
Zlewam się w jedno z płynnym żywiołem,
Znika mi własna granica.

Fala całuje — fala mię pieści —
Pierś mi swem tchnieniem odświeża:
Fala mi śpiewa — fala szeleści —
W bezmiary ducha rozszerza.

Płynę na głębie przez fale srebrne —
Jakby z nieziemskiej kąpieli:
Świteź ma czary jakieś leczebne,
Ciało i ducha weseli.

Świteź ma czary wody letejskiej:
Z jej głębi dzwonią ci dzwony
Trosk zapomnienia hymn czarodziejski,
Aż drga twój duch odrodzony.

X.

— A powiedzcie-ż, rybaku mój młody,
Co tak znacie jeziora głębiny,
Czy też jeszcze są w falach tej wody
Świtezianki — rusałki — ondyny?

— Nie, panoczku! Już dziś świtezianki
Nie ukażą się ludziom na oczy,
Jeno widać zaklętych ziół wianki,
Jeno skrzydła tej ważki przezroczéj.

— Ale dawniej bywały rusałki?
— Oj, bywały! jak starzy nam prawią:
Czy zarośla gdzie, wody czy skałki,
Niby wszędy boginki się jawią.

— Teraz niema? — A niema, uciekły.
— Gdzież się skryły? — A kto ich tam znaje?
Musi ludzkie je grzechy urzekły,
Więc się w lepsze wyniosły gdzieś kraje.

— Dlaczegóż uciekły za morze?
— Że to ludzie niedobrzy się stali,
Więc im smutno było w jeziorze
I na innej tańcują dziś fali.

Bo rusałka się tylko pokaże
Takim ludziom, co w sercu są czyści,
Mają oczy spokojne i twarze,
Co są dobrzy i bez nienawiści...

Prawdę mówił ów rybak prostaczy:
Od złych oczów uchodzi ondyna,
Ach, a bóstwo ten tylko zobaczy,
Co ma duszę jak leśna ptaszyna.

## NOC POD WYSOKĄ.

Wieczór się zbliżał, a nad naszą głową
Wciąż wyrastały prostopadłe ściany,
I wciąż się zdawał oddalać na nowo
Wierzchołek w słońca promieniach kąpany:
Więc trzeba było myśleć o noclegu,
Zanim nas zdradne ciemności zaskoczą
Na skał urwanych przepaścistym brzegu.

Właśnie się naszym ukazała oczom,
Wciśnięta między dwa ramiona góry,
Kotlina, pełna granitowych łomów,
Które zdaleka sterczały, jak mury
Zdobytej twierdzy, lub zburzonych domów.
Była to naga, posępna kotlina,

Cieniem dwóch groźnych wierzchołka piramid
Pokryta. — W głębi toń jeziorka sina
I mchu na głazach zielony aksamit...
Zresztą ni trawki, ni krzewu — jedynie
Woda, i głazy, i mchy w rozpadlinie.

Tu, na jeziora zeszliśmy wybrzeże,
Między zwalone bryły granitowe,
By obrać sobie ciche na noc leże,
I mech jedwabny podesłać pod głowę —
W miejscu, gdzie wielkie głazy pochylone
Od nocnych wichrów dawały osłonę.
Na niebie jeszcze dzień panował biały,
A słońce, góry zasłonięte grzbietem,
Barwiło w szczytach wyzębione skały
Złotem, purpurą albo fioletem...
Czasu dość było do zmierzchu. Usiadłem
Tuż nad zmrożonem jeziorka zwierciadłem,
Co, z brzegów w śniegi oprawne i lody,
W dali marszczyło czerniejące wody.
Patrzałem: jako w pracy nieustannej
Fala srebrzystą powłokę podmywa;
Aż tafla lodu, dźwięk wydając szklanny,
Pęka i dalej z szelestem odpływa;
Patrzałem, jako na posępnej toni
Kra oderwana krąży wkoło brzegu,
Jak jedna drugą potrąca i goni,
Na trud próżnego skazana obiegu...
I żałowałem, że się próżno kręci,
Przypominając sobie ludzką dolę,
W której, ach, nieraz wszystkie dobre chęci
W zaklętem muszą obracać się kole...
Tymczasem dołem gęstsze cienie rosły,
Bory zsiniały pod mgieł mleczną szatą,
I szczyt nad głową zagasnął wyniosły,

Pobladł i barwę przyjął popielatą.
Wraz z znikającą jasnością promienną
Ostatnie życia uchodziły ślady...
Mrok zwiększył martwość pustkowia kamienną,
I obszar zastygł, posępny i blady,
I swym straszliwym przytłoczył ogromem
Myśli zbłąkane w państwie nieruchomem.
Geniusz tych wyżyn, surowy i groźny,
Powstał z przepaści, mierząc mnie oczyma,
Swego oddechu słał mi powiew mroźny
I naprzód rękę wyciągnął olbrzyma,
Rozpościerając dokoła nade mną
Milczenie pustyń, nieskończoność ciemną,
I tę samotność zamarłego świata,
Co dziwnym smutkiem ludzką pierś przygniata;
Samotność, w której milczącym ogromie
Człowiek swą słabość poznaje widomie,
I chce się cofać przed nieznaną mocą,
Przed rozesłaną na przepaściach nocą,
Przed skrytych potęg gwałtownym objawem,
Przed niezbłaganem, bezlitosnem prawem,
Przed rozpasanych żywiołów odmętem,
Przed nieświadomem... tajnem... nieujętem...

Uczuciem takiej grozy pokonany,
Między zaciszne powróciłem ściany,
Gdzie towarzysze legli już strudzeni
Na mchu, pod dachem gościnnych kamieni;
I sam złożyłem głowę na posłaniu
W półsennem teraz pogrążon dumaniu.

Noc gęste mroki zapuściła wszędzie;
Nawet błękity niebios przezroczyste,
Oprawne dołem w czarnych skał krawędzie,
Stały się więcej ciemne, przepaściste,

I tylko ową błękitną ciemnotę
Gdzieniegdzie gwiazdy przetykały złote.
Ciemność rzuciła pomost przez otchłanie
I wyrównała wnętrza gór podarte,
Zostało jedno, wielkie rusztowanie,
Zbitych granitów grzbiety rozpostarte,
Ponad którymi dwie wierzchołka wieże,
Dwa wyniesione ostrokręgi cieniu,
Chwiać się zdawały w niebieskim eterze
Przy migotliwym drżących gwiazd promieniu.
Cisza — a jednak w tej pozornej ciszy
Wsłuchane ucho ciągłe wrzenie słyszy,
Szmer nieustanny, na który się składa
Wszystko, co głosem z życia się spowiada:
I woda, która gdzieś w szczelinie syczy,
I fal powietrza szelest tajemniczy,
I pękających głazów łoskot głuchy,
I wszystkie świata nawpółsenne ruchy.
Czasami skała, u szczytu wisząca,
Stoczy się na dół i z przeciągłym grzmotem
O najeżone ściany się roztrąca,
Huk długo echa powtarzają potem . . .
Aż rozsypany głaz na drobne części
W wąwozie gradem kamieni zachrzęści.

I znowu wszystko wraca do spokoju;
Tylko, jak dawniej, szepcą z sobą góry
Podmuchem wiatru i szemraniem zdroju;
I znowu płynie cicha pieśń natury
W gwiaździste sfery, w przestrzeń nieskończoną.
Gdzie wszystkie pieśni zdążają i toną,
I tam się wiąże, i zlewa i brata
Z całą harmonią zaziemskiego świata.

W ślad za tą pieśnią myśli moje biegły,
Wyswobodzone z tłoczącej je grozy.

Wolny, choć prawom powszechnym podległy,
Duch mój wstępował na gwiaździste wozy
I tracił z oczu ludzkich istnień chwile
I wydeptany ślad na ziemskiej bryle,
I zapominał o swojej obroży,
I o boleści, co go we śnie trwoży.
On się zanurzył w źródle wiecznie żywem,
Poruszającem wielkie koło bytu;
Uczuł się jednem łańcucha ogniwem
Rozciągniętego przez otchłań błękitu;
On znalazł wspólne ognisko żywotów
I związek z całym ogromem stworzenia,
Z wieczystym duchem, co mu podać gotów
Rękę z ciemności, albo z gwiazd płomienia:
Więc w rozpostartej na przepaściach nocy
Już opuszczenia nie czuł i niemocy,
I mógł się poddać, jako drobny atom,
Tej twórczej myśli, co przewodzi światom,
I z nieodmiennym zgodzić się wyrokiem,
I odpoczywać, jak pod matki okiem.

*El...y (Adam Asnyk).*

## KARPACKI DUDARZ.

Karpacki dudarz, co po wiosce chadza,
Gdzie on się z swoją k o z ą nie prowadza;
»Hej! potańcujcie« i sam nogą tupa,
Aż mu się cała odśmieje chałupa.
»Hej! albo zagram« i już dudkę trzyma,
Koza pod pachą wnet mu się wydyma,

Dwoma rożkami do muzyki stawa,
I przyrodzony wdzięczny bek wydawa.
Tymczasem dudki przez cieniuchną szyjkę
Tną krakowiaka, albo kołomyjkę,
A dudarz patrzy, jak skaczą poczciwi;
Puści... i kozy beczeniu się dziwi!
Albo rozdąwszy nozdrza na wiatr świeży,
Łowi szum wichru, co po górach bieży,
I mgły w dolinach ciągnące rozgania,
Po szarych grzbietach Mnicha i Krywania.

Gdzie jaki szałas lub chałupa bacy,
Już on tam pewno nie poskąpi pracy:
Choćby najwyżej zajdzie i zabeczy,
Jako jedyny do dudarskiej rzeczy,
Zawsze wesoły, witany z weselem,
Dziewcząt i chłopców zwie się przyjacielem;
Radby pożenił wszystkie nie żonate.
Toż kiedy z kozą przychodzi pod chatę,
To jakby mówił wiadomymi znaki:
»Hej! wy chłopaki, dalibóg chłopaki!«

Czasem drugiego miewa do pomocy,
Z którym zadyma w dudy z całej mocy,
I od gospody chodząc do gospody,
Choć postarzeje, zawsze bywa młody,
Jak jego lasów świerkowe korony,
Których pnie mchowe, wierzchołek zielony.

Chaty nie miewa — gdzie go noc zaskoczy
Tam i zasypia; byle zmrużył oczy,
Sen go ogarnia cichy i swobodny:
Cygany śnią się, jeśli zaśnie głodny.
A jak nie głodny, to góry, wąwozy,
I to najmilsze mu beczenie kozy.

Czasem tak bywa, bo i to się zdarza,
Że we śnie zmora utrapi dudarza:
Wtedy śnią mu się doliny bez końca
I smutne chaty gdzieś na zachód słońca,
I karczma smutna — nieznajomi ludzie,
Którzy się jego urągają dudzie.

Co on już widział, co jeszcze zobaczy,
Jeśli pożyje — Bóg sam wiedzieć raczy:
Co najpiękniejsze widział Morskie Oko,
Więc głową kręci, że to tam głęboko...
Widział Łomnicę i Mnicha z kapturem,
Co na deszcz dymem okrywa się burem,
A i Pięć Stawów i wodę Siklawą
Zna doskonale, jak swoją dłoń prawą.

A nad brzegami strumienistej Białki,
Gdzie zioła z puchów otrząsają pałki,
Siadał, bywało, w rozmaitej trawie,
Śród much, motyli, że go nie znać prawie,
I patrzał, patrzał, i powietrze dychał,
I nic nie myślał, tylko się uśmiéchał.
A deszcze po nim szły i wietrzyk suchy
Który otrząsa z żółtych kwiatów puchy,
I tęcze po nim szły i słońce skwarne,
Przez twarz i piersi ogorzałe, czarne...

Gdzie on nie biegał, na jakie polany!
Ani tam górskie zachodzą barany,
Choć to, co prawda, wielce zwierz ciekawy,
Na świeże listki nie koszonej trawy.
A potem z góry z krzykiem i hałasem
Zbiegał pod ojca odpocząć szałasem,
Gdzie tam odpocząć, ani o tem wiedział,
Gdy przy muzyce zasłuchany siedział.

Jako więc drozdy na zielonym prątku,
Gdy stary śpiewa, siedzą w jednym rządku,
Śmiał się, że taka przecudna muzyka,
I bał się duchów Mnicha i Skarbnika,
I bał się złego, co skały obala
I wiedzie w obłęd biednego górala!
I tak rósł sobie, jak kozłowie dzicy,
Na chlebie z owsa i sytnej żętycy;
Z baranem sypiał dla ciepłego runa,
I też jagniątkom służył za piastuna.
Po śmierci ojca objął dudy w spadku,
I sam dudarzem został na ostatku.

Gdy po raz pierwszy swego zażył daru,
Owce się zbiegły z całego obszaru,
I kozioł przyszedł, co chodził za trzodą,
I długo patrzał i potrząsał brodą.
Od tego czasu z dudą ulubioną
Chodzi po wirchach, jakby z swoją żoną.
Jakoż widocznie Pan Bóg go uchował,
Że lada komu serca nie darował;
Głosy po górach wydobywał rzewne,
Jakby wyzywał zaklętą królewnę.
Gra też piosenkę w okolicy swojéj,
Którą w Krakowie powtarzać się boi,
A gdy jej pauper przez psotę zażąda,
Na głos się cały śmieje i ogląda,
Jakby rodzinnej nie rozumiał mowy,
I tylko wciąga wiatr góralski zdrowy,
Co szare, brudne chmurzyska rozgania
Po skalnych grzbietach Mnicha i Krywana.

*Teofil Lenartowicz.*

# W DOMU.

Niech tam ktoś sobie, silnych łaknąc wrażeń,
Goni za szczęściem po gościńcach świata,
Niech pastwą losu i igrzyskiem zdarzeń,
I wiedzieć nie chce, co to ojców chata.
Ja sercu miłe tuż przy sobie kupię,
I unikając huku, wrzawy, gromu,
Jak ślimak w własnej kocham się skorupie,
Dobrze mi wszędzie, lecz najlepiej w domu.

Niech tam ktoś sobie, jeśli mu z tem miło,
Garnie zaszczyty, pieczęcie, buławy,
Niech rozplątuje nić dziejów zawiłą,
Niechaj rozsądza wszechludzkości sprawy.
Spokój nad wszelkie ceniąc przywileje,
Rachunku życia nie zdając nikomu,
Ja nie chcę nosa w cudze tkać koleje,
Dobrze mi wszędzie, lecz najlepiej w domu.

Niech tam ktoś obce zamieszkując strony,
Zamorskich stolic roztrębuje chwałę,
Niech na niemieckich bułkach wypieszczony,
»Chleb polski — mówi — kole w ząbki białe«.
Ja w moich gustach niewybredny, cichy,
Choćbyście mieli szydzić po kryjomu,
Wolę swą biedę, niż cudze przepychy,
Dobrze mi wszędzie, lecz najlepiej w domu.

Niech tam ktoś wreszcie, jest takich niemało,
Hołdując szczęściu bocianim zwyczajem,
Kiedy się u nas na mrozy zebrało,
Cieplejszych niebios szuka poza krajem.

Ja — niech się zima i na wiek rozgości,
Choćbym ostatnim miał być u wyłomu,
Gdzie mię Bóg stworzył, tam położę kości:
Dobrze mi wszędzie, lecz najlepiej w domu.

*I. S. Chamiec.*

---

## K O S.

O! jak dzwoni, o! jak śwista
W klatce kos...
Co za nuta pełna, czysta!
Co za głos!
W słuchających czułość wzbiera...
Nawet z dołu stary sknera
Wyjrzał oknem i zadziera
W górę nos.

Wśród zaułka, co się łamie
Tak i siak,
I gdzie wisi w każdej bramie
Szewcki znak,
Pomocnikiem biednych ludzi,
Dzwonkiem, który śpiących budzi,
I minstrelem, co ich łudzi,
Jest ten ptak.

Otrząsł ze snu, otrząsł z rosy
Resztę piór —
Poszły głosy pod niebiosy
Aż do chmur.

»Kiedy zorza wstaje ranna«...
Dźwięki sypią się, jak manna —
A dyszkantem stara panna
Ciągnie wtór.

Jeszcze senność morzy szewca,
Co się spił,
Już skrzydlaty gwiżdże piewca
Z całych sił...
Trzeba wstawać, choć chęć słaba —
Zwlekła się też już i baba,
Stęka, skrzeczy, niby żaba.
»Gdzieś to był?«...

Wyjrzał sknera, oczy mruży
Zaszłe mgłą
I do córki, pięknej Róży,
Rzekł: »Oho!«...
A dziewczyna główkę kłoni,
Bo od piosnki, co wciąż dzwoni
O »błyszącej kwieciem błoni«,
Echa drżą.

Już gotowy w czarnej ręce
Błyska but;
Szewcy szyją przy piosence
Jakby z nut.
Echa pieśnią znów zadrżały
O pielgrzymie pełnym chwały,
Co był dzielny, co był śmiały,
W pole wiódł.

Rzadko słońce w mrok zaułka
Ciska grot,

Rzadko wróbel lub jaskółka
Zwrócą lot;
Kos tu tylko budzi życie
O południu i o świcie,
Gdy pogoda na błękicie
I wśród słot.

Dziwna kryje się potęga
W śpiewie tym;
Słabiej nieraz działa księga
Albo rym . . .
Do modlitwy on nagania,
Rzeźkim gońcem jest działania —
I pobudka do kochania
Dźwięczy w nim.

Gdy zamilknie śpiewak kiedy,
Boże broń,
Szewców porwie otchłań biedy,
Wódki toń . . .
Sknera prześpi dobę całą,
Panna weźmie ślub z kabałą —
Nawet dziecię osowiałą
Zwiesi skroń . . .

*Wiktor Gomulicki.*

## GRÓB AGAMEMNONA.
(WYJĄTEK).

Niech fantastycznie lutnia nastrojona
Wtóruje myśli posępnej i ciemnej,
Bom oto wstąpił w grób Agamemnona,

I siedzę cichy w kopule podziemnej,
Co krwią Atrydów zwalana okrutną...
Serce zasnęło, lecz śni. Jak mi smutno!

O jak daleko brzmi ta harfa złota,
Której mi tylko echo wieczne słychać!
Druidyczna to z głazów wielkich grota,
Gdzie wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać
I ma Elektry głos; ta bieli płótno
I odzywa się z laurów: jak mi smutno!

Tu po kamieniach z pracowną Arachną
Kłóci się wietrzyk i rwie jej przędziwo,
Tu cząbry smutne gór spalonych pachną;
Tu wiatr, obiegłszy górę ruin siwą,
Napędza nasion kwiatów, a te puchy
Chodzą i w grobie latają, jak duchy.

Tu świerszcze polne pomiędzy kamienie,
Przed nadgrobowem pochowane słońcem,
Jakby mi chciały nakazać milczenie,
Sykają. Strasznym jest rapsodu końcem
Owo sykanie, co się w grobach słyszy,
Jest objawieniem, hymnem, pieśnią ciszy.

O, cichy jestem, jak wy, o Atrydzi!
Których popioły śpią pod świerszczów strażą,
Ani mnie teraz moja małość wstydzi,
Ani się myśli tak jak orły ważą,
Głęboko jestem pokorny i cichy,
Tu, w tym grobowcu sławy, zbrodni, pychy.

Nad drzwiami grobu, na granitu zrębie
Wyrasta dąbek w trójkącie z kamieni;
Posadziły go wróble, czy gołębie,

I listkami się czarnymi zieleni,
I słońca w ciemny grobowiec nie puszcza;
Zerwałem jeden liść z czarnego kuszcza.

Nie bronił mi go żaden duch ni mara,
Ani w gałązkach jęknęło widziadło,
Tylko się słońcu stała większa szpara
I wbiegło złote i do nóg mi padło.
Zrazu myślałem, że ten, co się wdziera,
Blask była struna to z harfy Homera.

I wyciągnąłem rękę na ciemności,
By je ułowić i napiąć, i drżącą
Przymusić do łez i śpiewu i złości
Na wielkiem niczem grobów i milczącą
Garstką popiołów! ale w mojem ręku
Ta struna drgnęła, i pękła bez jęku.

Tak więc to los mój na grobowcach siadać
I szukać smutków, błahych, wiotkich, kruchych,
To los mój senne królestwa posiadać,
Nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych
Albo umarłych... i tak pełny wstrętu,
Na koń! chcę słońca, wichru i tententu.

*Juliusz Słowacki.*

## NAD WODĄ WIELKĄ.

Nad wodą wielką i czystą
Stały rzędami opoki;

I woda tonią przejrzystą
Odbiła twarze ich czarne.

Nad wodą wielką i czystą
Przebiegły czarne obłoki;
I woda tonią przejrzystą
Odbiła kształty ich marne.

Nad wodą wielką i czystą
Błysnęło wzdłuż i grom ryknął;
I woda tonią przejrzystą
Odbiła światło, głos zniknął,
A woda, jak dawniej czysta,
Stoi wielka i przejrzysta.

Tę wodę widzę dokoła
I wszystko wiernie odbijam:
I dumne opoki czoła
I błyskawice pomijam.

Skałom stać trzeba i grozić,
Obłokom deszcze przewozić,
Błyskawicom grzmieć i ginąć:
Mnie płynąć, płynąć i płynąć!...

*Adam Mickiewicz.*

---

## DWUGŁOS.

— Ocal mi, Panie, męża!
— Ocal mi, Panie, syna!

— Niech tamtych śmierć pościna,
Mój zawsze niech zwycięża!
— Naszym tryumfy! im skon!

Bóg takie modły słyszy
W dnia zgiełkach, w nocnej ciszy,
Od jednej z walczących stron.

— Dziecko mi ocal, Panie!
— Ocal mi męża, brata!
— Niech tamtych śmierć pozmiata,
Mój niechaj żyw zostanie!
— Tamtym niewola — nam tron!

Bóg takie modły słyszy
W dnia zgiełkach, w nocnej ciszy,
Od drugiej z walczących stron.

I oto w chmurach ginie
Dobre oblicze Pana,
Ćma pada nieprzejrzana —
I żaden głos nie płynie
Z ogłuchłych, podniebnych stron...

A na skrwawionej ziemi
Nad temi i tamtemi
Pogrzebny wciąż bije dzwon.

*Wiktor Gomulicki.*

---

## RODZINNEMU MIASTU.

Jest jedno piękne ludowe podanie,
Co treścią swoją do łez mnie porusza:

Lud prosty mniema, że gdy czas nastanie,
W którym już ciało ma opuścić dusza,
Zanim w nadziemskim utonie błękicie,
Powraca jeszcze wstecz przez swoje życie...

I zwolna idzie przebytym już śladem
Żegnać to wszystko, co jej drogiem było,
Raz jeszcze ujrzeć w świetle grobu bladem
Miejsca, gdzie niegdyś żywiej serce biło!
I tak dochodzi aż w dziecinne lata
I nad kolebką staje znów skrzydlata;

Jako wędrowiec smutny i zmęczony
Kąpie się znowu w jasnych wspomnień zdroju
I błogosławi swe rodzinne strony —
I wtedy z ziemi odchodzi w pokoju,
Niosąc na skrzydłach w krainę wieczności
Najszlachetniejsze marzenia młodości.

To wszystko prawdą mnie się dziś wydaje —
Bo choć sam jeszcze do żywych się liczę,
Za każdym krokiem, co mi pozostaje,
W tył poza siebie odwracam oblicze
I moja dusza wyrywa się smutna
Tam, gdzie młodością była tak rozrzutna.

I często cichym, gwiaździstym wieczorem,
Gdy swoim blaskiem księżyc do mnie wchodzi,
Gdy anioł ciszy na mem sercu chorem
Kładzie swe dłonie i boleść łagodzi, —
Czuję jakobym był już tylko cieniem,
Ulatującym z księżyca promieniem.

Wtedy, ach, idę po srebrzystej fali
I całą drogę minioną odnawiam;

Pozdrawiam ludzi, co mnie dzieckiem znali,
Gaje i łąki i pola pozdrawiam,
I zatrzymuję się przed każdą miedzą,
Gdzie złote mary lat dziecinnych siedzą.

Droga mnie wiedzie do starego grodu,
Otoczonego ramionami Prosny:
Tam, wśród alei kasztanowych chłodu,
Czerpałem tchnienie pierwszej życia wiosny.
Co w cudowności szatę się obleka,
Jak sen zstępuje i jak sen ucieka.

Dziś wywołane pamięcią promienie
Złocą mi pasma zielonych wybrzeży,
I znów anielskie śle mi pozdrowienie,
Jak niegdyś rankiem dzwonek farnej wieży,
I całe miasto w oczach się powiększa
Przez mgłę tęsknoty, co wszystko upiększa.

Jak tam spokojnie płynie ludzkie życie,
Mierzone dźwiękiem słodko brzmiących godzin!
Jak wody Prosny w łagodnem korycie,
Dnie upływają w kółku cichych rodzin,
I z domowego ogniska blask strzela,
Który przechodnia oczy rozwesela.

Ach! z tem ogniskiem dusza moja zrosła
I brała z niego macierzyńskie ciepło,
Zanim daleka fala mnie uniosła
Na brzeg, co dłonią pochwyciłem skrzepłą:
Więc gdy te domy i serca obaczę,
Jak dziecko ręce wyciągam i płaczę.

Bo cóż słodszego nad rodzinny związek,
Co wielkiem drzewem jedności wyrasta

I, pełen wiecznie zielonych gałązek,
Ocienia sobą cały obręb miasta?
I nad tę wiarę, która wszystko zbliża
W nawie kościelnej u jednego krzyża?

I cóż świętszego nad domowe cnoty,
Nad tę tradycyę żywą, starożytną?...
Cóż jaśniejszego nad ów szczerozłoty
Wesoły uśmiech, którym twarze kwitną?
I nad tę cichą zacnych serc zażyłość,
Co niesie szczęście, niosąc z sobą miłość!

Tak mi to wszystko cudnie się uśmiecha,
Tak mnie ta przeszłość pociąga zniknioña, —
Że szukam wzrokiem, gdzie jest owa strzecha,
Pod którą spocznę wśród przyjaciół grona...
Ale napróżno... bo w mej idealnej
Podróży błądzę jak cień — niewidzialny.

Zresztą już moi przyjaciele starzy
Po większej części poszli na spoczynek;
Rodzinna ziemia lekkim snem ich darzy...
Więc im dać muszę łzę na upominek!
A z tych, co żyją, mało kto mnie wspomni:
W pamięci ludzkiej nikną nieprzytomni.

Z czasem powoli wszystko się zaciera,
A więc i moje zatarły się ślady...
Stary park na mnie z zdziwieniem spoziera,
Pytając: »Co to za przechodzień blady?«
I nawet mury wahają się szkolne
Rozpoznać we mnie swe dziecko swawolne!

Chociaż przechodzę około okienka,
Pod które dawniej zbliżałem się z drżeniem,

Już w niem nie siedzi figlarna panienka,
Co była pierwszej miłości marzeniem —
I tylko gzymsy opuszczone sterczą
I patrzą na mnie dziwnie i szyderczo.

Tylko sny dawne zlatują się do mnie,
Spływając łukiem różnobarwnej tęczy...
I widzę wszystko, com śnił nieprzytomnie,
Nad nurtem rzeki wsparty na poręczy...
Lecz te marzenia nie wydały plonu:
I jestem smutny — smutny aż do zgonu.

Jednak nie chciałbym teraz mej żałoby
Zawiesić chmurą nad poczciwym grodem;
Chciałbym na boku pozostawić groby,
A zejść się z życiem szlachetnem i młodem,
Co jak bluszcz swoją latorośl przeciska
Do słonecznego światła — przez zwaliska.

Chciałbym z młodzieżą w kielichy uderzyć
I ze starymi pogwarzyć przy winie,
W młodość wskrzeszoną węgrzynem uwierzyć
I nucić piosnkę o psotnej dziewczynie,
A skończyć głośnym, wesołym toastem
Na powitanie z ukochanem miastem.

I chciałbym objąć w uścisku serdecznym
Ziemię i mury, i wody, i ludzi...
Ale czas wracać szlakiem nadpowietrznym,
Bo już jutrzenka słońce ze snu budzi
I księżycowe gasnące promienie
Już mnie wzywają w błękitne przestrzenie.

Tak więc, znikając z jasności porannej,
Dobrych aniołów polecam was pieczy:

Niech promień łaski nieba nieustannej
Poczciwe serca przed złem ubezpieczy,
I Ten, co wszystkich w przyszłość nas posuwa,
Nad starym grodem niech Bóg zawsze czuwa!

*El...y (Adam Asnyk).*

---

## SŁONKO.

Wędrowało sobie słonko,
Uśmiechnięte, jasne, złote:
Szło nad gajem, szło nad łąką —
Napotkało w łzach sierotę.

Ten się żali: — »Tak wesoło
»Świecisz światu, słonko moje;
»Uśmiechami sypiesz w koło
»Gdy ja smutny we łzach stoję.

»Obojętnie patrzysz na to,
»Jak się ludzi serca męczą...
»I nad każdą ludzką stratą
»Promienistą błyskasz tęczą«.

Słonko na to: — »Biedne dziecię!
»I mnie smutno na niebiosach,
»Gdy o waszym myślę świecie
»I o ludzkich ciężkich losach;

»Lecz nie mogę ustać w drodze,
»By nad każdą boleć raną:

»Więc w złocistym blasku chodzę,
»Wypełniając, co kazano.

»Nie pomogą próżne żale...
»Ból swój niebu trza polecić —
»A samemu wciąż wytrwale
»Trzeba naprzód iść... i świecić!«

*El...y (Adam Asnyk).*

V.

## GDY ZIEMIA W ŚNIE ODPOCZYWA...

Gdy ziemia w śnie odpoczywa,
Chodzi Pan Jezus przez łany,
O dusze ludzkie stroskany,
Jak pilny rolnik o żniwa.

Słuchając sumień w noc cichą,
Mleczną od blasku księżyca,
Osmętnia Pan Jezus lica,
Przelękły człowieczą pychą.

Złoczyńcy niezwarte oko
Przeszywa senną gąszcz liści...
Spotkawszy wzrok nienawiści,
Pan Jezus wzdycha głęboko.

Z wiatrem, co trawą szeleści,
Chór klątw napływa co chwila...
Pan Jezus głowę pochyla
Z wyrazem wielkiej boleści.

Krzyk wstrząsnął ciszą i cieniem,
Człowieka morduje człowiek...
Z pod Pana Jezusa powiek
Łzy gorzkie płyną strumieniem.

W posępnym świat sczerniał mroku,
Zawyły wichry ponure —
Pan Jezus uniósł się w górę,
Roztopniał w srebrnym obłoku.

W noc każdą miesięczną, białą,
Schodzi Pan Jezus na ziemię
I słucha, czy ludzkie plemię
Chwast złości z serc swych wyrwało.

I zawsze grzechów otchłanie
Musi porzucać spłakany...
Kiedyż odlecą szatany?
Pan Jezus z nami zostanie?

*Wiktor Gomulicki.*

## DO LIŚCIA SUCHEGO.

Listku, dziś suchy, przypomnij mi strony,
Gdzie nad błękitnem Albana jeziorem
Tłum drzew jesiennych zawieszał się wzorem
Szczęścia zwiędłego uwiędłej korony!
A w głębi cisza, w dole śliczne wody,
Wiecznie te same — niebiańskiej pogody!

Choć na ich brzegach zwiędły kwiaty Boga,
I płaszcz się rozdarł zielonej natury,
I ludzkich zamków zapadły się mury
I liściem zżółkłym pokryła się droga —
One powietrza światło odbijały,
I w nich był znajom — obraz nieba cały!
Tak w głębi serca, tak w przepaściach duszy

Drga jakieś Boga przeczyste odbicie,
Choć wewnątrz pełna mąk, trosk, łez, katuszy,
Choć serce zżółkło — tam w sercu trwa życie,
I niewidzialnym, ukrytym błękitem
Głąb wód i serca związan z niebios szczytem!

*Zygmunt Krasiński.*

---

## Z SONETÓW KRYMSKICH.

### IV. BURZA.

Zdarto żagle, ster prysnął, ryk wód, szum zawiei,
Głosy trwożnej gromady, pomp złowieszcze jęki,
Ostatnie liny majtkom wyrwały się z ręki —
Słońce krwawo zachodzi, z niem reszta nadziei.

Wicher z tryumfem zawył; a na mokre góry,
Wznoszące się piętrami z morskiego odmętu,
Wstąpił geniusz śmierci i szedł do okrętu,
Jak żołnierz szturmujący w połamane mury.

Ci leżą na wpół martwi, ów załamał dłonie,
Ten w objęcia przyjaciół, żegnając się, wpada,
Ci modlą się przed śmiercią, aby śmierć odegnać;

Jeden podróżny siedział w milczeniu na stronie,
I pomyślał: szczęśliwy, kto siły postrada,
Albo modlić się umie, lub ma z kim się żegnać.

### VI. BAKCZYSERAJ.

Jeszcze wielka, już pusta Girajów dziedzina.
Zmiatane czołem baszów ganki i przedsienia,

Sofy, tronu potęgi, miłości schronienia,
Przeskakuje szarańcza, obwija gadzina.

Śród okien różnobarwnych powoju roślina,
Wdzierając się na głuche ściany i sklepienia,
Zajmuje dzieło ludzi w imię przyrodzenia,
I pisze Baltazara głoskami »Ruina«.

W środku sali wycięte z marmuru naczynie:
To fontanna haremu; dotąd stoi cało
I, perłowe łzy sącząc, woła przez pustynie:

Gdzież jesteś, o miłości, potęgo i chwało?
Wy macie trwać na wieki, źródło szybko płynie:
O hańbo! wyście przeszły, a źródło zostało...

## X. BAJDARY.

Wypuszczam na wiatr konia i nie szczędzę razów,
Lasy, doliny, głazy w kolei natłoku
U nóg mych płyną, giną jak fale potoku,
Chcę się odurzyć, upić tym wirem obrazów.

A gdy spieniony rumak nie słucha rozkazów,
Gdy świat kolory traci pod całunem mroku,
Jak w rozbitem zwierciedle, tak w mem spiekłem oku
Snują się mary lasów i dolin i głazów.

Ziemia śpi — mnie snu niema — skaczę w morskie łona
Czarny wydęty bałwan z hukiem na brzeg dąży,
Schylam ku niemu czoło, wyciągam ramiona.

Pęka nad głową fala, chaos mię okrąży:
Czekam, aż myśl, jak łódka wirami kręcona,
Zbłąka się i na chwilę w niepamięć pogrąży.

## XIII. CZATYRDAH.

Drżąc, muślemin całuje stopy twej opoki,
Maszcie krymskiego statku, wielki Czatyrdahu!
O minarecie świata! o gór Padyszachu!
Ty nad skały poziomu uciekłszy w obłoki,

Siedzisz sobie pod bramą niebios, jak wysoki
Gabryel, pilnujący niebieskiego gmachu.
Ciemny las twoim płaszczem, a jańczary strachu —
Twój turban z chmur haftują błyskawic potoki.

Nam, czy słońce dopieka, czyli mgła ocienia,
Czy szarańcza plon zetnie, czy giaur pali domy,
Czatyrdahu! ty zawsze głuchy, nieruchomy,

Między światem i niebem jak drogman stworzenia,
Podesławszy pod nogi ziemię, ludzi, gromy,
Słuchasz tylko, co mówi Bóg do przyrodzenia.

*Adam Mickiewicz.*

---

# WIERZBA NA PUSTKOWIU.

Stoi wierzba płacząca
Nad ciemnem jeziorem,
Drży w promieniach miesiąca,
Kiedy wietrzyk ją trąca
Wieczorem.

Wkoło piaski wilgotne,
Rdzawe mchy i zioła,

Wody mętne i błotne
I pustkowie samotne
Dokoła.

Gdy na niebie zapada
Noc martwa, noc cicha,
Wierzba stoi tak blada.
Jak strwożona Dryada
I wzdycha.

Patrzy smutna na sine
Niebiosa z ołowiu,
Na wód czarną kotlinę
I piaszczystą równinę
W pustkowiu.

Chociaż cisza panuje
Grobowa i głucha,
Coś ją zgrozą przejmuje,
Bo się w niebo wpatruje
I słucha.

Gdy zegary gwiaździste
Już północ zaznaczą,
Lecą duchy nieczyste
Przez obszary piaszczyste
I płaczą.

Przybywają z noclegu
Wybladłe, skrwawione,
I siadają w szeregu
Pod tą wierzbą na brzegu,
Zmęczone.

Wspomnieniami ścigają
Stracony sen życia,
Nad przeszłością wzdychają
I zbutwiałe wstrząsają
Okrycia;

Wspominają swą siłę
I piękność młodzieńczą,
Upojenia tak miłe
I klną swoją mogiłę
I jęczą.

Klną poczęcia godzinę
I matki swej łono,
Swoich ojców, rodzinę
I słoneczną krainę
Straconą.

I złorzeczą ludzkości
I żywym na ziemi
Ich nadziejom, miłości
I wzywają nicości
Nad niemi.

Księżyc twarz swą ukrywa
Za obłok, za ciemny,
Nagle wicher się zrywa,
A z nim władca przybywa
Podziemny.

I gromadzi swe straże
I hufce śmiertelne,
I po ziemi obszarze
Spełniać dzieło im każe
Piekielne.

Każe w strony rodzinne
Powracać i czuwać,
Wkraść się w strzechy gościnne,
Nocą serca niewinne
Zatruwać.

Tłumić lepsze natchnienia,
Siać nędzę i ciemność
I bezmyślność zwątpienia,
Co czyn każdy zamienia
W nikczemność;

By w narodzie, co słynął,
Rycerski, szlachetny,
Śmierci jad się rozwinął,
Aby upadł i zginął
Bezdzietny.

Wysłuchały z rozkoszą
Straszliwe rozkazy
I w powietrze się wznoszą
I po ziemi roznoszą
Zarazy.

Potrząsając skrwawione
Całuny posępne,
Lecą, każdy w swą stronę,
Wzniecać żądze szalone,
Występne.

Lecą z wiatru poświstem,
Stopione w mgłę czarną:
Kazić tchnieniem nieczystem
I siać w polu ojczystem
Złe ziarno.

I znów pustka milcząca —
Noc martwa i cicha —
Stoi wierzba płacząca,
Drży w promieniach miesiąca
I wzdycha.

*El...y (Adam Asnyk).*

## SZARĄ GODZINĄ.

Szara godzina... szary łan...
Świat cały, jak tęsknica...
. . . . . . . . . . . . . . . . . .
Spogląda ku mnie z pustych ścian
Ostatni sprzęt szlachcica.

Jesienny wicher polem dmie,
Lśni szronem podorówka...
. . . . . . . . . . . . . . . . . .
Spogląda smutnie w oczy me
Po ojcach »bekerówka«.

Spogląda ku mnie poprzez mrok
Wylotem w dół alkowy,
Jakby się chciała zerwać z trok
I ruszyć do dąbrowy.

Spogląda smutnie w pustce tej,
By jakaś mara blada,
I byle dzieje dawnych kniej
W pamięci przepowiada.

Żłobionem łożem ruszył wiew...
Zwiedziony zamek dzwoni...
W jesiennej ciszy słyszę śpiew,
Huk strzałów, tętent koni.

Widzę: polanka... strzelców sznur...
Ognisko w kłębach rośnie...
Rozlega echem cały bór,
Powtarza sosna sośnie...

Za borem roli szary łan
I biały dwór prześwieca
. . . . . . . . . . . . . . . . . .
Spogląda ku mnie z pustych ścian
Ostatni sprzęt szlachcica.

*El. (Kazimierz Laskowski).*

---

## DO M....

»Precz z moich oczu!« — posłucham odrazu;
»Precz z mego serca!« — i serce posłucha;
»Precz z mej pamięci!« — posłucham rozkazu,
Lecz pamięć będzie na rozkazy głucha! [1]).

Jak cień tem dłuższy, gdy padnie zdaleka,
Tem szerzej koło żałobne roztoczy,

---

[1]) Poprawkę tę zamiast zwykłego tekstu: »Nie, tego rozkazu moja i twoja pamięć nie posłucha«, wzięto z »Biblioteki Polskiej« 1826 r. (t. II), gdzie ją bezimienny korespondent pomieścił na zasadzie autografu poety.

Tak moja postać, im dalej ucieka,
Tem grubszym kirem twą pamięć pomroczy.

Na każdem miejscu i o każdej dobie,
Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie,
Bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił.

Czy zadumana w samotnej komorze
Do arfy zbliżysz nieumyślną rękę,
Przypomnisz sobie: właśnie o tej porze
Śpiewałam jemu tę samą piosenkę.

Czy grając w szachy, gdy pierwszymi ściegi
Śmiertelna złowi króla twego matnia,
Pomyślisz sobie: tak stały szeregi,
Gdy się skończyła nasza gra ostatnia.

Czy to na balu w chwilach odpoczynku
Siędziesz, nim muzyk tańce zapowiedział,
Obaczysz próżne miejsce przy kominku,
Pomyślisz sobie: on tam ze mną siedział.

Czy książkę weźmiesz, gdzie smutnym wyrokiem
Stargane ujrzysz kochanków nadzieje,
Złożywszy książkę, z westchnieniem głębokiem
Pomyślisz sobie: ach! to nasze dzieje...

A jeśli autor, po zawiłej probie
Parę miłosną naostatek złączył,
Zagasisz świecę i pomyślisz sobie:
Czemu nasz romans tak się nie zakończył?...

Wtem błyskawica nocna zamigoce,
Sucha w ogrodzie zaszeleści grusza

I puszczyk z jękiem w okno załopoce...
Pomyślisz sobie, że to moja dusza.

Tak w każdem miejscu i o każdej dobie,
Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie,
Bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił.

1822.

*Adam Mickiewicz.*

---

## SEN.

Chociaż zmuszona będziesz mnie porzucić,
Jeżeli serca nie zmienisz w kochaniu,
Rzucając nawet, nie chciej mnie zasmucić,
I rozstając się nie mów o rozstaniu!

Przed smutnem jutrem niech jeszcze z wieczora
Ostatnia spłynie na pieszczotach chwilka;
A kiedy przyjdzie rozstania się pora,
Wtenczas trucizny daj mi kropel kilka.

Do ust twych usta przycisnę; powieki
Zamykać nie chcę, gdy mię śmierć zamroczy,
Niechaj rozkosznie usypiam na wieki,
Całując lica, patrząc w twoje oczy.

A po dniach wielu, czy po latach wielu,
Kiedy mi każą mogiłę porzucić,
Wspomnisz o twoim sennym przyjacielu
I zstąpisz z niebios, aby go ocucić.

Znowu mię złożysz na twem łonie białem,
Znowu mię ramię kochane otoczy;
Zbudzę się, myśląc, że chwilkę drzemałem,
Całując lica, patrząc w twoje oczy.

Odesa, 1825.

*Adam Mickiewicz.*

## TĘSKNOTA ZA ZIMĄ.

W sercu mem jesień, cień twój nikły, blady,
Sunąc w niem liśćmi zeschłymi, szeleści,
To liście spadłych omamień, to ślady
Niegdyś rozkoszy, dziś świadki boleści.

Wsłuchaj się w szelest tych zaschłych pamiątek,
Może usłyszysz dalsze strofy pienia,
Które tak śpiewny czerpało początek
W wiosny zachwytach i w lecie natchnienia.

Dzisiaj pod stopą liść chwaszczy i syczy,
Budząc w jesiennej mgle wspomnień szeregi;
A więc się sercu nie dziw, jeśli życzy —
By wreszcie spadły zapomnienia śniegi!

*Józef Kościelski.*

## ZAPOMNIAŁEM...

Jakaś piosnka w mem sercu rodzi się i dzwoni;
ale kiedy ją chwycić i napisać chciałem,

słowa odbiegły, pióro wypadło mi z dłoni
i już zapomniałem...

Jakieś usta nademną schylały się lube,
ale nim pocałunków rozkoszy zaznałem,
znikły, — darmo pragnąłbym dziś odzyskać zgubę —
i już zapomniałem...

Gdzieś po drodze królewnę spotkałem zaklętą;
kląkłem, ale nim usty miłość jej wyznałem,
poszła cicho odemnie w świat drożyną krętą —
i już zapomniałem...

Niegdyś matka nabożnej uczyła modlitwy;
długo, długo jej słodkie wyrazy szeptałem,
wreszcie słowa straciłem wśród życia gonitwy —
i już zapomniałem...

*Jerzy Żuławski.*

---

## DZIWNA, DZIWNA BAJKA.

Śni mi się w zamku królewna zaklęta,
biała i złota
i święta,
co len srebrzysty na wrzeciono mota
i śpiewa:
»O, szczęście! o, jasne szczęście...«
Z dalekich krajów tam
ciągną hufami rycerze pancerni,
jej wierni —

z malowanymi płatami u drzewa,
z mieczami w dłoni —
i w zbroic chrzęście
stają u bram,
gotowi życie nieść
dla sławy jej i za jej cześć,
lecz ona
głowę swą kłoni
ku pieśniarzowi, co u stóp jej kona
z miłości — i śpiewa:
O, szczęście!...

*Jerzy Żuławski.*

## NA ODJEZDNEM.

Koń już czeka, nogą grzebie,
niecierpliwi się i zżyma,
a ja jeszcze żegnam ciebie,
jeszcze żegnam cię oczyma,
myślą żegnam ciebie jeszcze,
w myśli usta twoje pieszczę —
bądź zdrowa!
Księżyc wschodzi już na niebie,
paź srebrzone strzemię trzyma,
a ja jeszcze żegnam ciebie
myślą, pieśnią i oczyma:
bądź zdrowa!

W struny-m lutni trącał dźwięczne,
piosnki-m śpiewał ci ochocze
w noce ciche i miesięczne,
w noce ciche i urocze, — —

przyjdzie księżyc, przyjdą maje,
a ja w obce jadę kraje —
bądź zdrowa!
Targam w struny te niewdzięczne,
bo cię nigdy już nie zoczę
w noce ciche i miesięczne,
w ciche noce i urocze — —
bądź zdrowa!

Nie uprosił ja cię pieśnią,
nie ubłagał ja cię dźwiękiem, —
niech się lutnia skryje pleśnią,
niech się z głuchym strzaska jękiem;
już mi ona niepotrzebna,
niepotrzebna pieśń podniebna —
bądź zdrowa!
Szczęście mija — sny się prześnią,
— biada ludziom z sercem miękkiem! —
niech się lutnia skryje pleśnią
niech się z głuchym strzaska jękiem —
bądź zdrowa!

Koń już gotów, jam już zbrojny,
miecz już w ręku lśni niezłomny —
księżyc patrzy nań spokojny,
taki biały i ogromny —
patrzy księżyc z nieb przestworza;
niech cię chroni ręka boża —
bądź zdrowa!
Na świat lecę i na wojny,
na śmierć lecę, ptak bezdomny;
księżyc patrzy tak spokojny,
taki biały i ogromny...
bądź zdrowa — —

*Jerzy Żuławski.*

# DZWONY.

Płyną, płyną kędyś w dali
na srebrzystej, dźwięcznej fali
dzwonów duchy, dzwonów głosy;
jęki, płacze i modlitwy
idą razem jak do bitwy,
a zdobywać chcą — niebiosy!

I wołają: módl się, człecze,
nim głos srebrny w dal uciecze;
módl się, módl się — a my z sobą,
z dźwiękiem naszym, z pieśnią świętą
łzy twe weźmiem, niepoczętą
Dobroć kusić ich żałobą!

Gdy co prosić masz — uprosim,
maszli-li skargi — pozanosim
wszystkie przed tron boży w niebie,
chcesz dziękować — dziękuj szczerze,
a chcesz płakać — mów pacierze
za umarłych, czy za siebie...

Weźcie, weźcie z sobą, dzwony,
żal mój wielki — niezgojony,
żal za wszystkiem, co przepada,
co przepada a nie wróci;
proścież Boga, niechaj skróci
śmierć dni moje — śmierć ta blada...

Wszędy wkoło same groby
i łzy same, kir żałoby,

a pod kirem młodość leży,
świat, marzenia, szczęście, wiara,
a nad grobem życia mara
opłakuje grób też świeży.

Dzwony, dzwony, mówcież przecie,
że mogiła ta na świecie
duszę rani, serce wierci,
że wciąż świeża — nie zasycha,
i że duch mój jeno wzdycha
do pokoju i do śmierci.

*Jerzy Żuławski.*

## SOSNA.

Na wioskowych mogiłach
Rosła sosna borowa,
Pień jej krzepnął na siłach,
Wybujała jej głowa.
Pogiętymi konary
Na sto sążni rozwisa,
A korzeńmi bez miary
Żółty piasek wysysa.
Z mogił wyrósłszy cała,
Za te soki, co bierze,
Z wiatrem sobie szumiała
Za umarłych pacierze.

Aż coś jednej jesieni
Biedna sosna borowa
Coraz mniej się zieleni,

I pożółkła jej głowa.
I została na stronie
Codzień cichsza, milcząca;
Każdy wietrzyk, co wionie,
Więcej kolców z niej strąca.
Rzuca w ziemię rodzimą
Zeschłe szyszki i ziarna:
Wkońcu jeszcze przed zimą
Zeschła sosna cmentarna.

Wiatr żałośnie jej pyta:
— »Biedna sosno z mogiły!
»Czyś ty gromem przebita?
»Czy-ć robaki stoczyły?
»Czy ci żeru nie było
»W żółtym piasku z poblizka?
»Albo kamień swą bryłą
»Twe korzenie naciska?«

— »Och! mnie nie tknął grom z burzą
»I robaki nie toczą;
»Ziemia soków ma dużo,
»I mnie karmi ochoczo.
»Gdzie kamienie i głazy,
»Szłam z korzeńmi zdaleka:
»Wrosłam — gorzej sto razy!
»W trumnę złego człowieka!
»Trumna zgniła na próchno,
»Zgniły w piersiach mu błonki,
»W serce trupa leciuchno
»Zapuściłam korzonki.
»Chłód mnie przebiegł grobowy,
»Gdym possała zeń trocha;
»Bo to człek był takowy,
»Co nikogo nie kocha!

»Pierwsze z piersi swej soki,
»Dał cmentarnej choinie;
»Czułam jak z tej epoki
»Brzydki we mnie jad płonie.
»Z jadem śmierci w mem łonie
»Byłam smutna — milcząca...
»Każdy wietrzyk co wionie,
»Więcej kolców mi strąca.
»Próżno w ziemię rodzimą
»Nowe rzucać chcę ziarna...
»Ziarna zeschły — przed zimą,
»Zginie sosna cmentarna«.

*Władysław Syrokomla.*

---

## ŻEBY TAK SZARPNĄĆ ŁAŃCUCHY ŻYWOTA.

Żeby tak szarpnąć łańcuchy żywota
I w proch rozsypać świątynię nikczemną,
Co, próżna bogów, a po wierzchu złota,
Próchnem się pali w noc ciemną!

Serdeczna, dzika pokusa mną miota
Wyrwać stąd ciebie na podróż wkół-ziemną
Zdobyć ci wolność płomieniem brzeszczota...
Lecz ty... czy pójdziesz ty ze mną?
. . . . . . . . . . . . . . . . . . .

. . . . . . . . . . . . . . . . . . .
Na florentyńskim placu signorii
Rzymianin, dłuta Bolońskiego mistrza
Porwał Sabinkę z marmuru:

Ta mu się trwożnie odpycha od szyi
I skargę swoją dotąd śle najczystsza
W głuche przestrzenie lazuru.

*Józef Weyssenhoff.*

## NOC W MIEŚCIE.

K. M. GÓRSKIEMU.

W błękicie bladym chmurek wełny,
Na szczycie nieba w chwale pełnej
Rozpromieniona twarz Seleny.
W tę ciszę, pośród mgły oparów,
Nie słyszę żadnych ziemskich gwarów —
W powodzi światła śnią Ateny.

I z miasta, co jest w srebrnem polu,
Wyrasta olbrzym Akropolu,
Na niebie kreśląc swe kolumny,
Wykuta z głazu wielka stela
Dłuta Fidyasza — w niebo strzela
Koronny szczyt attyckiej trumny.

*Józef Weyssenhoff.*

## Z WICHREM.

Szum, jesienny wichrze, szum!...
Lubię twój posępny śpiew,

Jak pogrzebnych echo dum,
  Jak pożółkłą barwę drzew.
  Szum, jesienny wichrze, szum!

Goń, jesienny wichrze, goń
  Gromadami uschły liść!
Chłodem śmierci wiej na skroń,
  I gdzie wszyscy mamy iść,
  Goń, jesienny wichrze, goń!

Zimny śmiech na ustach mam,
  Zimne w oku świecą łzy,
Blaski życia... już was znam!
  Poza wami — wieczne mgły...
  Zimny śmiech na ustach mam!

Cyt, me serce! cyt już, cyt!
  Skrzepła krew już twoich ran,
A nim błyśnie nowy świt,
  Wśród grobowych uśniesz ścian,
  Cyt, me serce! cyt już, cyt!

Płacz, o wichrze, jęcz i dzwoń,
  Lubię twój szalony wtór.
Z duszą moją w chaos wioń,
  W dziki uścisk czarnych chmur!
  Płacz, o wichrze, jęcz i dzwoń!

*Marya B.*

---

## DO MEGO CICERONA W RZYMIE.

Mój Cicerone! Oto na pomniku
Jakieś niekształtne, nieznajome imię

Wędrownik skreślił na znak, że był w Rzymie,
Ja chcę coś wiedzieć o tym wędrowniku.

Może go wkrótce przyjmie do gospody
Kłótliwa fala; może piasek niemy
Zatai jego życie i przygody,
I nigdy o nim nic się nie dowiemy...

Ja chcę odgadnąć, co on czuł i myślił,
Gdy w księdze twojej, śród włoskiej krainy,
Za cały napis to imię wykryślił,
Na drodze życia ten swój ślad jedyny.

Czy drżącą ręką, po długiem dumaniu,
Rył go powoli, jak nagrobek w skale?
Czy go, odchodząc, uronił niedbale,
Jako samotną łzę przy pożegnaniu?

Mój Cicerone! dziecinne masz lice,
Lecz mądrość stara nad twem świeci czołem;
Przez rzymskie bramy, groby i świątnice,
Tyś przewodniczym był dla mnie aniołem;

Ty umiesz przejrzeć nawet w serce głazu;
Gdy błękitnemi raz rzucisz oczyma,
Odgadniesz przeszłość z jednego wyrazu —
Ach... ty wiesz może i przyszłość pielgrzyma.

*Adam Mickiewicz.*

## MELODYA MGIEŁ NOCNYCH.

(NAD CZARNYM STAWEM GĄSIENICOWYM).

Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
Okręcajmy się wstęgą naokoło księżyca,
co nam ciała przezrocze tęczą blasków nasyca,
i wchłaniajmy potoków szmer, co toną w jeziorze,
i limb szumy powiewne i w smrekowym szept borze,
pijmy kwiatów woń rzeźwą, co na zboczach gór kwitną,
dźwięczne, barwne i wonne, w głąb wzlatujmy błękitną.
Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
oto gwiazdę, co spada, lećmy chwycić w ramiona,
lećmy, lećmy ją żegnać, zanim spadnie i skona,
puchem mlecza się bawmy i ćmy błoną przezroczą,
i sów pierzem puszystem, co w powietrzu krąg toczą,
nietoperza ścigajmy, co po cichu tak leci,
jak my same, i w nikłe oplątajny go sieci,
z szczytu na szczyt przerzućmy się jak mosty wiszące,
gwiazd promienie przybiją do skał mostów tych końce,
a wiatr na nich na chwilę uciszony odpocznie,
nim je zerwie i w pląsy znów pogoni nas skocznie.

*Kazimierz Przerwa-Tetmajer.*

## ZMARSZCZKI CZOŁA.

Gdy ujrzysz w brózdy pokrajane pole,
Wiesz, że już oracz lemiesz swój tam wodził,

Gdy ujrzę zmarszczki poryte po czole,
Wiem, że już po niem pług życia przechodził.
Lecz ta uprawa czy nie była marną?
Jakież tam padło, jakie żyje ziarno?
Czy błędnej myśli rozniecone pychą
Krnąbrnego serca spali je posusza?
Czy też pokorą nakryła je dusza,
Żywiąc modlitwą, jakby rosą cichą?

*Stefan Witwicki.*

---

## NA ŚMIERĆ SYROKOMLI.

Od chaty do chaty, do grobowej deski
Z swą lirą wędrował nasz lirnik litewski.
Witały go dwory, witała go strzecha,
Wtórzyły mu wdzięcznie zbłąkane wciąż echa:
Bo z jego lirenki leciały piosenki,
Jak szare skowronki wzlatały z pod ręki.
Pod sercem się lęgły, pod sercem prostaczem,
Wyniańczone smutkiem, wykarmione płaczem.
I tak mu śpiewały, gdzie jeno się ruszył,
Że próżno je głuszył — śpiewania nie zgłuszył,
Udanem weselem nie zabił żałości,
Ból rzewny, głęboki, jak wilgoć wszedł w kości,
I przegryzł mu serce, żałością przepoił,
I oną udaną swobodę rozbroił.
Daremnie wśród świata próbował wytchnienia;
Za małe pociechy, za wielkie cierpienia!
Mocniejsze przemogło: gdy targnęły strony,
Od ust mu odleciał kielich niespełniony.
Wygrałaś, piosenko, kochanko z za świata,

Zabiłaś śpiewaka, zabiłaś nam brata.
Odleciał w te strony, gdzie leci twa nuta:
Zwłok tylko pozostał, jak lira popsuta.
Odleciał w powietrze burzami spłókane,
W to czyste powietrze, jak balsam na ranę,
W te strony błękitne, gdzie błogo serdecznie,
Gdzie cicho, swobodnie, gdzie jedno bezpiecznie.
A bracia mu piszą na kamień grobowy:
»Spoczywaj, lirniku — nasz bracie wioskowy,
Spoczywaj, lirniku, a zioła nadgrobne
Niech szemrzą nad tobą, jak struny żałobne,
Wzruszone powiewem ojczystej dąbrowy.
Spoczywaj, lirniku — nasz bracie wioskowy!«

*Teofil Lenartowicz.*

## HUMORESKA.

Po dżdżach jesiennych cudny złoty dzień,
Jakgdyby jeszcze z łaski darowany.
Zda się, że nawet poweselał cień
I w miłe ciepło pełznie z popod ściany.

Okna papierem i pożółkłym mchem
Pozatykane już na zimę szczelnie,
Raz otworzyły się jeszcze przed snem.
Dzieci zdobyły znów przedproża dzielnie.

Wróble na rynnach czynią wielki ruch,
Zmylone w swojej rachubie pór roku.
Na widok w słońcu zmartwychwstałych much,
Rzuciły resztki przed stajnią obroku.

Drzewa odarte z liści, nagie już,
Zdają się w słońcu z zawstydzenia mniejsze,
Nieśmiało patrzą w liście spadłe w kurz,
Zakłopotane, jakby nie tutejsze.

A szczyt kościelny, wznosząc złoty krzyż,
Lśniący wspaniale złocistemi smugi,
Pnąc się, w uznaniu za piękny dzień, wzwyż,
Zawiesza niebu złoty krzyż zasługi.

*Leopold Staff.*

## ZALEDWO WIEM...

Zaledwo wiem, czyś była snem,
Czy prawdą z krwi i ciała.
Przez próg mych szlak przeleciał ptak
I dusza ma śpiewała.
Słuchałem fal płynących w dal
I czułem jak łzy w sobie.
Padło mi iść przez zwiędły liść
I szedłem, jak po grobie...

Kto szczęścia zna przyczynę?
Kto zna miłości początek i kres?

Zaledwo wiem, czy było snem,
Czy prawdą me kochanie.
Czym szczęśliw był, czy ptak się wzbił
Szczęśliwy w nieb otchłanie?
Czy fali bieg ominął brzeg,

Czym ja cię stracił zdradnie?
Czy to liść marł, czy serca żar?
Ach, któż to, któż odgadnie!

Kto szczęścia zna przyczynę?
Kto zna miłości początek i kres?

*Leopold Staff.*

---

## PIELGRZYM.

### SONET.

U stóp moich kraina dostatków i krasy,
Nad głową niebo jasne, obok piękne lice:
Dlaczegóż stąd ucieka serce w okolice
Dalekie, i — niestety! — jeszcze dalsze czasy?

Litwo! piały mi wdzięczniej twe szumiące lasy,
Niż słowiki Bajdaru, Salhiry dziewice;
I weselszy deptałem twoje trzęsawice,
Niż rubinowe morwy, złote ananasy.

Tak daleki, tak różna wabi mię ponęta!...
Dlaczegóż roztargniony wzdycham bez ustanku
Do tej, którą kochałem w dni moich poranku?

Ona w lubej dziedzinie, która mi odjęta,
Gdzie jej wszystko o wiernym powiada kochanku,
Depcąc świeże me ślady, czyż o mnie pamięta?...

*Adam Mickiewicz.*

---

## STRZELEC.

SONET.

Widziałem, jak dzień cały, pośród letniej spieki,
Błąkał się strzelec młody. Stanął nad strumieniem,
Długo poglądał wkoło i rzecze z westchnieniem:
»Chcę ją widzieć, nim kraj ten opuszczę na wieki;

»Chcę widzieć niewidziany«. Wtem leci z za rzeki
Konna łowczyni, strojna Diany odzieniem;
Wstrzymuje konia, staje, zwraca się wejrzeniem:
Zapewne jechał za nią towarzysz daleki.

Strzelec cofnął się, zadrżał, i oczy Kaima
Zataczając po drodze, gorzko się uśmiechał,
Drżącą ręką broń nabił, dąsa się i zżyma,

Odszedł nieco, jakoby swej myśli zaniechał.
Wtem dojrzał mgłę kurzawy, wzniesioną dłoń trzyma,
Bierze na cel, mgła bliżej — lecz nikt nie nadjechał.

*Adam Mickiewicz.*

## GARŚĆ ZIEMI.

On rzucił ojców zagrody,
By w świat wyruszyć nieznany
I między obce narody
Ponieść swych cierpień kajdany;

Rzucił tłum bratniej drużyny
I czary łąki kwiecistej,
Wziął tylko klejnot jedyny:
Garść czarnej ziemi ojczystej...

I płakał łzami tęsknoty,
Rzucając progi rodzinne,
I matki tkliwe pieszczoty,
Zabawy dziecka niewinne,
Wszystko, co w ziemi miał bratniej,
Znikło w przeszłości ciernistej...
Wziął tylko klejnot ostatni:
Garść czarnej ziemi ojczystej...

Burze mu przeszły nad głową
I nowe czucia przez duszę,
On zawsze myślą cierniową
Rozkrwawiał serca katusze,
Bo gdy już w chwilach natchnienia
Biegł w marzeń świat promienisty,
Czuł w sercu ciężar kamienia:
Garść czarnej ziemi ojczystej...

I przebył lądy i morza,
Widział świat cudów nieznany...
Lecz siny błękit przestworza
I ciche ojców kurhany
Tęsknotę znów w nim budziły
Za rajem łąki kwiecistej,
Skąd wziął — z najdroższej mogiły:
Garść czarnej ziemi ojczystej...

A gdy już śmierci godzina
Dni wędrownika przecięła,
I zimna, obca mogiła

W łono go swoje przyjęła:
Do grobu bratniej drużyny,
Nad brzegiem góry śnieżystej,
Dano mu klejnot jedyny:
Garść czarnej ziemi ojczystej.

*Aleksander Kraushar.*

---

## WSPOMNIENIE PANI DE ST. MARCEL Z DOMU CHAUVEAUX.

Staruszko moja, o staruszko moja!
  Twoje mieszkanie takie wonne tobą,
Na murach jego jak z obrazów zbroja,
  A każdy obraz był jakąś osobą!
Dziś raz ostatni widząc pożegnałem,
Wszedłszy do domu — bym poszedł za ciałem.

Dawno bez męża i bez towarzysza,
  Który niedawno ciebie odszedł stary,
Przycichłaś w domu: dziś ta sama cisza
  W domu, a w bramie stoją twoje mary.
Gdym wszedł, myślałem: twa szata szeleszcze,
Ogień się palił, zegary szły jeszcze.

Lecz jakaś ciemność, dziwne jakieś mroki,
  Nad twym kominem, nad twoją kotarą,
Jakby te duże śmiertelne obłoki,
  Które zmieniają dzień w godzinę szarą,
A człowiekowi bronią słów i ruchów,
Bo są z poważnych i ze smętnych duchów.

Lat dziewięćdziesiąt ciało-ś ty nosiła;
  Przez krew szły twoje panieńskie nóżeczki.
Przez smutek starość szła twoja pochyła,
  A w trumnie leżą już tylko kosteczki.
Wszystkoś wybrała ze skarbów żywota:
Czemuż po tobie tak wielka tęsknota?

Może dlatego, że gdym twoje ściany
  Odwiedzał, dawno światem niezabawne,
To spotykały mnie republikany
  I wielkich imion dawne duchy sławne,
I wszystkie stały z odkrytemi głowy,
Słuchając we mnie grzmiącej polskiej mowy.

Gdym nieraz siedział przy twoim kominie,
  A ty myślałaś, że ja sobie drzymię,
Jam na mównicy stał w tych duchów gminie
  I brałem sobie między nimi imię —
Od głów zaczynał, aż do serc im sięgał
I znów na wielką-m ich sprawę sprzysięgał.

A ty jak trupek w krześle pod zamętem
  Cicha, podobna do Park, życia matek,
Byłaś jakby tych sejmów prezydentem; —
  Dzisiaj próchenko ciała i opłatek,
Bo miejsca duch lat dziewięćdziesiąt bronił
A nie ustąpił — aż Pan Bóg zadzwonił.

Dlategom ja cię czuł pod suchą kością
  Dobrą, choć ludzie o złość oskarżali;
Tyś sławne imię nosiła ze złością,
  A ja sam takie noszę, co mnie pali,
Gdym jest wielkiemi burzami natchnięty,
A w burzach nawet czuję się, żem święty.

Wszystko to w głębi twojego pokoja
Czułem dziś, patrząc na złoconą ścianę,
Żegnaj-że, cicha staruszeczko moja,
A pamiętaj mi na sejmy zerwane
I poślij zgraję twoich duchów tłumną
Mnie, który szedłem dziś jeden za trumną.

*Juliusz Słowacki.*

## DO POWINNOŚCI.

Szczytna, święta, surowa, jak marmur Anioła,
Porywająca umysł wielkością bez miary,
Zawitała powinność w sumienia obszary,
I światło celów zacnych rozlała dokoła.

I na powiew jej szaty — świat omamień stary
Runął nagle o płyty Bożego kościoła...
Kilka cierni, wypadłych z krwawego jej czoła,
Zostało w sercu chorem na zasiew ofiary.

I nieznaną mu dotąd żywot jęknął mową,
I przed okiem dziwnymi zaświecił cudami:
Łzy braci zaiskrzyły rosą brylantową;
Trud wieków wyszlachetniał wielkimi celami;

Krwawa praca pod krzyżem snuła przyszłość nową;
Promieniejącą wiarą, potężną czynami.

Duch przejrzał, a wytknąwszy nowe drogi swoje,
W purpurę ideału trud przyodział święty,

I jak prorok dni przyszłych, zachwyceniem zdjęty,
Wołał: zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje!

*Leonard Sowiński.*

---

## CHMURA NA CZOLE.

Ja nienawidzę tych czół pogodnych,
Jak gnuśne we stawach wody,
Tych lic rumianych, a takich chłodnych,
Gładkich jak zimowe lody.

Ja lubię widzieć, gdy twarz młodzieńca
Podarta boleści radłem,
A smutku chmura w krąg, nakształt wieńca,
Na czole wije się zbladłem.

Bo chmura smutku posępna, czarna,
Znać daje, że tam nie śpiąca,
Ale jest dusza myślą ciężarna,
Uczucia burzą kipiąca.

O! bo w tej chmurze śpią gromy jasne,
Co bałwan fałszu obalą,
I szranki ducha rozbiją ciasne
I znicz prawd boskich zapalą.

O! bo niech tylko jasnego słońca
Promień jej łona dosięgnie,
Z tej chmury tęcza wybłyśnie lśniąca
I niebo ze ziemią sprzęgnie.

*Roman Zmorski.*

---

# TESTAMENT MÓJ.

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami;
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny:
Dziś was rzucam i dalej idę w cień — z duchami —
A jak gdyby tu szczęście było — idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica,
Ani dla mojej lutni, ani dla imienia:
Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
I będzie jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia.

Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach przekażcie,
Żem dla ojczyzny sterał moje lata młode;
A póki okręt walczył, siedziałem na maszcie,
A gdy tonął, z okrętem poszedłem pod wodę...

Ale kiedyś — o smętnych losach zadumany
Mojej biednej ojczyzny — przyzna, kto szlachetny,
Że płaszcz na moim duchu był nie wyżebrany,
Lecz świetnościami dawnych moich przodków świetny.

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
I biedne serce moje spalą w aloesie,
I tej, która mi dała to serce, oddadzą —
Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie...

Niech przyjaciele moi siędą przy puharze
I zapiją mój pogrzeb — oraz własną biedę:
Jeżeli będę duchem, to się im pokażę,
Jeśli Bóg nie uwolni od męki, nie przyjdę...

Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec;

A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
  Jak kamienie, przez Boga rzucane na szaniec!...

Co do mnie — ja zostawiam maleńką tu drużbę
  Tych, co mogli pokochać serce moje dumne;
Znać, że srogą spełniłem, twardą bożą służbę
  I zgodziłem się tu mieć — niepłakaną trumnę.

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
  Iść?... taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napełnionej łodzi,
  I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
  Co mi żywemu na nic... tylko czoło zdobi;
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna
  Aż was, zjadacze chleba — w aniołów przerobi.

*Juliusz Słowacki.*

---

## O NIEWIEŚCIE POLSKIEJ.

### WYJĄTEK Z »ODLUDKI I POETA«.

Pierwszy mój uśmiech usta do kobiety wzruszył,
Pierwszą łzę moją oddech kobiety osuszył,
Pierwsze słowo jej mowa kształciła pieszczona,
Do kobiety-m najpierwej wyciągnął ramiona,
I kiedy w mgle dzieciństwa matkę poznawałem,
Nie wiedząc, co kochanie, kobietę kochałem;
A jeśli później ojca surowe nauki
Uczyły jak żyć trzeba i cierpienia sztuki,

Jeśli im winien jestem miłość, stałość w cnocie,
Niemniej możem jest winien i matki pieszczocie.
Dobroć, miłość, cierpliwość, najświętsze zasady
Wpajała w młode serce własnymi przykłady,
I poznałem, gdym przejrzał lat młodych ciemnoty,
Że życie dobrej matki pierwszą szkołą cnoty.
Upodobanie stałe tej samej zagrody,
Gdzie jakby sen pieszczący przesnuł się wiek młody,
Powab, co z blasku świata i sławy zapału
W cichy obwód rodziny przyciąga pomału,
Władzę, co lekkiem tchnięciem duszę naszą budzi,
Drażni, aby nagradzać — by upewnić, łudzi,
I ta pewność, ta pewność, szczęścia czyste zdroje!
Żem zyskał drugie serce, że jest całkiem moje!
Tę pewność, że w dwóch sercach jedno tylko bicie,
Komu winni jesteśmy, jeśli nie kobiecie?

*Aleksander hr. Fredro.*

## DO MATKI.

Zadrży ci nieraz serce, miła matko moja,
Widząc powracających i ułaskawionych:
Kląć będziesz, że tak twarda była na mnie zbroja
I tak wielkie wytrwanie w zamiarach szalonych.

Wiem, że wróceniem mojem lat-bym ci przysporzył;
Wszakże, gdy cię spytają, czy twój syn powraca,
Mów: syn twój na sztandarach jak pies się położył,
I choć wołasz, nie idzie; oczy tylko zwraca,

Oczy zwraca ku tobie... więcej nic nie może,
Tylko spojrzeniem tobie smutek swój tłómaczy;

Lecz woli tutaj konać, niż iść na obrożę,
Bo woli zamiast hańby... pić czarę rozpaczy!

Przebacz-że mu, o moja ty piastunko droga,
Że się tak zaprzepaścił i tak zaczeluścił;
Przebacz... bo gdyby nie to, że opuścić Boga
Musiałby — toby ciebie pewno nie opuścił.

*Juliusz Słowacki.*

## DLA CHLEBA.

Góralu! czy ci nie żal
Odchodzić od stron ojczystych?...
Świerkowych lasów i hal,
I tych potoków srebrzystych,
Góralu! czy ci nie żal?...

Góral na lasy spoziera,
I łzy rękawem obciera
I rzekł: — »Ha, darmo, kiej trzeba!
Dla chleba, panie, dla chleba«.

Góralu! wróć się do hal,
W chacie zostali ojcowie,
Gdy od nich pójdziesz w dal,
Co z niemi stanie się — kto wie?...
Czyż ci starych nie żal?...

A góral jak dziecko w głos płacze:
»Och, może już ich nie zobaczę!

Ha, darmo, paniczu, kiej trzeba!
Dla chleba, panie, dla chleba«.

Góralu! nie odchodź, oj nie!
Na wzgórku u męki boskiej
Tam płacze dziewczę twe,
Uschnie z tęsknoty i troski,
Gdy pójdziesz — nie odchodź, nie!

On zwiesił głowę i wzdycha:
— »Oj, dolaż moja, dola!« — rzekł zcicha —
»I dziewkę porzucić trzeba
Dla chleba, panie, dla chleba«.

I poszedł z grabkami i kosą,
W guńce starganej i boso,
Precz poszedł w doliny — w dal,
Góralu! żal mi cię, żal.

*Michał Bałucki.*

# PAJĄK.

Suchotnicze blade ręce
Na błękitnem tle posłania:
Długie, śpiewne, roztęsknione
W zastygania cichej męce.

Kwiaty jakieś zapomniane
Cicho więdną w swym wazonie,
Rozsiewając wkoło wonie
Melancholji i kadzidła...

Poprzez okno słońce złote
Wpada pylną zawieruchą,
I na bladem, chłodnem czole
Kładnie lekką swą pieszczotę.

A w słoneczną kurzu smugę
Właśnie spuścił się z powały
Krotochwilny pająk mały —
I na przędzy swej się buja...

*Bronisława Ostrowska.*

---

## ZMIERZCH.

Dnia złoty wicher za góry pierzchł,
Widma przelotne w dal żenie —
Duszę mi koi błękitny zmierzch —
Niby wspomnienie...

Niby wspomnienie rodzinnych stron
W nieznanych gwiaździc krainie...
Melancholijny wieczorny dzwon
Po polach płynie...

Niby wspomnienie szczęśliwych lat,
Które znękanych w śnie wita,
Łagodnej wiary błękitny kwiat
W sercu wykwita...

Łuny zachodniej żarzy się krew
W świętej cichości wieczoru,
Płyną psalmodye prastarych drzew
Kędyś do boru...

Dnia złoty wicher za góry pierzchł,
Widma ulotne w dal żenie:
Duszę mi koi błękitny zmierzch —
Niby wspomnienie.

*Bronisława Ostrowska.*

# VI.

## STRASZNA BAJKA.

### ZE WSPOMNIEŃ DZIECINNYCH.

— Hej, nianiu!... już zmierzchy
Padają na wierzchy
Lipowych naszych drzew...
Praw bajki, starucho,
Nuć do snu na ucho...
Niech brzmi twój cichy śpiew.

— A o czem mam prawić?
Co śpiewać, czem bawić?
Już wszystkie piosnki wiesz!
Zaklęta królewna,
To bajka za rzewna,
Dziś pewnie innej chcesz.

— Tak, nianiu... Mnie trzeba
Szelestu, chmur z nieba,
Z piorunów pieśń mi zwij!...
Niech burza przeleci,
Ogniami zaświeci,
Gromami błyśnie żmij!

— Duch wszelki!... co tobie?
Ja tego nie zrobię —

Lękam się grzmotu burz;
Ja wolę, kochanku,
Z powieści swej wianku
Sto złotych ujrzeć róż.

— Nie! pieśni tej nie chcę,
Bo pieści, bo łechce,
Aż serce mdleje mi.
Ja lubię pogodę,
Lecz chętniej wzrok wiodę
Po niebie, które grzmi.

Tak ślicznie, gdy nocą
Pioruny migocą
Na czarnem łonie chmur;
Gdy błyski ogniste,
Płomienne, to krwiste,
Plączą się w długi sznur!

Czy nie znasz ty bajki,
Gdzie wichry dmą grajki,
Próbują dębów moc?
— Znam, dziecko, niejedną,
Lecz ustka ci zbledną,
Niedobrze przejdzie noc.

Tak, zuchu mój mały,
Ty będziesz drżeć cały,
Serduszkiem trwożnie bić.
Gdy bajka, co spłynie
W tak późnej godzinie,
Zwije się w czarną nić.

— Mów, nianiu — mów prędko!
Ja uchem jak wędką
Będę ją chwytał wciąż.

Wszak, nianiu, ja muszę
Wojacką mieć duszę,
   Wszak z dziecka rośnie mąż.

Jeżeli się strwożę,
To główkę położę,
   Zakryję oczy tak!...
Ty zmilkniesz w pół baśni:
Ten strach ci wyjaśni,
   Że ze mnie trwożny ptak.

— Więc słuchaj: »Daleko,
Za górą, za rzeką —
   Nie dojść ci, zuchu, tam! —
Wśród uschłych powoi,
Posępny gmach stoi,
   Sto wież ma i sto bram.

Na murach mchy rosną
Czy zimą, czy wiosną,
   I niebo wiecznie w mgłach:
Na basztach zamczyska
Straż dzierżą wężyska,
   I wewnątrz mieszka strach.

Kto wejdzie do środka,
Wnet widmo go spotka
   U gmachu siódmych drzwi...
Wzrok mgłą ma owiany,
Na piersi trzy rany,
   A w ręku czarę krwi.

O! trzeba być zuchem,
By za tym iść duchem
   I twarzą patrzeć w twarz —

I spełnić z rąk mary
Krwi świeżej pół czary
I przy niej trzymać straż!

A wiedz ty: gdy ona
Wyciągnie ramiona,
Do piersi weźmie swej:
Szał ciebie ogarnie!
W pierś własną męczarnie
I bóle weźmiesz jej.

I pójdziesz na męki,
Żeś dotknął tej ręki,
Gdzie ostrza cierni tkwią —
I z Bogiem się skłócisz,
Lecz jej już nie rzucisz,
I w piekło pójdziesz z nią!

A wkoło zamczyska
Coś jęczy, grzmi, błyska,
Szatański krąży tan —
I dzwonią w łańcuchy,
Zwyczajnie złe duchy,
Mieszkańce pustych ścian.

A mara na przedzie
Wciąż dalej cię wiedzie
W ciemności głuchą toń —
Pochyla się — bladnie,
I ręce swe kładnie
Na pierś twą, czoło — skroń...

Krzyk nagły z dziecięcej
Padł piersi... Na ręce
Piastunki runął zuch.

Zerwała się niania,
Sen widmo odgania
Lecz stoi mara — duch!

Nad dzieckiem schylona
Wyciąga ramiona,
Unosi krwawą dłoń —
Pochyla się — bladnie...
I ręce swe kładnie
Na pierś mu — czoło — skroń!

*Kazimierz Gliński.*

---

## BAJKA O KASI I O KRÓLEWICZU.

Nie miała Kasieńka ojca ani matki,
Ino miała oczy, jako dwa bławatki
Usta jak dwie wiśnie, liczka jak dwie zorze,
I na służbie była Kasia we królewskim dworze.
Oj Kasiu, Kasieńko!

I musiała w zimie od samego rana
Rąbać kłody drzewa na drobne polana
I myślała sobie: »Jak zrąbię te kłody,
Któż przy ogniu się ogrzeje? Ten królewicz młody...«
Oj Kasiu, Kasieńko!

I musiała latem w gorące południe
Iść po jasną wodę z konwiami pod studnię
I myślała sobie: »Jak naniosę wody,
Któż się to w niej będzie kąpał? Ten królewicz młody...«
Oj Kasiu, Kasieńko!

I co noc musiała szorować na czysto
Szczerozłote schody, podłogę srebrzystą
I myślała sobie: »Jak wymyję schody,
Któż to po nich będzie chodził? Ten królewicz młody!«
Oj Kasiu, Kasieńko!

Gdy na łowy jechał z dworskimi i z psiarnią,
Wychodziła Kasia na strych nad piekarnią,
Wyglądała za nim dymnikiem ze strychu,
Płakać jej się czegoś chciało — po cichu, po cichu —
Oj Kasiu, Kasieńko!

II.

Cóż na to powie pan kucharz,
Iż go ty, Kasiu, nie słuchasz?
Posłał cię co żywo
Do lochu po piwo,
A ty go, Kasiu, nie słuchasz.

Uszła przez ciemną drewutnię,
Bo ją coś gnało okrutnie
W te gaje, dąbrowy
I w bór ten sosnowy —
Tak ją coś gnało okrutnie!

Czy po stokrocie, po dzwonki
Biegniesz, Kasieńko, na łąki?
Oj dzwonki, stokrocie
Nie tobie, sierocie —
Nie biegnij, Kasiu, na łąki!

Czy na poziomki, maliny
Idziesz do leśnej gęstwiny?
Maliny tam w borze
Nie dla cię, nieboże —
Nie chodź do leśnej gęstwiny!

Co jej tam kwiatki, jagody?
Ino królewicz ten młody!
W te gaje, dąbrowy,
W bór ciemny na łowy
Jedzie królewicz ten młody.

Jemu korona ze złota,
A tobie, Kasiu, robota,
Nie takiej sierocie
Królewicz we złocie
— Tobie, Kasieńko, robota.

Dźwigaj ty wodę i drewno,
Jemu się żenić z królewną,
Na nic twa uroda
I łez twoich szkoda —
Żebyś ty była królewną!...

*Lucyan Rydel.*

---

## ANIOŁ STRÓŻ NAD UŚPIONYM.

Niedobre, nieczułe dziecię!
Ziemskie matki twej zasługi,
Prośby jej na tamtym świecie,
Strzegły długo wiek twój młody
Od pokusy i przygody:
Jako róża, anioł sadów,
We dnie kwitnie, w noc jej wonie
Bronią senne dziecka skronie
Od zarazy i owadów.

Nieraz ja na prośbę matki
I za pozwoleniem Bożem,

Zstępowałem do twej chatki,
Cichy, w cichej nocy cieniu:
Zstępowałem na promieniu,
I stawałem nad twem łożem.

Gdy cię noc ukołysała,
Ja nad marzeniem namiętnem
Stałem jak lilia biała,
Schylona nad źródłem mętnem.
Nieraz dusza mnie twa zbrzydła,
Alem w złych myśli nacisku
Szukał dobrej, jak w mrowisku
Szukają ziarnek kadzidła.

Ledwie dobra myśl zaświeci,
Brałem duszę twą za rękę,
Wiodłem w kraj, gdzie wieczność świeci,
I śpiewałem jej piosenkę,
Którą rzadko ziemskie dzieci
Słyszą, rzadko i w uśpieniu,
A zapomną w odecknieniu.
Jam ci przyszłe szczęście głosił,
Na mych rękach w niebo nosił,
A tyś słyszał niebios dźwięki,
Jako pjanych uczt piosenki.

Ja, syn chwały nieśmiertelnej,
Przybierałem wtenczas postać
Obrzydłej larwy piekielnej,
By cię straszyć, by cię chłostać;
Tyś przyjmował chłostę Boga,
Jak dziki męczarnie wroga,
I dusza twa w niepokoju,
Ale z dumą się budziła;
Jakby w niepamięci zdroju —

Przez noc całą męty piła.
I pamiątki wyższych światów
W głąb' ciągnąłeś, jak kaskada,
Gdy w podziemną przepaść wpada,
Ciągnie liście drzew i kwiatów.

Natenczas gorzko płakałem,
Oblicze tuląc w me dłonie;
Chciałem i długo nie śmiałem
Ku niebieskiej wracać stronie,
Bym nie spotkał twojej matki; —
Spyta się: jaka nowina
Z kuli ziemskiej, z mojej chatki,
Jaki sen był mego syna?...

## UŚPIONY BUDZI SIĘ. — RANEK.

Nocy cicha! Gdy wschodzisz, kto ciebie zapyta,
Skąd przychodzisz; gdy gwiazdy przed sobą rozsiejesz,
Kto z tych gwiazd tajnie przyszłej drogi twej wyczyta?
Zaszło słońce, wołają astronomy z wieży,
Ale dlaczego zaszło, nikt nie odpowiada;
Ciemności kryją ziemię i lud we śnie leży,
Lecz dlaczego śpią ludzie, żaden z nich nie bada.
Przebudzą się bez czucia, jak bez czucia spali —
Nie dziwi słońca dziwna, lecz codzienna głowa;
Zmienią się blask i ciemność jako straż pułkowa,
Ale gdzież są wodzowie, co jej rozkazali?...

A sen?... Ach, ten świat cichy, głuchy, tajemniczy,
Życie duszy, czyż nie jest warte badań ludzi?
Któż jego miejsce zmierzy, kto jego czas zliczy?
Trwoży się człowiek śpiący, śmieje się, gdy zbudzi.
Mędrcy mówią, że sen jest tylko przypomnienie...
Mędrcy przeklęci!

Czyż nie umiem rozróżnić marzeń od pamięci?
Chyba mnie wmówią, że moje więzienie
Jest tylko wspomnienie.
Mówią, że senne czucie rozkoszy i kaźni
Jest tylko grą wyobraźni; —
Głupi! zaledwie z wieści wyobraźnię znają
I nam wieszczom o niej bają.
Bywałem w niej, zmierzyłem lepiej jej przestrzenie,
I wiem, że leży za jej granicą — marzenie!
Prędzej dzień będzie nocą, rozkosz będzie kaźnią,
Niż sen będzie pamięcią, mara wyobraźnią.

*Adam Mickiewicz.*

---

## ARYMAN I OROMAZ.

Z »ZEND-AWESTY«.

---

W samym przepaści niezgłębionej środku,
W samym ciemności najgrubszym zarodku,
Osiadł Aryman, jak złodziej ukryty,
Gniewny jako lew, jak wąż jadowity.
Onego czasu nadął się i dźwignął,
I wielką ciemność piersiami wyrzygnął
I po ciemności, jak pająk po sieci,
Szczeblował w górę, tam, gdzie Bóstwo świeci,
Oparł się o dnia i nocy granice,
Wynurzył głowę i podniósł źrenice.
A skoro ujrzał w samym niebios środku,
W samym jasności najczystszej zarodku
Oromadesa, co wśród tworów świeci,
Jak wśród gwiazd słońce, jak ojciec wśród dzieci;
Skoro na widok przedwiecznego słońca

Zły duch pomyślił o szczęściu bez końca:
Ta myśl, ogromna jako świata brzemię,
Z takim ciężarem padła mu na ciemię,
Że stracił siłę, runął na dół głową
Przez wieki wieków i osiadł na nowo
W samym przepaści niezgłębionym środku,
W samym ciemności najgrubszym zarodku.

*Adam Mickiewicz.*

## PAŻ KRÓLOWEJ.

— Graj mi, wciąż jeszcze graj,
Mój paziu, mój ty mały,
Graj mi, wciąż jeszcze graj,
Co ci podszepnie maj.
Najświeższą oto z róż,
Co ranne mgły owiały,
Najświeższą oto z róż
Dla ciebie zrywam już...
— O pani, nie każ mi
Tknąć srebrnostrunnej lutni,
O pani, nie każ mi
Wiosennych śpiewać dni.
Dość mi tych piosnek mdłych,
Wciąż tęskniej mi, wciąż smutniej,
Dość mi tych piosnek mdłych
Śpiewanych u nóg twych.
Królowo, w duszy mej
Przedziwne zaszły zmiany,
Królowo, w duszy mej
Wyczytać prawdę chciej.

Rwie mi się serce w świat,
W szeroki świat nieznany,
Rwie mi się serce w świat
Po plon młodzieńczych lat.
Bojowa surma gra,
Grzmią, wrą i kipią boje,
Bojowa surma gra,
Czem przy niej lutnia ma?
Tam pani daj mi iść,
Weź wszystkie kwiaty swoje,
Tam pani daj mi iść
Po krwawy lauru liść!...
O zorzy hufce szły
Ordynkiem z zamku bramy,
O zorzy hufce szły
Hen, z gór w poranne mgły.
W narożnej izbie tam
Królowa w oknie stoi,
W narożnej izbie tam,
Od dworskich zdala dam.
I duma, patrząc w dal,
I własnych dum się boi,
I duma, patrząc w dal,
Serdeczny tłumiąc żal.
U stóp królowej tuż
Milcząca lutnia leży,
U stóp królowej tuż
Najświeższa więdnie z róż.
A tam z podleśnej mgły
Wiatr niesie pieśń ku wieży,
Hen, tam, w podleśne mgły
Królowej płyną łzy...

*Czesław Jankowski.*

# ŚWIĘTA TOGA.

## LEGENDA LUDOWA.

Jak zakonowi był Jan Kanty wierny,
Tak był dla nędzy ludzkiej miłosierny.

Raz, gdy z kolegium śpieszył do kościoła,
Mróz był straszliwy; patrzy: człowiek leży
Skostniały wszystek, prawie bez odzieży,
Siność twarz całą obeszła od czoła.
Strapił się Kanty — nie było nikogo,
A więc zziębłego, co leżał nad drogą,
Jak mógł otulił własną swoją togą.
A gdy mszę cichą w kościele odprawił
Na tę intencyę zziębłego żebraka,
Uprosił ludzi, by znieśli biedaka.
Ale Bóg cudem dla Kantego sprawił,
Że gdy w to miejsce spojrzał ponad drogą
Miejsce na śniegu znacznie odtajało,
Lecz na ulicy nie było nikogo:
Znać ktoś go podjął, i dobrze się stało.
Lecz gdy Jan Kanty do swej celi wrócił,
Toga wisiała w swem miejscu na ścienie.
To się zatrwożył zrazu i zasmucił...
I wielkie było ludzi zadziwienie:
Bo cela była pod kluczem zamknięta,
To skąd się wzięła w celi toga święta?

Po dziś dzień jeszcze ta toga się chowa
U świętej Anny i w dziejach Krakowa
Słynie łaskami. I był zwyczaj stary:
Kiedy po Kantym obrano dziekana,

To po wyborze i mszy świętej z rana
Odwieczną togę na niego wkładano,
Aby Duch Święty zlał na niego dary,
Jakie Jan Kanty dał szkole na wiano.

Wskazują jeszcze miejsca na ulicy,
W których mąż Boży w miłosierdziu stawał,
I gdzie spotkawszy bosego człowieka,
Własne obuwie bez namysłu dawał,
Więc i oddawszy, pośpiesznie ucieka,
Nagie swe stopy przysłoniwszy togą,
Aby to jeszcze nie zgorszyło kogo;
Bo się to działo w zimie i po śniegu;
I wtedy tylko widziano go w biegu.

I lata biegły, i rosła nić złota
W cichem zakryciu świętego żywota.

*Wincenty Pol.*

---

## O PÓŁNOCY.

Północna ciszo! ileż w tobie głosu,
Kiedy cię biedne moje serce słucha.
Co zaumarłe pośród dni chaosu,
Dopiero nocą w życie się rozrucha
I wplata w swoją półsenną rozmowę
Nowe swe dzieje — boleści nie nowe.

Lub gdy mu troska dzisiejsza dokuczy,
Co się tak wbija, jak pazur jastrzębi;

I nim się niemi pogardzać nauczy,
Po kłębek wspomnień sięga do swej głębi,
Roztacza taśmy niby ujaśnione,
Choć także bólem i łzami kupione.

Północna ciszo! roztocz skrzydło swoje
I weź mię na nie, jak kwilące dziecię,
W sen mię skołysaj — bo marzyć się boję,
Boję się myślą wybiegać w to życie,
Co jeśli trafnie wywróżą początek,
Nic mieć nie będzie prócz łez i pamiątek.

*Kornel Ujejski.*

---

## OBŁĄKANA.

Obłąkana chodziła dziewczyna
W rozszumiały bór nocą miesięczną:
Gdzie najbujniej podszyta gęstwina,
Obłąkana chodziła dziewczyna...

Aż do leśnej krynicy samotnej —
Z konwią w ręku — przez dzikie ostępy
Przedzierała się w chaszczy wilgotnej —
Aż do leśnej krynicy samotnej...

I łapała odbicie miesiąca
Konwią swoją z bieżącej krynicy;
Ponad wodą chyliła się drżąca
I łapała... odbicie miesiąca...

*Bronisława Ostrowska.*

---

# SZKLANA GÓRA.

Marzy mi się wyspa na jeziorze:
Na dalekiem, szumiącem jeziorze,
Gdzie u brzegów senne fale mrą.
W zwierciadlane ramy wód ujęta,
Złotą ciszą od świata odklęta,
Porośnięta cała maków krwią.

Purpurowy kwietny łan się chyli,
Na nim stada żałobnych motyli —
Zatracony, oszalały rój —
A dokoła tafla wód szumiąca
Odzwierciedla złoty pożar słońca,
Lub kołysze chmur skłębiony zwój.

Ponad maków dyszącą czerwienią
Szklanej góry kryształy się mienią,
Szklanej góry lśniący świeci zrąb:
W zwierciadlane tafle wód ujęta,
Złotą ciszą od świata odklęta,
Strzela szczytem w modrą nieba głąb.

Zamek cudu tęczą na niej świeci —
Czarodziejski złoty sen stuleci,
Gdzie pod niebem śni królewna cud. —
Promień słońca w oknie zamku przędzie
I pieśń rzuca na wyspy krawędzie,
Na dalekie, szumne głębie wód.

Promień słońca na złotej kądzieli
Raz wraz skrami pod jej ręką strzeli,
Raz wraz ptakiem się poderwie pieśń;

W smutnych oczach łzawy blask migota,
Ptakiem z piersi zrywa się tęsknota
Za uroczną szklanych komnat cieśń.

Krwawo gaśnie niebo na zachodzie,
Żar się złoty płomieni na wodzie:
W szklanej górze miljon świeci słońc!
W złotem oknie królewna się słania,
Śpiewająca wieczny hymn kochania
Nieprześnione swe zaklęcie śniąc.

*Bronisława Ostrowska.*

---

## OMAN ZIELE.

W wielką ciszę, w wielką ciszę
Szklana trumna się kołysze.

Przy królewnie, swej umarłej,
Rozmodlone klęczą karły.

A nad łożem z łez i tęczy
Złoty łańcuch ciężko brzęczy:

Wiekuistą pieśń tęsknoty
Ciężko brzęczy łańcuch złoty.

Sen skrzydlaty, sen czekania
W szklanej trumnie skrzydła słania:

Skroś kokonu tęcz przędziwa
Żywy motyl w lot się zrywa.

Trzepot serca bije w ciszę...
Szklana trumna się kołysze.

A na oczach mgłą się ściele
Oman ziele, oman ziele.

*Bronisława Ostrowska.*

---

## CMENTARZ W SANDOMIERZU.

LEGENDA.

---

Do ziemi słońca, do ziemi Włochów,
Gdzie rośnie laur i kwitnie ryż,
Z rozwalin Romy, z pogańskich prochów,
Wzniósł się najwyższy Chrystusa krzyż.
Idą pielgrzymi z dalekiej ziemi,
A skoro w święty wstąpili gród,
Długiemi brody, szaty długiemi
Dziwią ciekawy Rzymianów lud.
I otoczeni narodu ściskiem
Do Watykanu dochodzą bron,
Który się wznosi ponad mrowiskiem
Domów wysoko, jak Boży tron.
Furtyan pyta: »Z dala posłowie?«
Usty mu płynie latyński miód.
— »Idziemy z kraju« — starszy odpowie —
»Gdzie się rozsiedlił Sarmatów ród«.
— »Witamy posłów ludu onego,
»Który, acz zimny zamieszkał ląd,
»Gorąco kocha Chrystusa swego,
»Słuszną po świecie sławę ma stąd«.

Poselnik prawi: »Ku Bożej chwale
»Kościół buduje Zygmunt, nasz Pan,
»I stoją ściany na stromej skale,
»Krzyż odkupienia połyska z ścian.
»Kościół opatrzon pańską szczodrotą,
»Trójcą swych wieżyc dosięga chmur,
»Ołtarze cudną świecą robotą,
»Jest kazalnica i złoty chór,
»I cały kościół kuty z kamienia,
»Ładnie opasan parkanem drzew —
»I dotąd nie ma swego święcenia,
»Ani kapłański ozwie się śpiew.

»Więc gwoli króla my do Papieża
»Idziem i prośbę podnosim wraz
»O dar relikwii i drzazgę krzyża,
»Na którym konał Zbawiciel nasz.
»Boć wiara uczy: Relikwii szczątkiem
»Otrzyma kościół święcenia chrzest;
»Bóg jest świętości wszelkiej początkiem,
»W który dom wejdzie, wiecznie w nim jest«.

Odźwierny pojął wysłańców sprawę,
Izbę spoczynku wskazuje im,
Sam do Papieża. Posły ciekawe
»Co będzie?« gwarzą językiem swym.

Wszakże niedługo furtyan bawi,
Do poselników powraca sam
I rzecze: »Papież was błogosławi;
»Przez moje usta wskazuje wam:
»Idźcie do kraju, do Sandomierza,
»Z cmentarza ziemi przynieście kosz«.
Posłuszne posły woli Papieża
Idą, w skarbonę złożywszy grosz.

Alić zaledwie lato upłynie,
Wtórym zawodem do Romy świętej
Wchodzą posłowie, a niosą skrzynię
Ziemi, z onego cmentarza wziętej.

W hymn ponieszporny grały organy;
Papież wysoko na swej stolicy,
Dokoła naród tłumnie zebrany,
W tłumie narodu polscy pątnicy.
Wedle rozkazu, gdy się zbliżyli,
Przed złoty Ojca świętego tron,
Papież przemówił: »Słuchajcie, mili
»Posłowie onych dalekich stron!
»A co wypowiem, królowi nieście:
»Mnogie relikwie ma w kraju swym;
»Jest w Sandomierzu, w tem starem mieście,
»Cmentarz — relikwią ziemia jest w nim!«
Podjął garść ziemi. Ziemia, ściśnięta
Dłonią Papieża, pociekła krwią...
»Patrzcie! męczeńska krew to jest święta!
»Waszą relikwią zowijcie ją!«

*Adam Gorczyński.*

## DZWONY.

A te dzwony! te dzwony!
Gdy zabrzmią wśród błękitu,
Po ziemi i po murach
Idą dreszcze zachwytu.

Aż do najdalszych kresów,
Aż po chatki rybacze,
Miasteczko drży i dźwięczy,
I modli się, i płacze...

Gdy ich serca przed sumą
Rozkołysze niedziela,
Przysiągłbyś, że to w chmurach
Anielska gra kapela.

Brzmią tam basy głębokie,
Wiolin brzmi fletowy,
Dźwięki spiżu, kryształu
I ust lubych wymowy.

Pod wieczór, już smętniejsze,
Ciszej na nieszpór dzwonią,
Jak gdyby odurzone
Kadzideł mocnych wonią.

A jak dym z trybularza,
Tak melodya senliwa
W letnim, przejrzystym mroku
Powoli się rozpływa.

Gdy kto z mieszczan do Boga
Z ziemskiej wraca tułaczki,
Dzwony nad jego trumną
Rozpaczają, jak płaczki.

W pomieszanym ich chórze
Dziwne wówczas brzmią głosy:
Dźwięczy rydel grabarza
Szczęka krzywa stal kosy.

Niekiedy sygnaturka,
Jak przelękła ptaszyna,
Głosem drżącym, zdyszanym
Jęczeć w górze poczyna.

Kto w mieście ją usłyszy,
Zamyśla się i lęka;
Kogo doleci w domu —
Przed obrazami klęka.

Wie każdy, że to gasną
Czyjegoś życia zorze,
Że ktoś w cichem miasteczku
Kona — skonać nie może...

Inny jest jeszcze śpiewak
Rozgłośny, chociaż mały,
Co oprócz letnich skwarów
Świegocze przez rok cały.

Co rano, w mgłach jesieni
Wśród zimowych mroków,
Do szkoły do nauki
Woła dziatwę z obłoków.

Gdzie ty, chłopiąt drużyno,
Coś na owy głos biegła?
Połowę życie zgięło,
Połowa w grobach legła.

Jednych wiek okamienił,
Innym pobróździł czoła,
A w górze ptak śpiżowy
Wciąż tych i tamtych woła...

Miasteczko sypia twardo
Odmówiwszy pacierze,
Bo wie, że św. Floryan
Od przygody go strzeże.

Jednak czasem, w noc późną,
Zrywa się w nagłym lęku —
Pełne blasku ma izby,
Powietrze pełne jęku.

Dzwon wielkim głosem płacze,
Płacząc, jak człowiek gada;
W ciszy słychać wyraźnie:
»Wstawajcie! Biada! biada!«

Rozpacz głośna i skarga,
Niebo biorą na świadka —
Tak nad dziećmi boleje
Z rozdartem sercem matka...

Ale najboleściwiej
Brzmi muzyka wieżowa,
Gdy się za dachów szaniec
Słońce gasnące chowa.

W tej porze uciszenia,
Gdy głosy ziemskie drzemią,
Dzwon modlić się poczyna
Za tych, co śpią pod ziemią.

Za porwanych jak liście
Życiowym huraganem,
Co spoczęli bez krzyża
Pod głazem lub kurhanem,

Za tych, których zaraza
Zmiotła tchnieniem złowrogiem,
I co zeszli ze świata
Niepojednani z Bogiem.

Wieczornej zorzy odblask
Maluje krwawo mury,
I rzeka, szemrząc, niesie
Drżące plamy purpury.

Krzyż na wieży kościelnej
Połyskuje ogniście
I rosa sypie perły
Na sennych krzewów liście.

Ucichły kłótnie praczek
I dziatwy bosej krzyki,
Krów tylko wracających
Smętne słychać poryki.

Nawet ogród publiczny
Tajemnym uległ czarom:
Coś śmiechy więzi w ustach
Rozchichotanym parom.

A czułe serce dzwonu
Wciąż uderza miarowo
I pieśnią brzmi potężną,
Chociaż jednotonową.

A razem z dzwonem ludzi
I drzewa i kamienie
I miasto szepce całe:
»Wieczne im odpocznienie...«

*Wiktor Gomulicki.*

# SKARB.

## LEGENDA IZRAELSKA.

Był rabbi bardzo mądry i — ubogi...
Bardzo ubogi i bardzo szczęśliwy.
Ubóstwa jego proste były drogi,
I jak Eliasz pod cieniem oliwy,
Tak on, którego włos już wieńczył siwy,
Pod ducha swego spoczywał prostotą,
Mądrość mu była i szczęściem i cnotą.

Rabbi miał żonę, lecz w piersiach kobiety
Nie mieszkał taki duch spokojnej siły;
To też w niej często, o często, niestety!
Spełzłych pożądań żale się budziły,
Smutno jej było odejść do mogiły
I przebyć wrota tajemnicze zgonu,
Ziemskich dostatków nie uszczknąwszy plonu.

Stąd nieraz ciężko została zmącona
Pogodnych myśli mędrca błogość cicha;
Serce się nieraz ścisnęło wśród łona,
Skoro usłyszał, jak żałosna wzdycha.
— »Jakżeż — narzeka — dola nasza licha!
Twa mądrość nic nam nigdy nie przyniosła:
Czemuś mieć nie chciał innego rzemiosła?«

Rabbi mógł rękę podnieść i milczenie
Mógł płochym ustom nakazać, surowy;
Jako w bezbożnych lud miota kamienie,
Tak mógł groźnemi uderzyć w nią słowy,
Ażby mu, do nóg pochyliwszy głowy,

Złożyła ciche wyznanie pokory,
Że duch w niej mały jest i pychą chory.

Ale ów mędrzec miał serce litośne,
I kochał tkliwie tę, co go dręczyła;
Pamiętał jeszcze, jak mu życia wiosnę
Miłości swojej kwieciem ukrasiła,
Jako mu wdzięczna, jako była miła,
Gdy słodsze, niźli rajskiej rzeki miody,
Pocałowania ust jej spijał młody.

Więc ukołysać chciał żałość niebogi,
Chciał coś uczynić, by była szczęśliwa,
I rzekł jej: — »Żono! skarb niezmiernie drogi
Pod naszym nizkim dachem się ukrywa,
Lecz pozór rzeczy często zwodnym bywa,
I pewno nie wiesz, jak wielce jest cenny
Sabatu świecznik nasz siedmio-ramienny?

»Za nędzny mosiądz brał go wzrok twój słaby,
Zwiedziony starej prostoty robotą,
Lecz mógłby jaśnieć przed królową Saby,
Jako Ofiru najprzedniejsze złoto.
Tajoną prawdę odkrywam ci oto:
Dotąd za święte służył nam naczynie,
Dzisiaj ci z niego skarb szacowny czynię«.

I stał się skarbem... Błyszczące źrenice
Wlepiła w niego niewiasta wzruszona;
Bogactwa swego znając tajemnice,
Radosną dumę uczuła wśród łona.
Jakby małżonką była Salomona,
Schylone czoło wysoko podniosła,
I tak chodziła w szczęściu swem wyniosła.

A kiedy doszła kresu ziemskiej mety,
Śmierć ją spokojnie pogodną zastała:
Nie było skargi na ustach kobiety
Na żywot, który ubożuchnym miała.
Tylko gdy dusza uchodziła z ciała,
Z łagodnym smutkiem rzekł jej mędrzec siwy:
— »Idź tam, gdzie poznasz, co jest skarb prawdziwy!«

*Marya Ilnicka.*

---

## KAMIENNE BOŻYSZCZE.

Starzec z kamienia ciosany,
Długo-brody, straszno-licy,
Siedział przyparty do ściany,
W progu pogańskiej świątnicy.
Na jego brodę, na głowę,
Zamróz zawieszał swe igły;
Z brwi zwisły sople lodowe,
Ręce jak trupie zastygły.
Na silnych barkach u dziada
Śnieg złożył ciężar niemały,
Na szacie, co z nóg mu spada,
Fałdziste pręgi bielały.

Młodzi, swawolni duchowie
W wesołej a pustej chwili,
Siadając na jego głowie,
Żarty ze starca stroili:
— »Cóż z twoim stało się duchem?
»Czego się trzymasz pochyło?
»Rzeźbiarz chciał ciebie mieć zuchem,

»Lud chce uklęknąć przed siłą.
»Tyś zziębły, tyś cały w lodzie,
»Coś nakształt ziemskich nędzarzy;
»Lodu nie zgarniesz na brodzie,
»Śniegu nie otrzesz z twej twarzy.
»Patrz tylko na nasze czoła!
»Krew w całej uderza sile,
»Na sercu dumka wesoła,
»U ramion skrzydła motyle!
»A gdy, latając szczęśliwi,
»Trafim na mroźne powietrze,
»Ruch skrzydeł krew nam ożywi
»I śniegi z piersi nam zetrze:
»Zakrzepną czasem rączęta,
»Przychodzi płakać, jak dziecię,
»Bo i duch czasem pamięta,
»Że są zawieje na świecie;
»W duchu wre życia potęga,
»Co bóle z serca rozproszy;
»Kuty z kamienia ciemięga
»Nie dozna takich rozkoszy!«

Z kamiennej otchłani łona
Dziad uroczyście odpowie:
— »Dziatwo, ty dziatwo szalona,
»Starej urągasz się głowie:
»Głowa, co, wieki przeżywszy,
»Zakamieniała w zadumie,
»I w myślach uczuć ruch żywszy,
»I chłody wytrzymać umie
»Wiekowe dumań mych cele
»Nie jednodniowa pogoda!
»A więc się troszczę niewiele,
»Że lodem skrzepła mi broda.
»Kiedy, latając wśród ludzi,

»Stracicie życia mamidła,
»Gdy się wasz zapał ostudzi,
»A chłód zawarzy wam skrzydła —
»Siądźcie na głaz, co was ziębi,
»Ufając jego pociesze;
»Z kamiennej piersi mej głębi
»Ciepłą wam iskrę wykrzeszę«.

*Władysław Syrokomla.*

VII.

## ANIOŁ PAŃSKI.

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

W wieczornym mroku, we mgle szarej,
idzie przez łąki i moczary,
po trzęsawiskach i rozłogach,
po zapomnianych dawno drogach,
zaduma polna, Osmętnica...
Idzie po polach, smutek sieje,
jako szron biały do księżyca...
Na wód topiele i rozchwieje,
na omroczone, śpiące gaje,
cień, zasępienie od niej wieje,
włóczą się za nią żal, tęsknica...
Hen, na cmentarzu ciemnym staje,
na grób dziewczyny młodej siada,
w świat się od grobu patrzy blada...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...

Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

Na wodę ciche cienie schodzą,
tumany się po wydmach wodzą,
a rzeka szemrze, płynie w mrokach,
płynie i płynie coraz dalej...
A coś w niej wzdycha, coś zawodzi,
coś się w niej skarży, coś tak żali...
Płynie i płynie, aż gdzieś ginie,
traci się w górach i w obłokach,
i już nie wraca nigdy fala,
co taka smutna stąd odchodzi,
przepada kędyś w mórz głębinie
i już nie wraca nigdy zdala...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

Szare się dymy wolno wleką
nad ciemne dachy, kryte słomą —
wleką się, snują gdzieś daleko,
zawisną chwilę nieruchomo
i giną w pustem gdzieś przestworzu...
Może za rzeczną płynąc falą,
polecą kędyś aż ku morzu...
A mrok się rozpościera dalą
i coraz szerzej idzie, szerzej,
i coraz cięższy, gęstszy leży,
zatopił lasy, zalał góry,
pochłonął ziemię do rubieży,
na niebie oparł się ponury...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

Idzie samotna dusza polem,
idzie ze swoim złem i bolem,
po zbożnym łanie i po lesie,
wszędy zło swoje, swój ból niesie,
i swoją dolę klnie tułaczą
i swoje losy klnie straszliwe,
z ogromną skargą i rozpaczą
przez zasępioną idzie niwę...
Idzie jak widmo potępione,
gwiżdże koło niej wiatr i tańczy —
w którą się kolwiek zwróci stronę,
wszędzie gościniec jej wygnańczy — —
nigdzie tu miejsca niema dla niej,
niema spoczynku, ni przystani...
idzie przez pola umęczona,
łamiąc nad głową swą ramiona...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...

*Kazimierz Przerwa-Tetmajer.*

---

## Z PIEŚNI LITEWSKICH.

— »Czegoś smutny, ojcze stary?«
— »Wyprawiłem syna mego,

Wyprawiłem na Tatary
Syna mego jedynego.
Wąs mu jeszcze nie wypłynął,
W pierwszej teraz będzie bitwie,
Drży mi serce, by nie zginął
Lub nie zrobił wstydu Litwie«.
»Śmiało, synu mój,
Przy chorągwi stój!
Myśl o kraju, nie o sobie.
A jeśli cię zły los spotka,
Za ojczyznę śmierć jest słodka,
Będziesz wspominan w grobie«.

Powrócili towarzysze,
Powrócili przyjaciele.
— »Gdzie jest syn mój? niech usłyszę!«
— »Syn twój wszędzie jest na czele.
Gdzie proporzec swój rozwinie,
Gdzie się mieczem swym zamierzy,
Krew tatarska rzeką płynie,
Broń tatarska mostem leży«.
— »Dobrze, synu mój!
Walczysz za kraj swój,
Chwała mnie i tobie!
Choćbyś zginął, dosyć żyłeś,
Jeśli, żyjąc, zasłużyłeś
Być wspomnianym w grobie«.

— »Ciesz się, starcze! w synach Litwy
Pamięć twego nie zaginie.
Kurhan jego w polu bitwy
Jako góra na równinie.
Nie z darniny, lecz z turbanów,
Nie z kamieni, lecz z głów chanów,

Nie z piasku, ale z popiołu
Jeńców spalonych pospołu«.
— »Dzielnie, synu mój!
Ległeś za kraj swój.
Kraj płacze na twym grobie!
Jak się twą chwałą nacieszę,
Ja też za tobą pośpieszę
Powiedzieć o niej tobie«.

*A. E. Odyniec.*

## OSTATNI LIST HANUSI.

»Kochany Jerzy mój! Pisę tu stela
ten list do tobie, ale jus nie płacę.
Co ma być, będzie. Wolno się zabiela
świat, śniegi lecom, we dźwierze kołace
śmierzć. Jus jej cekom na pościeli kiela
cas, serce lewdy puka, oddech tracę,
śmierzć ponade mnom stoji, tyś daleko —
nie płynom z ocu łzy — we wnątrzu pieką.

Dziś bez noc całom cosi sie mi śniło,
jakby umarli powstajali z grobu,
ci, co nom w zyciu było ś niemi miło,
downi znajomi; jo im z ręcy obu
kwiatki dawała, pote pod pochyłą
góre kajś ś niemik sła, ani sposobu
wypedzieć, ani to pomyśleć kany?
W jakisi jasny świat, wycarowany...

Znowa ci ludzie przychodzom zaś zdala,
w izbie na ławę rzędem posiadali:
Sabała, Maciek Siecka, stary Wala,
Giewont, Słodycka, Krzyś — tacy spaniali
jacysi... I ten, co go jus przywała
ziem, ten pon Adaś, coście wroz chadzali
w góry, tys przi nik... Z grobów powstaneni
i haw na ławę siedli — kerdel cieni...

Grajom. Na flecie Siecka, na gęślikak
siwy Sabała; Słodycka, Krzyś zasię
na skrzypcak. Cudnie, bo na tyk muzykak
światło, jak w grocie Magórskiej miga się.
Grajom, a nic ig nie słychno... Po smykak
błyskajom iskry, jako na sałasie
w nocy. Pełniućka izba tego grania —
cy w dusy mojėj gra? Tak do skonania?

Cy prziśli do mnie twoji przyjociele
i towarzisia?... Tak mi bedzie milij
wstać do wiecności z tej smutnėj pościele,
kie mi dusami swemi prziświcili...
Hej Jerzy, Jerzy! Jus mi na kościele
zwon cicho sumi... Od kwili do kwili
cas gna, a tobie niėmas blizko kany,
mój złociusieńki i umiėłowany!...

Hej Jerzy, Jerzy! Joby jesce wstała,
jesce roz! W góry! Jescebyk ozparła
pierś! Jesce rozbyk we świat zaśpiėwała!
Jesce na echo roz! W przepaści garła!
Jesce do wiėrchów roz! W jeziora!... Cała
dusa-by moja se mnie sie wydarła!
Jesce roz w lasy! W Dónajec! W potoki!
Jesce roz, Jerzy! Jesce roz w obłoki!

Hej Jerzy, Jerzy! Jesce roz! Podź se mnom!
Hań na tej grani staniemė oboje!
Hha! Jaka przepaść! Jaki zryw pode mnom!
Hha! Jaka wezgłąb! Jak na hmurze stoję!
Jerzy! Dej renke! Kopnij prec tę ziemnom
rówień! Prec, mówiem! W górę obidwoje,
w górę! Nad wody! Nad lasy! Nad hale!
W górę, hań, w górę, my oba Górale!

O Jerzy, Jerzy! Taki wej sie zbliza
koniec Hanusi twojėj... Oni cichną.
Nic jus nie słysę, lem byś pedział: krziza
ramiona sumią kajsi — w wietrze słychno...
O Jerzy! Głowa na pierś sie uniza,
oni sie syćka wraz ku mnie uśmiėchną,
wstali i idom, a kiwiom głowami,
jakby mi fcieli pedzieć: hybaj s nami!...

Bydź zdrów! Jo jedna miėłowała tobie!
Kaś był, coś robił: jo s tobom sła wsendzie!
Prziłozys ucho kie na moim grobie:
z grobu sie jesce samo to dobendzie.
Być zdrów! Twój smutek jo w te rence obie
ziembnonce bierem; co cie boleć bendzie,
co cie bolało: ja zgarniam do rency
i w to me serce wciskam, co sie męcy...

Jo tobie jedna tutok miėłowała!
Tyś sie po świecie tulał, jak pijany!
Sytkie boleści twoje jo przeznała,
a cichok bėła, jak kwiat popod ściany...
Jo w sercu mojėm lo tobie sukała
rady, pociechy; sukałak cie, kany
tyś bywał ino i słałak ci w droge
mojego serca uśmiėch... Coz jo moge?...

Ale ty, Jerzy, słys! Jest jesce świeze
limby w dolinie hań, popod Wysoką:
siądź se pod niemi, a myśl, ka ja leze
w carnom i głuchom ziem wbita głęboko.
Tamjeś ty se mnom był... Z wirchu, od wieze
wysokiej spadnie wiatr, chyć go séroko
w piersi i na grób prznieś mi, ten w scycie
zrodzony wiater hań — wysy, niz zycie.

Jo go fcem w grobie cuć! My oba byli,
jak duhy górskie, jak orły z cichości;
tam, kany ludzie dojść nie dośmielili:
tam my swe myśli mieli i radości.
Dzisiok hań pustki som, śnieg, jastrzomb kwili,
pustać... Stamstela do nieba noprości.
To jo myślała nieroz. Coz — hań z progu
skalnego ino ręke trza dać Bogu.

Idze hań jesce kie, pod Batyzowski,
idź w te doliny, ka kwitnom leluje,
na kwile smutki odegnoj i troski,
a taki ino bydź, jak wiatr, co duje.
Jo cie kochała tak! Jo z mocy Boskiej
popatrzem na cię wte, serce pocuję.
Jo cie kochała tak! Nie rozumiała,
alek kochała tak — z duse i z ciała.

Jo wtedy w ocak twyk widziała świecić
jakisi cudny blask, jako z pohodnie;
jo wtedy myśli twe widziała lecić
wysy, niz Tatry, niźli gwiazdy wschodnie:
jo wtedy watre rada była niecić,
gotowić jeść i pić, cobyś ślebodnie
myk niesłysęcy słów śmigał głębiną — —
nie rozumiałak nic — kochałak ino...

Bydź zdrów! Dalekoś kajsi!... Tu do łózka
nie przidzies stanonć... Bydź zdrów! Nieg ci Boza
ręka pozegna!... Ginem, jako muska,
jak liść zbielały z buka; hań, w bezdroza
wiater poniesie nas — coz jo? Dziś słuzka
śmierzci — kiedysi kwiat — nic... Dzika róza,
zerwana kiejsi hań — — w cichej polanie,
w miesięcnom jasnom noc — — na halnym sianie...

Na tę polanę idź — — jesce hań rosnom
same té kwiaty pod kosodrzewiną;
na tę polanę idź — z wstajęcom wiosnom —
na tę polanę idź — tam bedzie ino
z nieba mej dusy droga — — a w załosnom
śmierzci godzine twéj patrz — za przicyną
Maryji Panny z nieba ci spaść musi
róza do zimnych ust — od twej Hanusi...«

*Kazimierz Przerwa-Tetmajer.*

## REZYGNACYA.

SONET.

Nieszczęśliwy, kto próżno o wzajemność woła;
Nieszczęśliwy jest, kogo próżne serce nudzi;
Lecz ten u mnie ze wszystkich nieszczęśliwszy ludzi,
Kto nie kochał, że kochał, zapomnieć nie zdoła.

Widząc jaskrawe oczy i bezwstydne czoła,
Pamiątkami zatruwa rozkosz, co go łudzi;
A jeśli wdzięk i cnota czucie w nim obudzi,
Nie śmie z przekwitłem sercem iść do stóp anioła.

Albo drugimi gardzi, albo siebie wini;
Minie ziemiankę, z drogi ustąpi bogini,
A na obiedwie patrząc, żegna się z nadzieją;

I serce ma podobne do dawnej świątyni,
Spustoszałej niepogód i czasów koleją,
Gdzie bóstwo nie chce mieszkać, a ludzie nie śmieją.

*Adam Mickiewicz.*

## DANAIDY.

SONET.

Płci piękna! gdzie wiek złoty, gdy za polne kwiaty,
Za haftowane kłosem majowe sukienki,
Kupowano panieńskie serduszka i wdzięki,
Gdy do lubej gołębia posyłano w swaty!

Dzisiaj wieki są tańsze, a droższe zapłaty.
Ta, której złoto daję, prosi o piosenki;
Ta, której serce daję, żądała mej ręki;
Ta, którą opiewałem, pyta, czym bogaty.

Danaidy! Rzucałem w bezdeń waszej chęci
Dary pieśni i we łzach roztopioną duszę;
Dziś z hojnego jam skąpy, z czułego szyderca.

A choć mię dotąd jeszcze nadobna twarz nęci,
Choć jeszcze was opiewać i obdarzać muszę,
Lecz dawniej wszystko dałbym, dziś wszystko prócz — serca.

*Adam Mickiewicz.*

# DZIEŃ DZISIEJSZY.

(WYJĄTKI).

Możem ja zasnął — umarłem już może,
Dajcie mi pokój, przyjaciele moi:
Próżno mnie wskrzeszać — nic mi nie pomoże,
Nikt rany mojej pod niebem nie zgoi.

Jam bardzo smętny, jam bardzo znużony,
A jednak muszę pójść tą drogą ciemną,
Kędy z was żaden nie pójdzie dziś ze mną.
Zdejmcie mi z serca waszych uwag szpony.

Dajcie mym skrzydłom wybujać z tych cieśni.
Już i tak długo byłem z wami razem:
Wy życia tylko rozbitym obrazem,
We mnie brzmią głosy nieznanej wam pieśni.

Na co czekacie? Czegoż jeszcze chcecie?
Czy żebym przyznał, że dobrze na świecie?
Czy żebym płakał, że umieram młody,
Lub też zapragnął pośród ludzkiej trzody

Zostać i starzeć — zaprządz się do pługa,
Wić się po ziemi, jak ucisku sługa,
Czuć tylko w nocy — w dzień działać inaczej?
Niech Bóg wszechmocny przebaczyć wam raczy...

Czemu patrzycie takim dziwu wzrokiem,
Jakbym was urzekł szaleństwa urokiem?
Ja brat wasz — człowiek — ja na was spozieram
Z miłością brata — i cicho umieram...

Darmo z natchnieniem czyn pogodzić chciałem,
Ciało w myśl natchnąć i myśl stworzyć ciałem;
Ach! nie czas jeszcze z lotnej marzeń wstęgi
Snuć węzły życia i wieńce potęgi!

Nad grobem świętym — nędznych waśni sporem,
Nie Chrystusowym płomieniem my gorem;
Jedni w bojaźni swej się zasklepili,
Drudzy żądają gwałtu w każdej chwili...

Jam ciężko grzeszny — wyznaję — o bracia,
Bom dał zamieszkać w sobie tej żałości,
Co z czucia wkońcu w krew się przepostacia
I myśl zatruwa, przewciela w szpik kości.

Mnie smutek zabił — mnie gorzkie koleje,
Mnie gwałt namiętnych nieskończonych marzeń,
Mnie krok leniwy ognuśniałych zdarzeń,
Mnie te dni naszych wciąż tak podłe dzieje!

Jam pił zanadto z krynic mętnych łzami,
Za dużo trumien przeszło mi przed wzrokiem.
Wiek wołał: »czekaj«, rok ciągnąc za rokiem,
Codzień świeżemi witał mnie trumnami!

Wszystko, com kochał, w ziemi pogrzebałem,
Miłości moich krzyże tam na błoniach,
Gdzie blade jeźdźce śpią przy śpiących koniach,
Z godłem na piersiach sennem, krwawem, białem.

Gdzie leżą w węgiel rozsypane chaty,
A w bagnach rosną niezabudek kwiaty,
I czajka woła, jak wprzódy, na dzieci,
I słońce cicho nad równiną świeci...

Ach, teraz wszystkie, wszystkie te obrazy
Walą się na mnie, jak grobowe głazy!
Mówcie mi, bracia, spokojnie pacierze —
W ostatnich skonu podrzutach już leżę...

*Zygmunt Krasiński.*

---

## XIX-MU WIEKOWI.

Wieku bez jutra, wieku bez przyszłości,
Co nad przepaścią stanąłeś ponury!
Nauczycielu zgrozy i nicości,
Coś wziął ludzkiego ducha na tortury!
Wieku zwątpienia, o wieku niewiary!
Jakże ty strasznym jesteś dla cierpiących!
Sfinksową twarzą patrzysz na ofiary,
Szyderstwem żegnasz w męczarniach ginących,
Śląc im do grobu te słowa najkrwawsze:
»Wszystko skończone, giniecie na zawsze!«

Na co się przyda, mistrzu, twa nauka,
Na co się przyda dla błądzącej rzeszy?
Gdzie masz pociechę, której ona szuka?
Gdzie masz tę miłość, która ją rozgrzeszy? —
Dałeś jej ziemi obszary jałowe
I dożywotnie dałeś jej dziedzictwo,
Ale zabrałeś najlepszą połowę:
Idealnego świata uczestnictwo!
Choć jasne źródła stoją jej otworem,
Ona z nich przecie rozkoszy nie czerpie,

I woła, sercem upadając chorem:
»Poco ja żyję, umieram i cierpię?«

*El...y.*

---

## PROŚBA O PIĘKNĄ ŚMIERĆ.

Chciałbym umierać gdzieś na barykadzie,
Po nocnym boju, gdy poczyna dnieć,
I patrzeć w zorzę, gdy się złotem kładzie
Na zwyciężoną długich mroków sieć;
Przed rankiem ducha i ciała noclegiem
Pomiędzy jednym a drugim stać brzegiem —
I obu światów słońce w sobie mieć.

Chciałbym umierać, jak marzyłem z młodu,
Słysząc nad głową chorągwiany wiew
I tryumfalną pobudkę narodu,
Zamiast wawrzynu za wylaną krew,
Urwane strzały, konające w echu...
I czar swobody w ostatnim oddechu,
Którym się kończy dziwny życia śpiew.

Chciałbym umierać taką śmiercią piękną,
Jak odkupienie szarych doli win,
Niech sny młodzieńcze zlecą się i klękną,
Ostatnią piosnkę obaczywszy: czyn!
Ostatnia piosnka, krwią pisana własną,
Niechaj mi duszę wybieli tak jasno,
Bym do gwiazd czysty wrócił z ziemskich glin..

Chciałbym umierać, wiedząc, że dla świata
Idzie szaleństwa i tęsknoty kres,
Że nad bagniska duch ludów ulata
Z krwią czerwonego oceanu łez.
Niech wtedy wiosna róż odchyla pąki,
Niech lecą w błękit zwiastunne skowronki,
A na mogiły sypie kwiatem bez...

Chciałbym umierać w tej ostatniej bitwie,
Która zabije wszystko życia zło
I będzie przeto podobna modlitwie,
Bo wróci Bogu duszę, świecie, twą:
Raz wtóry ducha tryumfem zbawiony,
Wzdrygniesz się, widząc cierniowe korony
Na archaniołach, co za ciebie mrą!

Chciałbym umierać pewny, że się zbudzę,
W nieskończoności wolny, lotny duch,
Co, przelatując na świetlistej smudze,
Ujrzy na ziemi nowy życia ruch
I w wyzwolenia krainie dalekiéj
Z tem, co ukochał, związany na wieki
Świat sobie jeden stworzy z światów dwóch...

*Or-ot.*

## ŻYDÓWKA.

Od brzegów Afryki, od brzegów Hiszpanii,
Dwa razem okręty wybiegły z przystani,
Na błękit od słońca jaskrawy;

Wesoło majtkowie żeglują po wodzie...
Och! niechaj się w swoim nie zdybią pochodzie,
O Boże, te obie nawy!

Tam z masztów korsarskich lśni księżyc dwurożny,
Tu rabin z Kordowy, Ben-Mojżesz pobożny,
Do braci w kraj płynie odległy;
Grosz darów pobożnych gromadzi po świecie,
A grosze, zebrane w rabina kalecie,
Na kościół Jehowy to cegły.

Z nim młoda małżonka trud dzieli podróży,
Oblicza urodą podobna do róży,
Co kwitnie na błoniach Saronu,
A duchem swym smętnym, wyniosłym, przeczystym,
Do owych cór judzkich, co bólem ojczystym
Płakały u rzek Babilonu.

I siadł na pokładzie Ben-Mojżesz z Rebeką,
To wzrokiem po fali, po złotej powleką,
To w sobie oczyma utoną.
On mówi: »Jehowę niech język mój chwali,
Że dla mnie tułacza wśród lądu i fali
Dał ciebie, o luba ma żono!«

I mówił: »Najmilsza, już wkrótce mój święty,
Mój wielki cel życia obaczę dopięty,
Ostatniej wędrówki to trudy,
Na ziemi wygnania w hiszpańskiej Kordowie
Wspaniałyż przybytek wystawi Jehowie
Pielgrzymi, żebrzący syn Judy«.

Na nawie afryckiej, polotem obłoku
Szybuje tymczasem El-Hassan z Maroku,
Najchciwszy, najdzikszy z korsarzy;

Za łupem po fali oczyma pogonił,
Przed blaskiem słonecznym skroń ręką osłonił,
Na maszcie, jak mewa, się waży.

»Jest połów!« — wykrzyknął, na pokład się zsunął —
»Ho, hura, do wioseł!« — jak orzeł już runął
Na okręt pod flagą hiszpańską.
Daremny był opór: załoga spętana,
Ben-Mojżesz uczony już jeńcem Hassana,
Rebeka już branką pogańską.

»Ho! połów nielada! O piękna Żydówko!
Nim sułtan mi za cię zapłaci gotówką,
Niech twoja uroda huryski
Wprzód moje miłosne zapały ugasi...
Och! cudnyż ten szkarłat, co lica ci krasi,
I w oczach twych gniewu te błyski«.

»Pójdź do mnie! pójdź do mnie!« i w żądzach rozpasan
Zuchwałem ramieniem już sięga El-Hassan,
Już w swoich objęciach ją trzyma...
Krzyknęła, wydarła się z szponów korsarza,
Spojrzała, jak lwica, co wzrokiem zatrważa:
»Ratunku!« — ratunku tu niema!

Szyderczo się śmieją u wioseł enuchy;
Szczęknęły u masztu rabina łańcuchy,
U stóp jej fal szumią otchłanie;
Więc wzrokiem rozpaczy do męża się zwróci:
»Mojżeszu! kto w morza przepaści się rzuci,
Czy w Panu ten zmartwychwstanie?«

Stał blady u masztu, bez głosu, bez ruchu,
Nie widać z oblicza tej walki, co w duchu
Sto uczuć to wznieci, to zgnębi.

Wzrok podniósł na żonę i spuścił na wodę,
I rzekł jej: »Pan mówi: ja z Bazan wywiodę,
Ja z morskiej wywiodę ich głębi!«

Skoczyła... Rozbiegły, znów zbiegły się fale
I kropel spienionych stubarwne opale
Trysnęły ku słońcu i gasną,
I białych szat rąbek gdzieś mignął się jeszcze,
I zniknął i morze znów głucho szeleszcze
I słońce przyświeca tak jasno.

Był wieczór. Przy maszcie stał rabin ponury,
Wzrok czepiał na nieba zachodzie purpury,
Na falę, co u stóp się kłębi,
Łzy gęste na gęstą spadały mu brodę,
On szeptał: »Pan mówi: ja z Bazan wywiodę,
Ja z morskiej wywiodę ich głębi!«

*Adam Pajgert.*

## CYK... CYK...

Cyk... cyk...
Stary zegar ze ściany wciąż gada,
Stary zegar wciąż gada i stuka...
Cyk... cyk...
Mierzył chwile dla dziada, pradziada —
Mierzy chwile dla wnuka, prawnuka...
Cyk... cyk...
Stary zegar wciąż gada ze ściany,
Każde mgnienie minione w głos woła...
Cyk... cyk...

Jak zmierzch nocny i ranek różany,
Dwie wskazówki się gonią dokoła!
Cyk... cyk...
Stary zegar wciąż gada i gada,
Ciągle cyka w miarowem napięciu...
Cyk... cyk...
Jakby chwile, stracone za dziada,
Chciał po latach przywołać wnuczęciu
Cyk... cyk...

(*El.*) *Kazimierz Laskowski.*

---

## STARA RYCINA.

Zmierzch pada... szara godzina...
Zaduma snuje się marą...
Na ścianie jakaś rycina...
Taki obrazek na szaro...
. . . . . . . . . . . . . . .
Zmierzch pada... szara godzina...
Zaduma piersi rozpiera...
Przy starcu mała dziecina
Patrzy z obrazka Grottgera.
. . . . . . . . . . . . . . .
Lat tyle... Stara rycina...
Zaduma snuje się marą...
I zawsze szara godzina!
I zawsze szaro... i szaro!
. . . . . . . . . . . . . . .
I dni wciąż łzawsze i łzawsze...
I zawsze w szarej godzinie...

I zawsze, zawsze... ach! zawsze,
Jak na Grottgera rycinie!

*(El.) Kazimierz Laskowski.*

## SAMOTNOŚĆ.

Dusze ludzkie — samotnice wieczne,
Samotnice — jak planety błędne:
Każda błąka się przez drogi mleczne,
Każda toczy koło swe bezwzględne.

Samotnice — jak planety błędne,
Wzajem patrzą na się przez błękity:
Każda toczy koło swe bezwzględne,
Lecz nie zejdzie nigdy z swej orbity.

Wzajem patrzą na się przez błękity,
Każda toczy koło swe bezwzględne,
Lecz nie zejdą nigdy z swej orbity,
Lecz nie pójdą wraz po jednej fali.

Wzajem tęsknią ku sobie z oddali,
Błąkając się, jak przez drogi mleczne,
Lecz nie pójdą wraz na jednej fali
Dusze ludzkie — samotnice wieczne.

*Antoni Lange.*

# BLUSZCZE.

Piorun zwalił stare dęby,
Smukłe brzozy zwalił z góry,
Stary zamek, osamiały
W ołowiane patrzy chmury.

Dąb pamiętał stare lata,
Liście jego każdej wiosny
O przeszłości coś gadały,
O przeszłości, o radosnej.

Brzoza smętna i żałobna,
Tam do baszty przytulona,
Na umarłych święte prochy
Opuszczała swe ramiona.

Dziś sam został stary zamek,
Na ponurej został puszczy,
Wiatr nie zerwał tylko wiotkich,
Bujnych zeń nie zerwał bluszczy.

Gdzieś z podnóża się spinają,
Milionami liści dążą,
Na wysokie dążą mury,
I zielenią głazy wiążą.

Patrz, gdzie wisi herb rycerski,
One wieńce w herbie plotą,
Tu ciekawie nachylone —
Odczytują płytę złotą.

Festonami mur oblokły,
Z bram spływają bujnym splotem,

Słońce jasne, uśmiechnione
Niże je promieniem złotym.

A gdy w wieczór księżyc blady
Srebrną tkanką je odzieje,
W bramy grodu umajone
Płyną duchy — stare dzieje.

Lśnią się zbroje i przyłbice,
Sztandar z wieży szumi chwałą;
W oknach grodu cne dziewice
Połyskują szatą białą.

Jakie życie! jaka świetność!
Rzędem sklepią się komnaty,
Na rycerskich wnuków plemię
Z ścian się patrzą antenaty.

Gwar podrasta w krzyk zapału,
Z tłumu wstaje mąż wspaniały,
Rżą rumaki na dziedzińcu
I proporce zaszumiały.

Po zwodzonym moście grodu
Słychać koni krok mierzony,
Z okien patrzy zamiast bluszczy
Białych niewiast wzrok stęskniony.

Drogą trąba grzmi wojenna
Ciszej coraz, coraz dalej:
Chwilkę jeszcze łza niewieścia
Tam się w oknie grodu pali.

Zgasła! Cisza! Tam pod górą,
Jako dawniej rzeka pluszcze;

Z okien zamku w miejscu niewiast
Smętne tylko wieją bluszcze.

*J. Szujski.*

## W PIWNICZNEJ IZBIE.

W piwnicznej izbie zmrok wczesny pada,
Wilgotny a ponury.
Mętnemi szyby drobne okienko
Na brudne patrzy mury.

W piwnicznej izbie głos dziecka słychać:
To westchnie, to zagada...
Ojciec chleb czarny wykuwa młotem,
Przy igle matka blada.

— »Moja mateńko! Moja rodzona!
Jak też tam na wsi onej?
Czy też tam dzieci chodzą w słoneczku,
Po trawce, po zielonej?

I nie mieszkają, jak my, w piwnicy?
I widzą het... obłoki?«
— »Oj widzą, synku, wszyściuśko widzą,
Caluśki świat szeroki!

Oj widzą one pola i lasy,
I łąki, i zagaje,
Widzą, jak słonko idzie do morza,
I jak znów rankiem wstaje...

Widzą, jak pługi rzną wiosną skiby,
  Jak siewacz rzuca ziarna,
Jak woły ciągną zębatą bronę,
  Jak rodzi ziemia czarna...

Oj widzą one, jak źródła biją,
  Jak modre rzeki płyną,
Jak dzikie gęsi na ugór lecą,
  Jak staw zarasta trzciną«...

— »A niema takich murów dokoła,
  Że aż się przegiąć trzeba,
Żeby choć skrawek, choć odrobinkę
  Zobaczyć czasem nieba?«

— »Niebo tam, synku, wszystkim otwarte,
  Z wschodu na zachód wolne,
Czy zorza świeci, czy gwiazdy wschodzą,
  Jako te kwiaty polne«.

— »To i Pan Jezus bliżej być musi,
  I patrzy na te dzieci.
A od nas tutaj do Pana Boga
  I pacierz nie doleci...«

. . . . . . . . . . . . . . . . .

W piwnicznej izbie jęk zabrzmiał cichy,
  Matka się po niej krząta...
W gęstnącym mroku głos dziecka słaby
  Z ciemnego słychać kąta.

— »Moja mateńko, moja rodzona,
  A jak tam jest w tem polu?«
— »W polu to, synku, zboża a zboża,
  Przetkane w kwiat kąkolu...

Takie ci owsy, takie ci żyta,
Że się w nich człowiek schowa!
A grusza na nie cień rzuca chłodny,
A wkoło woń chlebowa.

Spojrzysz na lewo, spojrzysz na prawo,
To kłosy aż się garną,
Jakby kto złotą nakrył kurzawą
Całą tę ziemię czarną.

A wierzchem takie ci idą szumy,
Takie w powietrzu granie,
Jak kiedy, na ten przykład, w kościele
Zagrają na organie...

Od spodu słoma jak trzcina stoi,
Ot, gdzie tam do niej tobie!
A takie ziarnem pełniuśkie kłosy,
Aż kładą się po sobie.

A jęczmień to ci taki wąsaty!
A gryka taka miodna!
A lny — jak niebo... a grochy w strąkach,
Że ich nie przejrzysz do dna.

A tu ci zając z pod miedzy smyrgnie,
Przepiórka w głos zadzwoni...
A z łąki kędyś po rosie słychać
Spętanych rżenie koni...

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

W piwnicznej izbie zmrok coraz gęstnie,
Wilgotne ściany płaczą...
Dziecko w ciemności oczy otwiera,
Czy czego nie zobaczą...

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

— »Moja mateńko! Moja rodzona!
A jak tam na tej łące?«
— »Na łące, synku, to trawy rosną,
W srebrzystej mgle stojące...

A w trawach kwiecie żółte i białe,
A bokiem modra struga,
A słonko sobie po niebie chodzi
I złotem okiem mruga...

A po mokradłach bocian szczudłuje,
I żaby dziobem bierze,
A skowroneczek do Boga leci,
I śpiewa swe pacierze.

A dziewczę idzie i krówkę pędzi —
Chuścina i zapaska.
A krówka ryczy, a porykuje,
A pastuch z bicza trzaska.

Brzeżkiem, nad rowem, złocieniec rośnie
I wierzba na fujarki...
A siwy kaczor w trzcinach się zrywa,
Sznurkuje derkacz szparki.

A po przydrożku, pod leśną ścianą,
Kosiarze idą z kosą,
A te dziewczątka, jak gąski białe,
W dwojakach jeść im niosą...«

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

W piwnicznej izbie głos dziecka wzdycha
Z wilgotnej, brudnej pleśni...
A oczy jego patrzą w okienko,
Czy mu się czasem nie śni...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

— »Moja mateńko! Moja rodzona,
A jak tam jest w tym lesie?«
— »W lesie to, synku, szum się okrutny
Po wielkich sosnach niesie.

I wielkie jakieś dziwy powiada
O starych onych czasach,
Co to już o nich wieść tylko lata
Po ciemnych cichych lasach...

A taki zmrok tam zielony, świeży,
Że — gdzie!... i ksiądz sam nie ma
Na Boże Ciało, na procesyi,
Takiego baldachima!

Dęby a jodły, jako te wieże,
Pod niebo się dźwigają,
Że i królowie w złotych pałacach
Piękniejszych wież nie mają.

A sosny śmigłe szumią a szumią,
A brzozy liściem trzęsą,
A dzień się przez nie, jak sitem, sieje
I patrzy złotą rzęsą.

Czasem gdzieś gołąb dziki zagrucha,
Czasem wiewiórka świśnie,
A jarzębiny w kolorach stoją
I pachną leśne wiśnie.

A jakie to tam gniazda są ptasie,
Furkania a szczebioty!
A gąszcz ci taki, że słońce ledwo
Przeciśnie smużek złoty.

A co tam żuczków, a muszek brzęku,
  A co tam jagód krasnych,
A co mchów tkanych jak aksamity,
  A co dzwoneczków jasnych!

A owczarz sobie pod lasem stoi,
  Siwe owieczki pasie,
A Kurta szczeka, a naszczekuje:
  A nawróć się! A zasię!...

A z bożą męką krzyż w macierzankach
  Starej mogiły strzeże,
A kto tam przejdzie, ten sobie westchnie
  I szepce swe pacierze...

A dech ci taki słodki a mocny,
  Gdzie stąpisz dookoła —
Bo smółki topną i mirrę sączą,
  I zdrowiem tchną tam zioła...«

— »A to i jabym może, mateńko,
  Ozdrowiał w onym lesie?
A w tej piwnicy, tom, jak źdźbło ono,
  Co się za wiatrem niesie«.

— »Oj ozdrowiałbyś, synku, nieboże,
  Mój ty świerszczyku cichy!
A tak mi zamrzesz jeszcze przed zimą,
  Jak ten wróbelek lichy...

Oj ozdrowiałbyś, synku rodzony,
  Mój ty robaczku marny!
A tak mi przyjdzie twoją główeńkę
  Zakopać w dołek czarny!«

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

— »Nie płaczcie, matuś, nie płaczcie ino!
Możeć się jeszcze uda...
A teraz precz mi rozpowiadajcie,
Jakie to tam są cuda?«

— »Oj są tam cuda, dzieciątko moje
Serdeczne a rodzone!
Złociste łany, srebrzyste zdroje
I sady rozkwiecone...

Oj są tam takie cuda na niebie
I na tej bożej ziemi,
Że człowiek nie wie, na co ma pierwej
Oczami patrzeć swemi!«

— »A jaż, mateńko, zobaczę kiedy
Wszyściuśko, co mówicie?
One to ptaki w lasach grające,
One zajączki w życie?

A jaż, mateńko, nie taki samy,
Jako te insze dzieci,
Co to się dla nich zieleni łąka
I jasne słonko świeci?«

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

W piwnicznej izbie ciężkie westchnienie
Z ciemnego słychać kąta...
Ucichło dziecię na swym barłogu,
Matka się we łzach krząta.

W piwnicznej izbie zmierzch zapadł czarny,
Jako ta czarna dola...
Któż dziecku temu da trochę słońca
Pokaże lasy, pola?

*Marya Konopnicka.*

## A JAK POSZEDŁ...

A jak poszedł król na wojnę,
Grały jemu surmy zbrojne,
Grały jemu surmy złote,
Na zwycięstwo, na ochotę...

A jak poszedł Stach na boje,
Zaszumiały jasne zdroje,
Zaszumiało kłosów pole,
Na tęsknotę, na niedolę...

A na wojnie świszczą kule,
Lud się wali jako snopy,
A najdzielniej biją króle,
A najgęściej giną chłopy.

Szumią orły chorągwiane,
Skrzypi kędyś krzyż wioskowy...
Stach śmiertelną dostał ranę,
Król na zamek wracał zdrowy...

A jak wjeżdżał w jasne wrota,
Wyszła przeciw zorza złota,
I zagrały wszystkie dzwony,
Na słoneczne świata strony.

A jak chłopu dół kopali,
Zaszumiały drzewa w dali
Dzwoniły mu przez dąbrowę
Te dzwoneczki, te liliowe...

*Marya Konopnicka.*

# WĘDROWNY GRAJEK.

(MAZURKI).

I.

Grają skrzypki w drzwiach gospody,
Wtórzy, mrucząc, bas.
»Hej, do tańca, grajku młody,
Wybierz którą z nas!«

Grajek podniósł wzrok nieśmiały,
Raźniej, skoczniej grał...
W oczach jego łzy błyszczały —
Wkoło taniec wrzał.

Czego, dziewczę, długą chwilę
Smutno patrzysz nań?
W skrzypce grajka śmiechu tyle,
Ile w duszy łkań...

II.

Księżyc srebrzy łąk równiny,
Błyszczy zdala staw.
Zamigotał płomyk siny
Wśród wysokich traw.

Hej, muzyka brzmi w gospodzie
Stąd o parę staj!...
Płomyk pląsa w takt po wodzie —
Graj mu, grajku, graj!

Graj tę śpiewkę, coś ją nucił
Tu za dawnych lat,

Graj kochance, coś porzucił,
   Spiesząc dalej w świat!

Pękła struna... z drżącej dłoni
   Smyczek wypadł ci?
Płomyk nagle zgasł w wód toni —
   Nie budź jej... niech śpi!

III.

To nasz grajek ukochany,
   On we wszystkiem wiedzie rej!
Rzucił skrzypkę, poszedł w tany
   I tak śpiewa dziewce swej:

»Wędrowny grajek ja,
Świat zbiegłem wszerz i wzdłuż;
Zaledwie błyśnie łza,
W uśmiechu znika już.

Wędrowne ptaszę ja;
Gdym dobrze zagrał wam,
Niech która całus da,
O resztę mało dbam!

Bóg z wami! W drogę czas!
Skąd, dziewczę, żal i łzy?
Gdy świat rozdzieli nas,
Zapomnim: ja... i ty!«

»W pamięci chowaj nas!«

IV.

W rannych brzaskach wschód się pali,
   Wioska budzi się —

Grajek poszedł w świat gdzieś, dalej...
Dokąd? Któż to wie!

V.

W rok coś potem do gospody
Goście tłumnie szli,
»Piękną żonkę, panie młody,
Pan Bóg daje ci!«

Ten, ów spostrzegł z gości wielu
Łzy na twarzy jej...
Może było na weselu
Jednym grajkiem mniej?

*Czesław Jankowski.*

---

## NADGROBEK.

Chwilę nad krwawym zbłąkany zagonem,
Wracam z pola, znużony drogą nadpowietrzną,
Z próżnemi dłońmi, z sercem rozżalonem,
Kończąc wędrówkę marną, choć konieczną —
I w tył się zimną twarzą nie odwrócę,
Bo obojętnem jest mi to, co rzucę.

Nigdym się z ciemnych krain nie wychylił,
Ani rzeczywistości nie dotknąłem ręką,
Próżnom się stworzyć sferę życia silił:
Sen mi był życiem, przebudzenie męką, —
I z za obłoków chyląc się niechętnie,
Patrzałem na świat łzawo, choć namiętnie.

I nigdym w nikim nie znalazł oparcia,
Coby podzielił ze mną gorycz próżnych chęci:
Więc sam zostałem zawsze podczas starcia,
Bezsilność nosząc w cielesnej pieczęci —
I choć bojowych uniknąłem skażeń,
Zostałem za to bez plonu i wrażeń.

I nigdym usty nie dotknął drżącemi
Ust drugich, coby w serce miłość ziemską lały:
Senne mnie tylko widma kołysały —
I dziś me serce złożą do podziemi,
Gdzie rozsypane w proch śnić jeszcze będzie,
Że nad niem płaczą dziewicze łabędzie.

Ta czystość, grobu nimfom poślubiona,
Dała mej mglistej duszy świąteczną pogodę,
I melancholii łagodnej zasłona
Spadła na dziwną narcyzów urodę,
Co, nie znalazłszy nic dla siebie w życiu,
We własnem musi utonąć odbiciu.

W wiązance wspomnień, zbieranych starannie,
Nic nie przeżyje chwilą jutra mej mogiły;
Błyszczałem rosą uczuć nieustannie,
Lecz i tę ptaki niebieskie wypiły...
I tyle tylko pozostanie śladu,
Co po tych perłach, startych piersią gadu.

Ani opróżnię miejsca wśród gromady,
Choć zniknie cienia mego przezroczysta białość;
Nie pójdę błądzić po księżycu — blady —
I od zbudzenia zbawi mię ospałość;
I głuche nawet echa nie powtórzą,
Żem się już ukrył przed boleści burzą.

*El...y.*

# BŁĄKA SIĘ WICHER W POLU.

Błąka się wicher w polu,
Nie wie, w którą wiać stronę,
Błąka się w dzikim bolu
Moje serce zmęczone.

Snieg leży w gęstym borze
I pokrywa krwi ślady,
Tam moje ślubne łoże,
Tam mój kochanek blady!

Tak długo na mnie czeka!
Próżno pytam o drogę —
Droga ciemna, daleka,
Dotąd trafić nie mogę!

Noc czarna świat otacza —
Głucho, straszno i ciemno!
Ktoś płacze, ktoś rozpacza,
Przy mnie, czy też nade mną.

Mówiono, że to biedna,
Obłąkana dziewczyna
Po polu sama jedna
Żale swoje poczyna.

Lecz nie wiem, kto to taki?
Bo tak ciemno, jak w grobie...
Gdy ujrzę krwawe znaki,
To przypomnę ją sobie!

*El...y.*

# DZWONY.

A gdy skonał w czarnej chacie
    Jasieńko miły,
Poszła matka prosić dzwonów,
    By mu dzwoniły.

— »Mój synaczek, mój rodzony,
    W trumience leży,
O zagrajcież wy mu, dzwony,
    Z tej białej wieży!

Niechaj idzie głos bijący
    O jasne słońce,
Przez te pola, przez te lasy,
    Z wiatrem szumiące...«

Ale dzwony twarde serca,
    Zimną pierś miały.
— »Będziem jemu dzwonić, matko,
    Za talar biały«.

I wróciła, narzekając,
    Do pustej chaty,
I strząsnęła wszystkie kąty
    I zgrzebne szmaty...

I nic więcej nie znalazła
    Prócz onej świty,
Którą syna trup sczerniały
    Leżał nakryty.

— »Nieszczęśliważ moja dola,
    Jasieńku miły!

Chybaż tobie łzy te moje
  Będą dzwoniły...

Chyba moje narzekanie
  Bić będzie z rosą,
Kiedy ciebie na mogiłki
  Z chaty wyniosą!«

I wynieśli za próg czarny
  Trumienkę lichą,
A za synem poszła matka
  Ścieżyną cichą...

I nie grały jemu dzwony
  Z wysokiej wieży,
Jeno szumiał las zielony
  I wietrzyk świeży...

Jeno dzwonki te liliowe,
  Co w borze rosną,
Żeby dzwonić chłopskim trumnom
  W drogę żałosną...

*Marya Konopnicka.*

## WĘDRÓWKA.

Ja rosłem z wiatrem. Ja i on
Byliśmy bracia z młodych lat.
Współwychowańców jednych stron
Los od kolebki pognał w świat;
  On leciał przodem noc i dzień,
  Niósł lekkiem skrzydłem myśl mą tam,

Gdzie za nim biegnąc, jakby cień,
Nie mogłem nigdy zdążyć sam.
Dziś brat, co ze mną razem rósł,
Powiernik serca, nie wiem gdzie...
Czy go uragan wściekły zniósł?
Czy sam niewierny rzucił mnie?
I lecąc, wszystko zabrał mi,
Młodego serca ludzkie sny,
Uczucie, radość młodych dni
I młodej wiary słodkie łzy.
I jak szeroki dzisiaj świat,
Pusto przede mną wszerz i wzdłuż —
Bo znikł przewodnik, wietrzyk brat,
Bo moja radość znikła już.
Teraz wędrowca pędzi ból,
Bez czucia wiary i bez łzy,
Za każdym wiatrem, co wśród pól
W dzikiej krzewiny listku drży.
Tak lecę błędny, ni mnie znój,
Ni wstrzyma jasny pączek róż —
Bo znikł przewodnik, wietrzyk mój,
Bo moja radość znikła już.
O wróć, wędrowcze drogi! wróć!
Tęskna pierś bratnia woła cię,
Wróć! oducz myśleć, pomnieć, czuć,
Lub z serca pokaż drogę łzie!

*Maurycy Gosławski.*

---

## SEN ANIOŁA.

O rannym świcie,
Na matki łonie

Złożyło dziécię
Spłakane skronie,
I sen uroczy
Na jego oczy
Spływać zaczyna,
I śpi dziecina.

O! śpij, dziecino!
Niech ci tej chwili
Rajską dziedziną
Sen się przymili;
Niechaj na ziemi
Skrzydły swojemi
Miłość z nadzieją
Łzy twe owieją.

Biedny Aniele
Wydziedziczony!
Ty za wesele,
Mir nieskończony,
Przyjąłeś z nami
Żywot z troskami,
I śmierć w podziele,
Biedny Aniele!

Bo na tej ziemi,
W nędzę bogatéj,
Pod stopki twemi
Uwiędną kwiaty;
Ty łzawe echo
Nazwiesz pociechą,
A płacz i łkanie
Za pieśń ci stanie.

Znów się, niebożę,
Śmiejesz napoły...

Ty witasz może
Braci anioły...
Uprośże sobie,
Niech cię w tej dobie
Złotemi pióry
Wzniosą nad chmury.

A tam ty społem
Drobnemi stopy
Z stróżem aniołem
Niebieskie stropy
Przejdź i na progu
Pokłoń się Bogu,
I z patronami
Módl się za nami.

Niech krzepi cudem
Upadłe w wierze,
I ze swym ludem
Wznowi przymierze;
Niech światu wiosna
Zejdzie radosna,
I szczęście świeci
Choć wam, o dzieci!

Ach! na twem oku
Sen dogorywa...
Duch twój w obłoku
Ku ziemi spływa...
Z rajskiej krainy
Błogie nowiny
Przynieś nam przecie!
Cyt! — płacze dziecię.

*Jan Nepomucen Jaśkowski.*

# Z CHAŁUPY.

## I.

Chaty rzędem na piaszczystych wzgórkach,
Za chatami krępy sad wiśniowy,
Wierzby siwe poschylały głowy
Przy stodołach, przy nizkich obórkach.

Płot się wali; piołun na podwórkach;
Tu rżą konie, ryczą chude krowy.
Tam się zwija dziewek wieniec zdrowy
W kraśnych chustkach, w koralowych sznurkach.

Szare chaty! nędzne chłopskie chaty!
Jak się z wami zrosło moje życie,
Jak wy, proste, jak wy, bez rozkoszy...

Dziś wy dla mnie wspomnień skarb bogaty,
Ale wspomnień, co łzawią obficie —
Hej! czy przyjdzie czas, co łzy te spłoszy?!...

## II.

Tam, za wioską — przyjm, Ojcze nasz, dzięki! —
Jak pszeniczne kołyszą się ławy!
Żyto, jęczmień i owies złotawy
Jak zginają ziarniste swe pęki!

Wiatr od pola się rozgrał — czy w jęki? —
Z dróg się mgliste podnoszą kurzawy;
Nad drogami, śród pokrzyw i trawy,
Skrzypią krzyże, godła łez i męki.

O Ty Boże! o Chryste! o Panie!
Płonny owoc ta ziemia nam płodzi —
Tłuste kłosy, bo tłuste uprawy:

Nie na darmo ten wiatr tak zawodzi
I tak smętne poszumy na łanie —
Tu kłos każdy to chłopski pot krwawy.

III.

Święty Kaźmierz — powracają czajki;
Święty Wojciech — bociany klekocą,
Słońce grzeje, rowy w mlecz się złocą,
Brzmią skowronki, rychłe, polne grajki.

Po murawach dzieci, strzępem krajki
Podkasane, w pasy się szamocą;
Na przyzbicach baby w głos chichocą —
»Ech! kumolu! bajki, żywe bajki!«

Wiosna!... Wiosna wszędy życie budzi!
Jej błękity, słoneczne uśmiechy
I pod chłopskie wciskają się strzechy.

I tu raźniej biją serca ludzi,
Choć się troski za troskami tulą
Do tych piersi pod zgrzebną koszulą.

IV.

Biją dzwony... trza święcić niedzielę,
Trzeba na mszę, uczcić przykaz boży...
I niebieską sukmanę nałoży,
Za kapelusz zatknie ruty ziele.

Biją dzwony... chrzciny czy wesele.
Dni krzyżowe!... i serce się trwoży:

Grady... susze... łza i krew się mnoży,
Gdzież obrona, jeśli nie w kościele?

I tłum korny padnie na kolana:
»Od powietrza, głodu, ognia, wojny
Chroń nas, Ojcze! daj nam czas spokojny —

Czas bez troski nadmęskiej i trudu«...
Ach! jak fala płynie pieśń rozlana —
Biedny ludu! święty, polski ludu!
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
»Śpiewaj Kasiu!«... I mgłą się powleką
Dwie źrenice, te żywe dwie wróżki.
I »Kaj wiodą cię, Jasiu, te dróżki?
Na wojenkę, na wojnę daleką!«

Albo: »Ciągną żórawie nad rzeką,
W rzece pierze Jagusia pieluszki,
Zimna woda oblewa jej nóżki,
A po liczku łzy cieką, ej! cieką«...

I piosenka jak płynie, tak płynie,
Aż się oczy załzawią dziewczynie,
Aż na piersi opadnie jej głowa.

A babusia zasypia spokojna
I coś szepce: »Ej! wojna, ta wojna!
Ej! ta woda, ta woda lodowa!«.

*Jan Kasprowicz.*

# KRZAK DZIKIEJ RÓŻY W CIEMNYCH SMRECZYNACH.

## I.

W Ciemnosmreczyńskich skał zwaliska,
Gdzie pawiookie drzemią stawy,
Krzak dzikiej róży pons swój krwawy
Na plamy szarych złomów ciska.

U stóp mu bujne rosną trawy,
Bokiem się piętrzy turnia ślizka,
Kosodrzewiny wężowiska
Poobszywały głaźne ławy...

Samotny, senny, zadumany,
Skronie do zimnej tuli ściany,
Jakby się lękał tchnienia burzy.

Cisza... O liście wiatr nie trąca,
A tylko limba próchniejąca
Spoczywa obok krzaku róży.

## II.

Słońce w niebieskim lśni krysztale,
Światłością stały się granity,
Ciemnosmreczyński las spowity
W blado-błękitne, wiewne fale.

Szumna Siklawa mknie po skale,
Pas rozwijając srebrnolity,
A przez mgły idą, przez błękity
Jakby wzdychania, jakby żale.

W skrytych załomach, w cichym schronie,
Między graniami w słońcu płonie,
Zatopion w szum, krzak dzikiej róży...

Do ścian się tuli jakby we śnie,
A obok limbę toczą pleśnie,
Limbę, zwaloną tchnieniem burzy.

III.

Lęki! wzdychania! rozżalenia,
Przenikające nieświadomy
Bezmiar powietrza!... Hen! na złomy,
Na blaski turnic, na ich cienia

Stado się kozic rozprzestrzenia;
Nadziemskich lotów ptak łakomy
Rozwija skrzydeł swych ogromy;
Świstak gdzieś świszcze z pod kamienia.

A między zielska i wykroty,
Jak lęk, jak żal, jak dech tęsknoty,
Wtulił się krzak tej dzikiej róży.

Przy nim, ofiara, ach! zamieci,
Czerwonem próchnem limba świeci,
Na wznak rzucona świstem burzy...

IV.

O rozżalenia! o wzdychania!
O tajemnicze, dziwne lęki!...
Ziół zapachniały świeże pęki
Od niw liptowskich, od Krywania.

W dali echowe słychać grania:
Jakby nie z tego świata dźwięki

Płyną po rosie, co hal miękki
Aksamit w wilgną biel osłania.

W seledyn stroją się niebiosy,
Wilgotna biel wieczornej rosy
Błyszczy na kwieciu dzikiej róży.

A cichy powiew krople strąca
Na limbę, co tam próchniejąca
Leży, zwalona wiewem burzy...

*Jan Kasprowicz.*

---

## POWRÓT.

Pod próg ojczysty wracam — stary,
   Gdziem spędził lata dziecinne,
Dawne tu mury, dawne mary,
   A jednak wszystko już inne!

Te same wrota, gdzie przed laty
   Tak mnie witano radośnie,
U okien kwitną te same kwiaty...
   Lecz żaden dla mnie nie rośnie!

Wchodzę i patrzę, pierś się łamie,
   W strasznym boleści ogromie —
A obcy ludzie patrzą na mię,
   Zdają się mówić do mnie:

— Nikt się tu dzisiaj już nie trzyma,
   Idź, gdzie cię wiatry znów rzucą!

Tych, co kochałeś, dawno niema —
Już oni nigdy nie wrócą.

*Henryk Merzbach.*

## ANIOŁ PAŃSKI.

Łkają przeciągle dzwony nieszporne,
Prosząc o ciszę dla zmarłych dzielnic;
W mojej samotni, jakby z kadzielnic,
Snują się zwolna mroki wieczorne.

Prosząc o ciszę dla zmarłych dzielnic,
Dziwna tęsknota łka w mojem łonie;
W mojej samotni, jakby z kadzielnic,
Mdlejących kwiatów snują się wonie.

Dziwna tęsknota łka w mojem łonie;
Słyszę pożegnań żałobne psalmy,
Mdlejących kwiatów snują się wonie:
Na trumnie więdną święcone palmy.

Słyszę pożegnań żałobne psalmy,
Oczy przysłania opona mglista,
Na trumnie więdną święcone palmy:
»Niech światłość świeci Jej wiekuista«.

Oczy przysłania opona mglista;
Kolana same gną się, pokorne —
»Niech światłość świeci Jej wiekuista«
Łkają przeciągle dzwony nieszporne.

*Stanisław Korab Brzozowski.*

# PRZĄDKA.

Na wyciągniętych deszczu strunach
Wiatr wzdycha, jęczy i łka;
Na miękkich pajęczyn całunach
Królewna łka.

Jej ręka leciuchna i żywa,
Szybka, jak białych lot chmur,
Układa mych tęsknot przędziwa
W przedziwny wzór.

I kwiaty zabrane mej wiośnie,
Zieleń umarłych już łąk,
Znów płoną, wskrzeszone miłośnie
Czarem jej rąk.

*Stanisław Korab Brzozowski.*

VIII.

## CONTRA SPEM SPERO.

Przeciw nadziei, co stoi na chmurze
Łez, prędkim wichrom rzuciwszy kotwicę,
I obrócony wzrok trzyma na burze
I nawałnice,
W niezgasłe gwiazdy ufam wśród zawiei,
Przeciw nadziei.

Tak pieśniarz ślepy, gdy go noc otoczy,
Choć wie, że rankiem nie wzejdzie mu słońce,
Podnosi w niebo obłąkane oczy
I dłonie drżące,
I mroki pije źrenicą zagasłą,
Wierząc w dnia hasło.

Wiem, odleciały te ptaki daleko,
Co nam na skrzydłach niosły chwały zorze,
I z rzek już naszych te wody nie cieką,
Które szły w morze...
I syn się karmi kłosami gorzkiemi
Z ojców swych ziemi.

Sam Bóg zagasił nad nami pochodnię
I na mogiły wstrząsnął jej popioły.
Idziem — jak idą bezdomne przechodnie,

Z zwiędłemi czoły...
A stopy naszej zasypuje ślady
Wicher zagłady...

Wiem! Niech mi smętne echo nie powtarza
Tego, co wstydem pali i co boli,
Bom ja też rodem z wielkiego cmentarza
I z krwawej roli...
I ja też lecę, jak ptak obłąkany
I wichrem gnany.

Przecież o zmierzchy skrzydłami bijąca
I piekieł naszych ogarniona sferą,
Oczyma szukam dnia blasków i słońca,
Contra spem — spero...
I w głębi mogił czuję życia dreszcze,
I ufam jeszcze...

Przeciw nadziei i przeciw pewności
Wystygłych duchów i śmierci wróżbitów,
Wierzę w wskrzeszenie popiołów i kości,
W jutrznię błękitów...
I w gwiazdę ludów wierzę wśród zawiei —
Przeciw nadziei.

*Marya Konopnicka.*

---

## ORZEŁ.

Wrzały burzą niebios głębie.
Na strzaskanym od burz dębie
Król ptaków się dąsał.
Patrzałem —

Wokoło niego chmury, kłąb przy kłębie,
Wrony i kruki nawał za nawałem.
Widziałem —
On tylko skrzydła zjeżone potrząsał.
Naraz ujrzałem,
Przez ptactwo i chmury,
Pada promień z góry
Na ptaków króla:
Niebieskiem światłem oczy mu olsnęły,
Niebieskim wiatrem skrzydła mu rozdęły —
Wrony się zbiły, chmura się stula,
A on na krzyżu skrzydeł rozpięty,
Przez wron chmury i chmur męty,
Po jasnym niebios promieniu
Dąży ku nieba sklepieniu.
Wrzawa i grzmoty wrą wkoło niego,
On się nie puszcza szlaku swojego,
A ziemia coraz niżej,
A niebo coraz bliżej.
I ot! pod orłem już chmury,
Pod orłem wrzaskliwe chmury,
Patrzałem, słuchałem —
A na podniebiu całem
Cisza i jasność — orzeł w słońcu zginął,
Jeden śpiew tylko na ziemię spłynął,
Śpiew to zwycięski w orlej dziedzinie;
Tylko w mojego ducha głębinie,
Jak echem śpiewu zadrżałem,
To echo ducha na orła śpiewanie:
I jak zabrzmiało, tak brzmi nieprzerwanie.
Gdy mię chór troski zagłuszy,
Ono budzi letarg duszy,
I w świat orli, w orle kraje
Nieść mnie nie przestaje.

*Seweryn Goszczyński.*

## TESSALIANKA.

Ponad Olimpu cichym szczytem
Ogniste słońce wstaje;
Owiane drżącej mgły błękitem
Tessalii szumią gaje,
Lecz coraz jaśniej błyska z góry,
   Egejska topiel płonie,
Falami złota i purpury
   Szemrzące płyną tonie.

Wtem Tessalianka czarnowłosa
   Z cichej wybiega chaty,
Z wiatrem rozwiana leci kosa
   I białe fale szaty;
Aż wybieżała na szczyt wzgórza,
   Skały wyżynę dziką,
Wzrok gdzieś w potokach świateł nurza,
   Pierś jej gra pod tuniką.

   — »Kto cię tak, dziewko, zbudził wcześnie
   »Z pod śnieżnej twej kotary?
»Czy cię słowicze wabią pieśnie,
   Czy cichych dumań czary?
»Może w tym gaju nad potokiem
   »Poranku pić chcesz wonie,
»Gdzie pod ognistem Feba okiem
   »Wstydliwa Dafne płonie?
»Tam Zefir, drżące chyląc kwiecie,
   »Skroń ci uperli rosą«.

   — »Na dzikiej skały nagim grzbiecie
   »Nogą stanęłam bosą;

»Bo tu z laurowych rosa kwieci
»Jak łza się lśni zdradziecko,
»Niech z Termopilów wiatr przyleci
»Pierś mi owionąć grecką«.

— »Lecz skąd tak rąbek drży u łona,
»Twarz pali się rumieńcem?
»Pewno ty czekasz utęskniona
»Za miłym ci młodzieńcem,
»I wzrok po modrej puszczasz fali,
»Czy biały żagiel płynie?«

— »Siostrzyca Klefta, czekam fali,
»Co drga przy Salaminie.
»Fala ta cicha, choć spieniona,
»Wzdłuż greckich brzegów bije:
»Białe zanurzę w niej ramiona,
»Czarną w niej kosę zmyję;
»A kiedy wyjdę z tej kąpieli
»Na złote ognie słońca,
»Jak Niobe w czystej stanę bieli,
»Marmurów blaskiem lśniąca.
»Bo wszystka greckiej krwi purpura
»U serca mi się zbierze;
»Wtedy czarownic starych córa
»W drgającą pierś uderzę,
»A strasznej klątwy jęk tak głuchy
»Poranku zabrzmi ciszą,
»Że wszystkie starej Grecyi duchy
»Odrazu mnie usłyszą.
»I z niebios, ziemi, gór, przepaści,
»Moc taka wyjdzie święta,
»Że na półbogów znów namaści
»Ilotów niemowlęta!«

*Marya Ilnicka.*

## MŁODEMU ARTYŚCIE.
### NIEUŻYTECZNA PRZESTROGA.

Ach! strzeż się! ach, strzeż się! ta czarnoksiężnica,
Co pieśnią rozmarza, co wdzięki zachwyca,
Już leci tu blizko, już gwiazdy przesłania,
Już serce wydziera, już duszę pochłania.

Ach! prędko, ach! prędko, relikwię do ręki!
Bo pieśni cię strują, bo porwą cię dźwięki,
Bo w wieczność daleką polecisz za niemi
Bez ojca na niebie, bez braci na ziemi.

Ach! śpiesz się, ach! śpiesz się! relikwia odczyni
Zły urok senliwych widziadeł władczyni.
Weź tylko, weź świętą, weź bardziej ci drogą,
Niż głosy jej zaklęć drogiemi być mogą,

I przyłóż, och przytul do piersi artysty
Dłoń szczerej przyjaźni, proch ziemi ojczystej,
Ukochaj coś wyższem nad sztukę kochaniem,
Zostaniesz się z nami, my z tobą zostaniem.

Ja wołam, ja wołam — artysta nie słucha,
Ta czarnoksiężnica spętała mu ducha,
I wzięła na skrzydła szerokie, tęczowe,
I makiem snów wiecznych zwieńczyła mu głowę.

Już usnął — już wzleciał — już ku nam jedynie
Głos czarnoksiężnicy, nie jego głos płynie;
Toż cuda się dzieją, och! cuda wśród ludzi!
Ten głos go usennił — a nas tu on budzi.

Ten głos go roztęsknił — a nas tu pociesza,
Ten głos go zabija — a nas tu on wskrzesza,
Więc dalej, więc dalej, w muzykę zaklęty,
Leć, duchu! tyś grzeszny sam sobie — nam święty.

*Gabriella.*

---

## NIE MÓW.

Nie mów — chociażbyś miał ginąć z promienia, —
Że wszystkie źródła wyschły już bijące:
Tyś gonił pustyń piaszczystych złudzenia,
A minął strumień na zielonej łące.

Nie mów — chociażbyś umierał z tęsknoty, —
Że niema czystej miłości na ziemi:
Tyś pewnie w drodze blask jej rzucił złoty,
Za ognikami zdążając błędnemi.

Nie mów, że wszystko, czegoś ty nie umiał
Odnaleźć w życiu, marą jest zwodniczą:
Zdrój czystych uczuć będzie innym szumiał
I inne serca poił swą słodyczą.

*El...y (Adam Asnyk).*

---

## KRAKOWIAKI.

### I.

Tu mi słońce wzeszło, tu w dziecięcia oku
Jaśniał spokój duszy, jak gwiazdka w obłoku.

Tu wśród pól rodzinnych jam wesoło skakał
I tylko za cackiem, gdy się stłukło, płakał.
Ale łza dziecięcia przecież szczęściem łudzi,
Choć na chwilę smuci, zgryzot nie obudzi,
Nie obudzi zgryzot i serca nie splami,
Radbym cały żywot płakać dziecka łzami.
Płakać dziecka łzami i z dziecka uśmiechem
Przeigrać, prześpiewać to życie z pośpiechem.

II.

Tu mi błysła miłość w czarnem Halki oku
I znużyła duszę w burzliwym potoku,
Wtedy w dzień i w nocy tylko o niej śniłem
I z marzeń kielicha zgubną rozkosz piłem.
Ale choć sterałem młodą moją duszę,
Miłe jednak dotąd miłości katusze,
Miłości katusze radbym zawsze znosił,
Uśmiechem o uśmiech, łzą o łezkę prosił.

III.

Gdyś się urodziła, moja Halko miła,
Ponad twoją główką gwiazdeczka świeciła,
Świeciła gwiazdeczka, jej blask w oku błysnął,
Na usteczkach zapał poranku zawisnął,
Bo Bóg sobie przyśnił aniołka na niebie,
Ulał serce z łezki, żeby stworzyć ciebie,
Żeby stworzyć ciebie, po świata przestworze,
Zbierał gwiazdki, tęcze, obłoczki i zorze.

IV.

MARYACKA WIEŻA.

Patrz, Maryacka wieża stoi,
Dla miasta strażnica,

Na jej widok myśl się korzy
　　A dusza zachwyca.
Na wysmukłej jej kibici
　　Sześć wieków zdrzemało,
Przecież piękna, jak dziewica,
　　Przecież stoi cało.
A poważny w swym ogromie,
　　Niby rodzic miasta,
Kościół pod nią z rynku łona
　　Jak olbrzym wyrasta.
Śród sklepienia oko ginie,
　　Za myślą poleci,
Aż tam, gdzie na skroniach Maryi
　　Gwiazd dwanaście świeci.

## V.

Zapomniane skrzypki moje, zagrajcie od ucha!
Lasy, wzgórza i doliny, zapalcie w nich ducha.
Ducha w nich zapalcie, niechaj brzmią na okół,
A ty, myśli moja, podlatuj jak sokół!
Już skowronek i jaskółka witają nas wiosną,
Rzućmy ziarno na tę glebę, a kłosy wyrosną!

Trzeba orać ziemię żyzną z wiarą i nadzieją,
Nie dbać na to, chociaż kwiecień zaszumi zawieją.
Zaszumi zawieją, lecz, jak świeży ranek,
Rozpogodzi niebo maj — wiosny kochanek.
Dalej razem, jak te wołki, idźmy krok za krokiem,
Bo gdy zagon uprawiony, miło rzucić okiem.

Ty, fujarko, brzmij po drzewach, niech pękają liście,
Wtedy wtórem i las chórem zagra uroczyście;
Uroczyście zagra jakby przy niedzieli,

Jak piosnka kochanki serca rozweseli.
A więc, skrzypki i fujarko na ojczystej grzędzie,
Razem grajcie, zgodnie, żwawo, a muzyka będzie!

Żyzna niwa kłosem pływa, kwiateczkami woni,
Tu się bławat patrzy w niebo, polny mak się płoni;
Polny mak się płoni, jużci wstyd go ima,
Że błyszczy purpurą, lecz zapachu nie ma.
O boć darmo, samym blaskiem nic się nie przymili,
Stokroć milsza jest pszenica, gdy kłos ciężki schyli.

Dalej, skrzypki! grajcie hucznie, Wisła dźwięk poniesie,
Na jej brzegach rosną lasy, słowiki są w lesie;
Słowiki są w łesie, na dzióbkach zanucą
I całą naturę zbudzą, rozesmucą!
A gdy żniwo już skończymy, wtedy na dożynek
Wszyscy Bogu piosnkę świętą złożym w upominek.

*Edmund Wasilewski.*

## CHODZIŁY TU NIEMCE.

Chodziły tu Niemce,
Chodziły odmieńce:
»Sprzedaj, chłopie, rolę,
Będziesz miał czerwieńce!
    Zapłacimy chatę,
    Zapłacimy pole...
    Będziesz miał talarów
    Na całuśkim stole!«.
— A mój Niemcze miły,
Idźże, kędy raczysz,

Ale mojej roli
Równo nie obaczysz!
Schowaj se czerwieńce
I białe talary...
Kto przedaje ziemię
Nie naszej ten wiary!
Bogatyś ty, Niemcze,
I trzos twój chędogi,
Ale na tę ziemię
Jeszcześ za ubogi!
Pójdą twe talary
Za rolę, za płoty;
A kto mi zapłaci
Ten miesiączek złoty?
A kto mi zapłaci
Za tę jasność bożą,
Co w moje okienko
Idzie z każdą zorzą?
Za ten dach słomiany,
Co mi głowy strzeże?
Za ten dzwon, co dzwoni
Rankiem na pacierze?
Za te lasów szumy,
Za te polne kwiaty,
Za ten krzyż pochyły,
Co mi strzeże chaty?
A kto mi zapłaci
Za te jasne rosy,
Co się srebrem sypią
Na łąki, na wrzosy?
Za wiosenny klekot
Naszego bociana?
Za tę pieśń z pod lasu:
Oj dana!... oj dana!...

A kto mi zapłaci
Za tę modrą wodę?
Za ciepło słoneczne,
Za cichą pogodę?
Za ten piasek biały,
Gdzie się trzpioczą dzieci?
Za tego skowronka,
Co nad głową leci?
Za ten wiatr, co wieje,
Za fujarki granie?
Za tego świerszczyka,
Co tam świerka w ścianie?
Za palmę, co pęka
W kwietniową niedzielę?
Za gruszę tę polną,
Co długi cień ściele?
A kto mi zapłaci
Za słodkość tę miodu,
Co pszczoły ją niosą
Do ula z ogrodu?
Za cmentarz rozkwitły
W głóg dziki, jak sady,
Gdzie leżą w mogiłkach
Ojcowie i dziady?
A toćże i mnie tam
Gospody potrzeba,
Gdy Pan Bóg zawoła:
— »Chodź, chłopie, do Nieba!«
A toćby mi dzieci
Po nocach tęskniły,
Nie wiedząc, gdzie szukać
Ojcowej mogiły!
Nie sprzedam ci roli!
Weź, Niemcze, talary...

Kto ziemię przedaje,
Nie naszej ten wiary!

*Marya Konopnicka.*

---

# ODA DO GENIUSZU.

Geniuszu! ty jeden nie opuść mnie w życiu!
Skrzydłem twem Boskiem obwiewaj mą duszę,
A śpiewać będę, i śpiewem poruszę
Siły tajemne, choć w piekła ukryciu!
Kiedy chmury, jak duchy powietrznego gmachu,
W olbrzymich kształtach, odzieniem ciemnoty
Niebo zakryją — zadrży świat w przestrachu,
Niechaj mnie wzniosą skrzydeł twych poloty,
Tam — w chmury czarne —
Pieśń i tam zadźwięczy;
A okiem tęczy
Chmury w krąg ogarnę.
Geniuszu! gdy burza ześle wiatry mściwe
I niebo morzem ognia się zapali,
Chcę jak rumaka schwycić fali grzywę
I twojem skrzydłem popędzić na fali.
Niechaj nadpowietrzne żagle
Serce moje, duszę wzmogą:
Wiatry zdepcę moją nogą
I do jarzma wiatry znaglę.
Geniuszu! gdy ludzie uśpieni bezwiednie
Legną od burzy, co zmysły ich głuszy,
Śpiew ty mój natchnij! a z duszy do duszy,
Jak słońce w oko, śpiew mój błyszcząc wpadnie,
Wszystkie siły wstrząśnie na dnie.
Wstrząśnie cały świat uśpiony,

Jako lutni mojej struny,
Kiedy ręka niemi władnie.
Geniuszu! ty i pierś natchniesz zemsty pieśnią,
I śpiew mój będzie czuły, jak płacz matki,
Mściwy, jak w piekle zemsty sobie nie śnią;
I ludzie — niebo — staną mu na świadki:
Jako sercu — myśl wysoka,
Jako myśli — czynów dzielność,
Jako czas — pieśniom proroka,
Jako prawdzie — nieśmiertelność.
A gdy przyjdzie godzina, wieszcz słaby zaginie,
Geniuszu, ty i w śmierci bądź moim aniołem;
Niech życie skończę, jak życiem zacząłem,
Życie i śpiew mój, ach, w jednej godzinie!
Niech ostatnie głosy moje,
Jak dźwięk lutni w echa brzmieniu,
We śnie miłym tak dostroję,
Tam dosłyszę w przypomnieniu!

*Stefan Garczyński.*

---

## TRZY NATCHNIENIA.

Kiedy wieszcz lutnię weźmie do ręki,
Gdy z brzmiących strun jej cichymi dźwięki
Harmonijne łączy pienia,
I cóż mu w łonie ogień roznieci,
Jakiemże skrzydłem z ziemi uleci
W rajską krainę marzenia?

Oj! trzy są gwiazdy, z których promienie
Zlewając z góry wieszcze natchnienie,
Świecą dla śpiewaka duszy.

O! trzy są gwiazdy, światłość ich cicha
Silnie w poety piersiach oddycha,
Gdy brzmiące struny poruszy.

Pierwszą jest gwiazdą widok natury,
Zielone łąki, doliny, góry,
Szum gajów, szelest strumienia;
Kto zimnem okiem widzi te wdzięki,
Ten niech nie bierze lutni do ręki:
Nie zna on iskry natchnienia.

Drugą są gwiazdą kochanki oczy,
Blask ich czarowny, połysk uroczy,
Silniej do serca zaświeci;
A kto nie zaznał, co ich potęga,
Ten niech po lutnię próżno nie sięga:
W krainę marzeń nie wzleci.

Trzecią jest gwiazdą to czucie święte,
Z mlekiem wyssane, z życiem poczęte,
Rodzinna ziemia jego podnietą;
W kim się ten boski ogień nie żarzy,
Wzruszać strun lutni niech się nie waży:
Nie jest, nie będzie poetą.

*Seweryn Goszczyński.*

---

## DO LIRYKÓW DZISIEJSZYCH.

Potęgi! prawdy! życia!
Promiennych myśli! serca bicia!

Natchnienia, co do czynów budzi!
Natury! — ludzi!
Nie innej pieśni świat dziś żąda;
A na tych, którzy wiecznie kwilą,
Marzenia kołysani chwilą,
O lirycy! już nikt się nie ogląda.

Napróżno w roztkliwionej piersi
Stawiacie ołtarzyki drobne,
Wiankami polnych ziół ozdobne,
O najrzewniejsi i najszczersi!
Przestańcie wyśpiewywać luźnie
Bezmyślne egotyczne dumy,
A wejdźcie w pracy gminnej kuźnie,
Śpiewajcie to, co czują tłumy...
Lub milczcie! bo nie dla was jutra brzaski,
Nie dla was wiek... nie dla was ciżb oklaski.
Nie dla was nawet raj poety —
Miłością wrząca pierś kobiety!

*Leonard Sowiński.*

## PROŚBA.

Orły, sokoły!
Dajcie mi skrzydła!
Gruz i popioły...
Ziemia mi zbrzydła.

Jabym chciał w górze
Pohulać z wami

I tam na chmurze
Żyć piorunami.

Tu mi, jak w trumnie,
Świat niewesoły!
Spuśćcie się ku mnie,
Orły, sokoły!

Choć duszę weźcie
Na wasze loty
I ją zanieście
W marzeń kraj złoty!

Na niebios progu,
Między gwiazdami,
Jabym tam Bogu
Modlił się z wami.

A tu żałobą
Pokryte doły...
Weźcie mię z sobą,
Orły! sokoły!

*Mieczysław Romanowski.*

## BĘDZIE MI MOŻE KIEDYŚ POLICZONE...

Będzie mi może kiedyś policzone,
Żem nigdy w obcą nie poglądał stronę,
Lecz zawsze trwałem temu słońcu blizki,
Co mi w łzach matki błysło u kołyski,
Że mi najdroższe wydzwaniały echa:
Próg mój ojczysty i wieśniacza strzecha

I że dla świata, co był moim światem,
Pragnąłem zostać i czułem się bratem.

Będzie mi może kiedyś policzone,
Żem ku tej ziemi miał oczy wpatrzone,
Że mi się wstęgą w głębi serca wiły:
Przydrożne krzyże, cmentarne mogiły,
Że myśl, jak oracz, szła bruzdami sochy,
Śpiewała prochem i gadała z prochy,
I że innego nie łaknąłem nieba,
Prócz swoich ludzi i swojego chleba.

Będzie mi może kiedyś policzone
I za marzenia, i sny niewyśnione,
I to, że miałem nieraz ścieżkę twardą,
I to, że miałem z rodu duszę hardą,
I to, żem nigdy klątwom ucha nie dał,
Że mogłem strwonić, alem nie zaprzedał,
I to, że, smutki trzymając pod strażą,
Chadzałem w życiu z uśmiechniętą twarzą.

Będzie mi może kiedyś policzone,
Żem nigdy w obcą nie poglądał stronę,
Że, jak tych mędrców betlejemska gwiazda,
Mnie wiodła moja do cichego gniazda,
Do tej wsi naszej, na kłosiste pola,
Że mi tu była i dusza, i wola;
Żem ku tej ziemi miał oczy wpatrzone,
Będzie mi może kiedyś policzone.

*El. (Kazimierz Laskowski).*

IX.

## IRONIA.

Ironia dziwnym jest kwiatem,
Łzami i bólem, a śmiechem zakwita,
Na gruzach szczęścia jako bluszcz się wije,
A w jego wieńcach ruina spowita,
Choć krwawe ślady w łonie swojem kryje,
Zawsze uśmiechem przechodzących wita,
I własną pustkę i smutek wyszydza
Przed okiem widza.

*El...y (Adam Asnyk).*

---

## DRZEM SOBIE, DUSZO!

Drzem sobie, duszo! co ci do tego,
Że tam myśl czyjaś po niebie lata,
Że ktoś ciekawy początku swego,
Ze starych grobów kurze obmiata,
Woła do życia umarłych ludzi,
Jądro granitu myślą przewierci,
Wszystko obnaży, wszystko obudzi,
I z tego wróży: życie po śmierci!

Życie po śmierci? drzem sobie, duszo,
Czyż może to być, czego już niema?
Kiedy raz umrzesz, już cię nie wzruszą
Łagodność Abla, ni złość Kaima.
Bo śmierć po życiu i śmierć przed życiem,
A między niemi maligny chwila,
To wszystko serca nazwano biciem,
To życiem zowią człeka — motyla.

Drzem sobie, duszo! co cię ma budzić
Oko dziewicy miłe, ułudne?
Trzebaż się palić, by potem studzić,
W dłoń szczerą chwytać dłonie obłudne?
Drzem sobie, duszo! tybyś nie śpiąca
Spłonęła ogniem, od zimna skrzepła,
Tyś sama w sobie jasna, gorąca,
Tobie nie trzeba zimna, ni ciepła.

Ty sobie możesz stworzyć, co zechcesz,
Mar fantastycznych osnuć się wiankiem,
Ty, gdy przyrodę myślą połechcesz,
Milej ci, niż dziewicy z kochankiem.
Co ci do tego, że tam grom pali,
Że jesień wichrzy, lub śniegi prószą;
Ty na promykach, zapachów fali,
W pieluchach marzeń drzem sobie, duszo!

*Edmund Wasilewski.*

---

## POSZKODOWANY.

Muł, któregom ukradł tobie,
Jest to szkapa zołzowata —

Kaszle, czka, o płot się skrobie —
Winieneś mi więc dukata.
Dwa razy się potknął w drodze,
Raz na tamtej, a raz na tej —
Spadłszy z niego, ledwie chodzę —
Więc daj za to dwa dukaty.

Miałem z Pepą mieć spotkanie,
Tam w ogródku, blizko chaty —
Wtem — co widzę! — niespodzianie...
Dawaj za to trzy dukaty —
Niespodzianie, tam, w ogródku,
Ktoś się drugi poza chatą
Wraz z nią przemknął po cichutku —
Cztery daj dukaty za to.

— A toż — myślę — zdrajcza schadzka!
Więc z postawą zuchowatą
Idę obces — wtem znienacka...
Pięć dukatów daj mi za to —
Wtem ku hańbie czci kobiecej,
Tamten... laską swą sękatą
Jak nie lunie mnie przez plecy —
Sześć dukatów daj mi za to.

Więc dmuchnąwszy w gęste krzaki,
Krzyczę stamtąd jak za kratą:
— Ty psie taki! ty owaki! —
Siedm dukatów daj mi za to.
Aj! A mogłem nie stać tyłem,
Lub mieć grzbiet wysłany watą!
Że zaś tego nie zrobiłem,
Ośm dukatów daj mi za to.

Ach! czyliż się raz poczyna
Zyskiem, co się kończy stratą?

Złych przeznaczeń jest w tem wina!
Dziewięć daj dukatów za to.
Teraz, cierpiąc dolę chwastu,
Zdeptanego gburowato,
Że nie żądam jedenastu,
Dziesięć daj dukatów za to.

*Felicyan Faleński.*

---

# KUNDEL.

La propriété est un vol.
*Proudhon.*

Gdzieś tam na dworze, rzuconą na śmiecie,
Porwał kość kundel i zaniósł w krzaki.
Mnieby specyał nie skusił taki,
  Lecz różne gusty są w świecie:
  Kundel go smacznie ogryzał,
  Nieraz się nawet oblizał.

Widząc to zdala, liczne psów roje
  Z straszliwym wrzaskiem przybieżą:
— »Co za kryminał gryźć własność swoję —
  »Własność jest czystą kradzieżą,
»Kość ta należy do psa każdego!«
  I nuż więc szczekać na niego.
Kundel nasz zrazu nie zważał na nie,
  Na chwilę nawet nie sarknął,
Lecz ciągle głupie słysząc szczekanie,
  Tak im odwarknął:
»Szczekacie wszystkie, jakby opętane,
  »Ledwie wam gardziel nie pęknie,

»Co na psy dworskie, lepiej wychowane,
»Nie jest ni mądrze, ni pięknie.
»Czemuż, zamiast głupiej wrzawy,
»Nie tak szukać, jak ja, strawy?
»Pracujcie tylko, a na ostatek
»Każdy z was znajdzie swój gnatek«.

Gdy wtem ogromny brytan przypada —
Kundlowi kość tę wydziera,
Spokojnie sobie zasiada
I smaczny kąsek obżera.
Wrzawa więc nowa, większa, niesłychana —
Wrzeszczą, krzyczą na brytana;
Sam kundel nawet między psy ucieka
I najgłośniej z wszystkich szczeka.

Liczna jest takich kundelków gromada,
Trafia się nawet i na naszej ziemi;
Oszczekiwana, póki coś posiada,
Straciwszy — szczeka z drugiemi.

*Franciszek Morawski.*

---

## CZY SĄSIAD CZASEM CZYTA?

— Czy sąsiad czasem czyta?
— Nic nie czytam i kwita.
Powiedz mi sąsiad, po co?
Na dyabła mi czytanie!
Tylko łeb, panie,
Te piśmidła klekocą.
Ja zresztą, z książką w łapie,
W kilka minut już chrapię.

— Tak, nie przeczę, zapewne,
I ja też nieraz ziewnę,
Trudna bo na to rada;
Tylko że dziś te łyki
Te, te, dzienniki,
Krzyczą: »Szlachta upada!
»Co gdzie szlachcic, to głupi!
»Żadnej książki nie kupi!«

— Niech sobie plotą baśnie;
Nie kupię! aha, właśnie!
A mnie na co bibuły?
Niechaj się morałami
Częstują sami.
Dla szlachty artykuły:
To baran, okowita,
Sterta pszenicy, żyta...

— No tak, tak, ani słówka,
Ho, ho, z sąsiada główka!
Jednak czasem, niekiedy,
Zajrzeć do pisma należy,
Niech sąsiad wierzy.
Możebyśmy od biedy,
Które tam z nich we Lwowie,
Trzymali po połowie?

— Co też bo sąsiad plecie!
Toć i sam mógłbym przecie!
Wszak sąsiad nie posądzi,
Żebym ja nie miał za co.
Lecz pytam, na co?
Człowiek dobrze się rządzi,
Co mi książka pomoże?
Zasieje, czy zaorze?

— Nie, lecz tak dla zabawy,
Człowiek czasem ciekawy
Poznać ludzkie koleje.
Opisują odkrycia,
Wypadki z życia,
Nasze ojczyste dzieje...
Siądziesz, czytasz w gazecie,
Jakbyś jeździł po świecie.

— Co mnie to tam obchodzi,
Jak w Ameryce rodzi;
U mnie na polu ładnie.
A czy słońce z zachodu,
Czy też ze wschodu
Idzie, czy gdzie upadnie,
Gwiazdy gasną, czy bledną,
To mi wszystko jedno.

— Tak, zgoda na to, zgoda,
Ale dziś czytać moda.
Mówią, lektura płaci
Już i na pańskich dworach,
A przy wyborach
Walor ma też u braci.
Słyszałem to od żony,
Świat kroczy jak szalony.

— A niechże sobie kroczy!
Czytaj sąsiad, trać oczy,
Marnuj zdrowie i siły;
Ale co do wyboru,
Słowo honoru,
Bajki! jak mi Bóg miły!
Mój brat nie czyta całkiem,
A przecież jest marszałkiem.

— No, proszę, nie wiedziałem,
Winszuję sercem całem;
To miłe wiadomości!
O, znałem go przed laty,
Bardzo bogaty!
Zaraz powiem Jejmości,
Zaraz, za powitaniem.
Niech się schowa z czytaniem.

— Tak, szanowny sąsiedzie,
Na książce się nie jedzie,
Ale na dobrej szkapie.
Te z rozumem konszachty
To nie rzecz szlachty,
Mnie na figiel nie złapie!
No, chodźmy na kolacyę!
— Tak, sąsiedzie, masz racyę.

*M. Rodoć.*

## SZYNA.

Szyna żelazna, w ogniu rozgorzała,
Tak pod młotem narzekała:
»O, kiedyż tego młota się pozbędę,
»I dopókiż znosić będę
»Takie ciosy i męki!«
Ale próżne skargi, jęki:
Póty ją bito, tłuczono,
Aż ją na młot przerobiono.

Zapytasz pewnie, co zrobiła potem?
Z wszystkich młotów najsroższym była dla szyn młotem.

*Franciszek Morawski.*

## OSIEŁ.

Tak się raz osieł dąsał,
Tak się też z innych natrząsał,
Taki był pyszny, zuchwały,
Że go zwierzęta nie poznały;
Pojąć nie można było,
Co mu się zrobiło.
Nakoniec wszystkim dowodził,
Że się szlachcicem urodził;
Dwie godziny o tem gadał:
Powiadał,
Co to miał przodków, a zwłaszcza jak sławnych,
Jak niezmiernie dawnych,
Wyliczał lata za laty,
Jak się ciągnęły jego antenaty,
Jak się wznosiły do góry,
Coraz w większą sławę rosły,
Jakie to były głowy i figury,
Co to były za osły!
A lis mu na to: »Jakżeś nierozsądny,
Zawsze twoich chwalisz przodków, —
I ty nie jesteś z wyrodków,
I z ciebie osieł porządny!«

*Franciszek Morawski.*

## DR. SKUBACKI.

Suma — osiem tysięcy.
Ani mniej, ani więcej.

Spada na mnie po dziadku.
Mówią: bez adwokata
Odbierzesz za dwa lata.
Więc proszę w tym wypadku
Doktora Skubackiego.
Znany wszystkim i wszędzie.
Mówi: — Nic łatwiejszego,
Spadek w moment nasz będzie.

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej, ni więcej.

— Szanowny adwokacie!
Co tam słychać na świecie?
Mój spadek? jak tam przecie?
— Pamiętam, w referacie,
Nakazy, protokóły,
Popycham, niech pan wierzy,
Pracujemy jak muły,
To długo nie poleży.

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej, ni więcej.

— Łaskawy mecenasie!
Spadek? aż sam się wstydzę!
Zapomniałeś, jak widzę!
— Pamiętam, w krótkim czasie
Już będzie; duplikaty,
Cesye protestowane,
Akceptacye, illaty...
Wszystko przygotowane.

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej, ni więcej.

— Mecenasie kochany!
Gonię grosza ostatkiem,
Co się dzieje ze spadkiem?
— Pamiętam, przywołany;
Teraz tylko duplika,
Inwekta, rotulacya,
Prezentatum, replika,
Taksa i licytacya.

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej, ni więcej.

— Mecenasie łaskawy!
Mój spadek, ledwo żyję!
Rosa, wiesz, oczy wyje!
— Pamiętam, pańskiej sprawy
Pilnuję; już kontrakty
W przelewie, jeszcze kwity,
Kaucya, pozew, ekstrakty,
I interes ubity.

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej, ni więcej.

— Aj, szanowny doktorze!
Prędzej ja ujrzę cmentarz,
Niż spadek! nie pamiętasz!
— Pamiętam, ach, mój Boże!
Już tylko bagatela:
Rekurs, ekstensa z treści,
Rubrum i kuratela...
Forsuję co się zmieści.

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej, ni więcej.

— Doktorze! wstyd, dla Boga!
Spadek taki maluczki!
Wasze prawo to kruczki!
— Przepraszam, prawna droga
I prawne systemata
Są procesem logiki.
Cóż to jest cztery lata?
Nic nie pomogą krzyki.

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej, ni więcej.

— Mecenasie! ni słowa!
Pięć lat prawicie baśnie,
Niech was piorun zatrzaśnie.
— Przepraszam — rzecz gotowa.
I oto są rachunki:
Prowizye, rekwizyta,
Konferencye, szacunki...
Proszę, niech pan przeczyta...

Suma osiem tysięcy,
Ani mniej, ani więcej.

*M. Rodoć.*

---

## SĄD NA OWIECZKĘ.

Porwali wilcy owieczkę wśród trzody,
Lecz nie tak robią, jak robili wprzódy;
Nie chcą się sami samowładnie rządzić,
W las ją zanieśli, ażeby osądzić.

Dziki, rysie, niedźwiedzie siadły między borem,
A lis był prokuratorem;
Wyliczał długo jej występki czarne,
Nareszcie prawo zacytował karne:

— »Czeka świat niecierpliwie, co wasz wyrok powie?«
— »Śmierć!« — jednomyślnie krzyknęli sędziowie.
Tu się owieczka wzięła bronić żwawo:
— »A któż to pisał? wy sami to prawo?

»Czy nasza trzoda wzywana tam była?«
Ledwo to rzekła, już biedna nie żyła.
Trysnęła krew jej potokiem,
I choć niewinnie przelana,
Lecz za sądowym wyrokiem
Prawnie jest na śmierć skazana.

*Antoni Gorecki.*

---

## EPOPEJA.

»Napisz nam epopeję!« — rzekli młodzikowie
Do pewnego poety, a ten im odpowie:
— »Wszak mógłbym i napisać, jestem waszym sługą,
»Aleście tak zajęci, że czasu minutki
»Nie macie dla bajeczki posłuchania krótkiej,
»A któżby z was chciał czytać epopeję długą?«

*Antoni Gorecki.*

---

## BEKAS I KUROPATWA.

### DO NIEMCÓW.

»Co za nudne kraje tych Polaków!
»Nie obaczysz jak szyszki na drzewie,
»I nie spotkasz innych ptaków,
»Jak tylko same cietrzewie«.

Tak sobie na pińskiem błocie,
Siedząc w słonecznej spiekocie,
Ów włóczęga wszędzie znany,
Rozmawiał bekas oblany.
Nikt nie uważał na tego próżniaka,
Lecz kuropatwa,
Do gniewu łatwa,
Tak go łajała, wyszedłszy z pod krzaka:
»Skądże to waści taki tonik wzniosły?
»Powiedzcie przecie, pod czyjem to niebem
»Takie wam dzioby i piórka porosły,
»I czyim to tak napasłeś się chlebem?
»Wtenczas, pamiętam, nie brały cię nudy,
»Kiedyś przyleciał tak jak czapla chudy.
»Teraz cietrzewi widok nie powabny,
»Przypatrz się, klocu, jak sam jesteś zgrabny.
»Żebym ja kiedy tem państwem rządziła,
»Wszystkiebym ptaki takie wymroziła,
»U których to we zwyczaju,
»Że choć ich kijem nie wypędzi z kraju,
»Choć na naszym chlebie żyją,
»Co rok objedzą, opiją,
»A jednak niewdzięczni przecie,
»Spotwarzają nas po świecie«.

*Antoni Gorecki.*

# ŻONA UPARTA.

Teraz tyle samobójstw, że czyhają straże
Nad rzeką. Niechno człowiek się ukaże,
Co na afisze nie patrzy
I od sklepikarzy bladszy,
Niedbale utrzewiczony
I źle urękawiczony:
Myślą, że się chce topić;
A więc, pełni zgrozy,
Ratują go od śmierci, a wiodą do kozy.
Taki to jakiś po Sekwany brzegu
Biegł przeciw wody.
Żandarm zatrzymał go w biegu
I urzędownie pyta o powody
Tego biegu przeciw wody.
»Nieszczęście — woła biedak — pomocy, ratunku!
Żona mi utonęła, żona, iż tak rzekę,
Wpadła mi w rzekę«.
A na to żandarm mu rzecze:
»O! praw hydrauliki nieświadom człowiecze!
Szukasz utopionego ciała w złym kierunku.
Ona z góry w dół płynie wedle praw przyrody,
A ty za żoną biegniesz przeciw wody«.
»Boć to ciało — mąż rzecze — było w życiu dziwne,
Zawżdy wszystkiemu przeciwne:
I domyślać się mam pewne powody,
Że popłynęło rzeką przeciw wody«.

*Adam Mickiewicz.*

## PIOSENKA.

Pan Ambroży jest mocny,
Pan Barnaba słaby.
Walczą; a ja zaś stoję
Po stronie Barnaby.

Może los Ambrożego
Na ziemię położy...
To ja sobie tam stanę,
Gdzie leży Ambroży.

Mówią, że tym sposobem
Łatwo dostać w skórę...
Prawda. Cóż, kiedy taką
Głupią mam naturę.

*M. Rodoć.*

## PRZYJACIELE.

Niemasz teraz prawdziwej przyjaźni na świecie;
Ostatni znam jej przykład w Oszmiańskim powiecie.
Tam żył Mieszek, kum Leszka, i kum Mieszka, Leszek,
Z tych co to: gdzie ty, tam ja, — co moje, to twoje.
Mówiono o nich, że gdy znaleźli orzeszek,
Ziarnko dzielili na dwoje;
Słowem, tacy przyjaciele,
Jakich i wtenczas liczono niewiele:
Rzekłbyś dwójduch w jednem ciele.

O tej swojej przyjaźni raz w cieniu dąbrowy
Kiedy gadali, łącząc swoje czułe mowy
Do kukań zazul i krakań gawronich:
Alić ryknęło raptem coś koło nich.
Leszek na dąb; nuż po pniu skakać, jak dzięciołek.
Mieszek tej sztuki nie umie,
Tylko wyciąga z dołu ręce: »Kumie!«
Kum już wylazł na wierzchołek.

Ledwie Mieszkowi był czas zmrużyć oczy,
Zbladnąć, paść na twarz, a już niedźwiedź kroczy.
Trafia na czoło, maca: jak trup leży;
Wnosi, że to nieboszczyk i że już nieświeży.
Więc, mruknąwszy ze wzgardą, odwraca się w knieję,
Bo niedźwiedź Litwin mięs nieświeżych nie je.
Dopieroż Mieszek odżył... »Było z tobą krucho! —
Woła kum — szczęście, Mieszku, że cię nie zadrapał!
Ale co on tak długo tam nad tobą sapał,
Jak gdyby coś miał powiadać na ucho?«
»Powiedział mi — rzekł Mieszek — przysłowie niedźwiedzie:
Że prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie«.

*Adam Mickiewicz.*

---

## ŻEBY.

»Żeby to mnie! żeby owo!
Żeby tak, lub tak się wiodło!«
Człowiek żeby ma za godło;
Żeby pierwsze nasze słowo.
Żeby tacy byli bliźnie!
Żeby tak, lub tak w ojczyźnie!

Żeby żona! żeby domek!
Żeby — żeby znów potomek!
Wciąż niepokój dzwoni z łona:
Insze, insze znów potrzeby,
Liczba zer, a nieskończona,
Niż chwil w życiu więcej — żeby;
Człowiek tu na ziemi gości.
Żeby! zawsze czegoś trzeba.
Och! Rozstrzeni — i wieczności!
Ojcowskiego domu — nieba!
Człowiek żeby już nie powie,
Gdy ożyje tam — duchowie.

*Bohdan Zaleski.*

## IDYLLA MALEŃKA TAKA.

Idylla maleńka taka:
Wróbel połyka robaka,
Wróbla kot dusi niecnota,
Pies chętnie rozdziera kota,
Psa wilk z lubością pożera,
Wilka zadławia pantera,
Panterę lew rwie na ćwierci,
Lwa — człowiek; a sam, po śmierci,
Staje się łupem robaka.
Idylla maleńka taka...

*M. Rodoć.*

# JAKO KRÓL SOBEK,
## PRZEGRAWSZY DOMA, WYGRAŁ POD WIEDNIEM.

Pan Hetman, silny w ducha, w dłoń i w słowa,
Przecież mniej silny, niźli białogłowa;
Jeździ po karku Turczyna sąsiada,
Ale samemu Jejmość na kark wsiada;
Jest dzielnym wodzem na czele swej młodzi,
Lecz go samego Jejmość za nos wodzi.
— Proszę cię, duszko — mówi słodkiem słowem —
Wygrzmoć mi tęgo Tatarów pod Lwowem. —
— Jeśli masz litość dla słabej kobiety,
To pod Chocimem wykrop Turkom grzbiety. —
— Jeżeli nie chcesz, bym mdlała ustawnie,
To podpisz serce układy w Żórawnie. —
Pan hetman kropi, podpisuje, grzmota,
Wreszcie odpocząć bierze go ochota,
Aliści Jejmość znów mu głowę suszy:
— Wiesz co, rybeńko, jak cię kocham z duszy,
Tybyś powinien królem polskim zostać. —
Więc został królem...
Nowa rzeczy postać:
Francuz i Austryak stoją przeciw sobie.
Myśli król w duszy: »Teraz wiem, co zrobię;
Czas z rakuskiemi skończyć praktykami,
Trzymam z Francuzem«.
Gdy raz byli sami,
Jejmość na nerwy wielce się uskarża.
— Proszę cię, kotku, wszak wesprzesz cesarza?
— Nie mogę. — Możesz. — Ale, Marysieńku,
To chciwiec wielki! On mi pomaleńku,
Nieznacznie, gotów wleźć aż do Krakowa. —
— Nie mów tak głośno, bo mię boli głowa,

W twe przewidzenia niezupełnie wierzę,
Ktoś ci je poddał. — A więc wyznam szczerze,
Że król francuski... — Co? ten gbur prostaczy,
Który mię w rękę całować nie raczy?
Słabo mi! mdleję!... — Rwetes! rejwach! biegą
Ratować, trzeźwić. Tegoż dnia samego
Król, sam się dziwiąc z nagłej w sobie zmiany,
Zamiast z Francuzem, sprzągł się z Rakuszany.

Jak na to, Turek z wojskiem niepośledniem
Wybrał się gracko pohulać pod Wiedniem.
Więc cesarz takie wyprawi pisanie:
— Życzę ci zdrowia, Mości eks-hetmanie,
Dzisiejszy królu! Oto rzecz jest taka:
Ty bij się za mnie, a ja dam drapaka,
Boć nie napróżno sprzęgliśmy się ściśle. —
— Co? co? za Niemca bić się? Ani myślę. —
— Ale, serdeńko, kiedy legat prosi... —
— Choćby i skrzypiał, jak koło na osi,
To mię już więcej z Niemcem nie pobrata. —
— Legat papieski... — Przeproszę legata,
W rękę go, w nogę pocałuję w skrusze,
Ale Niemcowi wręcz odmówić muszę. —
— Lecz Ojciec święty... — Sam mam dość kłopotów.
Ojcu świętemu wszystkom zrobić gotów,
Byle nie trzymał z Niemcem. — Jak chcesz wreszcie.
Nie mnie to słabej sprzeczać się niewieście.
Zrobisz, jak zechcesz, boć ty przecie panem! —
— No... jakbym... tego... —
Z licem zagniewanem
Umilkła Jejmość i tylko bez przerwy
Na ból się głowy skarżyła i nerwy.

Nazajutrz rano czarcia moc przyniosła
Wilcze grafiątko, cesarskiego posła.

On tedy Wilczek łasi się nielada,
Wyrzeka, skomli; wszystko nic nie nada,
Więc plackiem do nóg. — A toż sroga męka!
Patrz, Marysieńko, on przede mną klęka. —
— To proś go siedzieć. — On ledwie nie płacze. —
— Ależ bo twoje obejście prostacze
Łez tylko warte. — Patrz, on ręce składa. —
— Daj mi tam pokój. Jam już bardzo blada,
Zaraz zemdleję. — Czekaj tylko chwilę.
Jeśli i dziś się ku Niemcom przechylę,
To już wyraźnie, żem jest kiep, dowiodę. —
A ona na to, głaszcząc go pod brodę:
— Fe! brzydkie słowo, tchnące kordegardą;
Nie trzeba nigdy stawiać się tak twardo
Słabej kobiecie, mającej swe plany.
Ja wiem, tyś człowiek dobrze wychowany.
Ty mi obronisz Wiedeń...
Kusa sprawa!
Więc król rad nie rad zakasał rękawa,
I w chwilę potem Turcy umykali,
Aż się za nimi kurzyło w oddali.

Wtem wraca cesarz wśród licznej czeredy:
— Cóż Wiedeń wolny? No, to dobrze. Tedy
Idź teraz każdy, gdzie jest droga komu,
Kłaniam i żegnam. Ja zostaję w domu,
A Mospan Polak wracaj w swoją stronę. —

Rzeknie król, kręcąc wąsy nastroszone:
— Jabym tu został na zimowe leże. —

Na to Leopold: — Ja sam radbym szczerze,
Lecz owies drogi, a i wy też przecie
Jeść wasser-zupki cienkiej nie zechcecie.
Więc szczerze radbym... ale cóż? nie mogę —
*Servus*, mój panie, i krzyżyk na drogę. —

Rzeknie król: — Z Polski, skądeśmy ściągali,
Przyszliśmy syci, z miną gęstą, cali;
Wracamy ranni, głodni i obdarci...
Żegnam, mój panie, niech cię porwą czarci! —
I myślał, idąc: — Dobrze mi. Nie chciałem
Nosić miecz chwały przed królem Michałem,
Co był i szlachcic, i szedł z rodu Piasta,
Więc mię dziś za nos wodzi mdła niewiasta...
Ale tym sztuczkom będzie wreszcie *satis*:
Takie jej wytnę *verba veritatis*
Za mym powrotem, że spazmów dostanie,
A ja... nic na to. U mnie tak, Mospanie! —

Kiedy już wjeżdżał w bramy Wilanowa,
Patrzy, aż żonę strasznie boli głowa.
Wtem ta królowa wielce słabowita:
— Jak się masz, serce? — słabym głosem pyta.

Na to jej ostro król strapiony srodze:
— Ha! mam się z pyszna, tak jak groch przy drodze. —
— Fe! brzydki wyraz — rzekła słowem miłem. —
Król stracił rezon. — Jak chciałaś, zrobiłem.
Kazałaś bronić Wiednia. Wiedeń oto
Swobodny. Chciałaś, bym się bił z ochotą,
Nie oszczędzałem ni głowy, ni piersi... —
Na to mu rzekła Marysieńka: — »*Merci*«.

*Felicyan Faleński.*

X.

## SMUTNO MI, BOŻE!

Smutno mi, Boże! Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą.
Przede mną gasisz w lazurowej wodzie
Gwiazdę ognistą.
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,
Smutno mi, Boże!

Jak puste kłosy, z podniesioną głową,
Stoję rozkoszy próżen i dosytu,
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową.
Ciszę błękitu;
Ale przed Tobą głąb serca otworzę:
Smutno mi, Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu blizki,
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski,
Choć wiem, że jutro błyśnie nowe zorze,
Smutno mi, Boże!

Dzisiaj, na wielkiem morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,
Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.

Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu,
Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę,
Smutno mi, Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości,
W straż nie oddane kolumnowym czołom:
Alem jest jako człowiek, co zazdrości
Mogił... popiołom.
Więc że mieć będę niespokojne łoże,
Smutno mi, Boże!

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codzień, a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie...
Więc że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi, Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli Twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie
Patrzący — marli...
Nim się przed moją nicością ukorzę,
Smutno mi, Boże!

*Juliusz Słowacki.*

# ZAKOCHANA.

Wiatr szeleści po topoli,
Pomiata kaliną;
O! a serce — serce boli,
Łzy płyną, i płyną.

Młode latka w smutkach lecą,
A nadal rozpacze;
Wtedy tylko lżej mi nieco,
Gdy w kątku popłaczę.

Łzy niedoli mej nie zmogą,
Lecz służą na leki!
Kto miał jedną chwilkę błogą,
Ten biedny na wieki!

Czemu taka wątła, blada,
Chylam się na wiosnę!
Ja roślinka mdła, rozsada,
Na wydmach tu rosnę!

Naokoło piasek suchy,
Ni rosy, ni słońca,
Nadal burze, zawieruchy,
Przygody bez końca.

Ludziom śmiechy, ludziom dziwy,
Że szlocham daremnie;
Och! a luby, czarnobrywy,
Daleko ode mnie.

Ni do siebie mnie przygarnie,
Ni ja go przytulę:

Za Dunajem — tęskni marnie,
A kocha tak czule.

Ja kukułka, na obłędne
Zrywam się, och! we śnie,
A w pustyni schnę i więdnę,
I konam boleśnie.

*Bohdan Zaleski.*

---

## BIADA TYM USTOM...

Biada tym ustom, które miłość kłamią,
Bo kiedy przyjdzie, wiosenna i nowa,
I wargi młode pocznie żądzą palić,
Nieskalanego nie odnajdą słowa,
Które się prosić umiało i żalić
I więdnąc będą czuć, że, choć wre łono,
Już od nich inne wargi nie zapłoną,
I niekłamaną boleść tylko splamią —
Nieszczęsne usta, które miłość kłamią.

Biada tym oczom, co na rozkaz płaczą,
Bo kiedy przyjdzie ból, co mózgi trawi
I może z piersi młodość wyssać z cicha
Kamienna żałość, gdzie tylko płacz zbawi,
To łez kłamliwych krynica wysycha.
Jak u szaleńców, suche i ogromne,
W śmierć zapatrzone, dawno snu nie pomne,
Świecą się głuchym strachem i rozpaczą —
Przeklęte oczy, co na rozkaz płaczą.

*K. M. Górski.*

---

# NĘDZA.

Duszo młodzieńcza, jeśli uczuć siła
Nad poziom życia unosić cię będzie;
Jeśli cię marzeń kraina zwabiła,
A myśl fantazyi złotą nitkę przędzie;
Gdy ci na świecie błogo i uroczo,
Zapał ciemne mgły doświadczeń rozpędza:
Pomnij, że ciebie cierniska otoczą,
Że od natchnienia silniejszą jest — nędza!

Geniuszu biedny, w gorącem twem łonie
Spoczywa iskra boskiego natchnienia,
Dzisiejszość laurem uwieńcza twe skronie,
Wyzłaca głoski twojego imienia —
I przyszłe wieki podziwiać cię będą.
Lecz sława twoja to pajęcza przędza,
Na dumnem czole chmury trosk osiędą,
Bo i od sławy silniejszą jest — nędza!

Ołtarz natchnienia pokryje kir wrogi,
Gmach świetnych myśli skruszy się w zwaliska,
Sławę twą rzucisz przechodniom pod nogi,
By od twojego stronili ogniska;
Głód w tobie z cnotą straszną walkę stoczy,
W pierś się twą wpije wszech występków jędza,
A śmierć moralnie zajrzy w twoje oczy,
Bo i od cnoty silniejszą jest — nędza!

*J. Laskarys.*

# DO . . .

(NA ALPACH W SPLÜGEN).

Nigdy, więc nigdy z tobą rozstać się nie mogę!
Morzem płyniesz i lądem idziesz za mną w drogę,
Na lodowiskach widzę błyszczące twe ślady,
I głos twój słyszę w szumie alpejskiej kaskady,
I włosy mi się jeżą, kiedy się oglądam,
I postać twoją widzieć lękam się i żądam.

Niewdzięczna! Gdy ja dzisiaj, w tych podniebnych górach
Spadający w otchłanie i niknący w chmurach,
Wstrzymuję krok, wiecznymi utrudzony lody,
I oczy przecierając z lejącej się wody,
Szukam północnej gwiazdy na zamglonem niebie,
Szukam Litwy, i domku twojego, i ciebie:
Niewdzięczna! może dzisiaj, królowa biesiady,
Ty w tańcu rej prowadzisz wesołej gromady,
Lub może się nowemi miłostkami bawisz,
Lub o naszych miłostkach śmiejąca się prawisz!
Powiedz, czyś ty szczęśliwsza, że ciebie poddani,
Niewolnicze schylając karki, zowią: »Pani«?
Że cię rozkosz usypia i wesołość budzi,
I że cię nawet żadna pamiątka nie nudzi?
Czy byłabyś szczęśliwsza, gdybyś, moja miła,
Wiernego ci wygnańca przygody dzieliła?

Ach! jabym cię za rękę po tych skałach wodził,
Jabym trudy podróżne piosenkami słodził,
Jabym pierwszy w ryczące rzucał się strumienie
I pod twą nóżkę z wody dostawał kamienie,
I przeszłaby twa nóżka wodą niedotknięta,
A całowaniem twoje ogrzałbym rączęta!

Spoczynek-by nas czekał pod góralską chatą;
Tam zwleczoną z mych barków okryłbym cię szatą,
A tybyś, przy pasterskim usiadłszy płomieniu,
Usnęła i zbudziła na mojem ramieniu...

*Adam Mickiewicz.*

---

## SZKODA.

Szkoda kwiatów, które więdną
W ustroni —
I nikt nie zna ich barw świeżych
I woni;
Szkoda pereł, które leżą
W mórz toni;
Szkoda uczuć, które młodość
Roztrwoni;
Szkoda marzeń, co się w ciemność
Rozproszą;
Szkoda ofiar, które nie są
Rozkoszą;
Szkoda pragnień, co nie mogą
Wybuchać;
Szkoda piosnek, których nie ma
Kto słuchać;
Szkoda męstwa, gdy nie przyjdzie
Do starcia...
I serc szkoda, co nie mają
Oparcia.

*El...y.*

---

# OBRAZ CMENTARZA SIELSKIEGO.

Ze starych zgliszcz na cmentarz pójdź ze mną za sioło:
Na wzgórzu wierzb się kilka rozbiegło wokoło,
Wał nizki, furtka z krzyżem, żółte i zielone,
Krzyżami, krzyżykami, kamieniem znaczone,
Ściskają się mogiły. A! inny świat, nowy!
Nie bujać wam, grobowce, po górach i stepie,
Żal ziemi dla umarłych, głowa koło głowy,
Spać wam wszyscy przy sobie, czerep przy czerepie.

Wkrótce miejsca zabraknie, tak umarłym ciasno!
Dobrze to mieć mogiłę osobną i własną,
Ale pola tak mało, a ludu tak wiele!...
Szczędzi go dłoń grabarza, co to łoże ściele.

Witajcie mi, mogiły braci pracowitej!
Raz w rok do was gromada z łzą przychodzi w gości,
Każdy szuka rodziny pod ziemią ukrytej,
I duchom niesie z jadłem pieśń swojej żałości.

Siedli, płaczą, jak gdyby pracą wysuszone,
Łez znowu pogrzebowych wytrysnęło źródło,
Jęki matek, żon płacze lecą w duchów stronę;
Wszystko im mówią: jak się im wiedzie i wiodło,
Która im zdechła krówka, ile kop w stodole,
Opowiadają nadzieje swe, straty i bole,
Goście mogił z niememi prowadzą rozmowę,
I gorącą do ziemi przykładając głowę,
Niejedną łzą polali trawę, co je kryje.
Lecz są biedne mogiły sierot za żywota,
Do których z wieścią usta nie przyjdą niczyje
I potraw im nie stawi serdeczna tęsknota.

W kącie cmentarza wklęsłe, chwastami obrosły —
Ani krzyża poprawić, ni ich opleć komu.
Drzewa tylko z litości gałąź nad nie wzniosły
I strzegą je od wichrów, ciesząc pokryjomu.

Czasem bydełko z pola zbłąka się nad groby.
Na co je spędzać? Któż wie? może panu miło,
Kiedy krówka zaryczy na znak swej żałoby,
Kiedy wolika kroki tętnią nad mogiłą.

Czasem na długo drogi zarosną cmentarne,
To znów w żółte mogiły pstrzy się rola święta,
Wiozą trumnę odkrytą zwolna woły czarne.
A w trumience dziewczyna młoda śpi zamknięta;
Rodzice jej sprawiają pogrzeb i wesele!
Są drużki, są ręczniki, korowaj i wianek.
Tylko muzyki niema, duszy niema w ciele,
Narzeczony jej cmentarz, a grób jej kochanek.

*J. I. Kraszewski.*

---

## POLAŁY SIĘ ŁZY ME...

Polały się łzy me czyste, rzęsiste,
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie,
Na moją młodość górną i chmurną,
Na mój wiek męski, wiek klęski;
Polały się łzy me czyste, rzęsiste!...

*Adam Mickiewicz.*

---

## OSTATNIA PIEŚŃ.

Liro moja ty złota,
Coś służyła mi wiernie,
W tej pielgrzymce żywota,
Przez urwiska i ciernie!

Ej niejedną, niemałą,
Radość rzewną a błogą
Przez cię serce poznało,
Liro moja niebogo!

Ach! i troska też czarna,
I niejedna z katuszy
Z ciebie przyszła do duszy,
Liro moja niezdarna!

Bo duch jakiś złośliwy
Strun twych zaklął połowę,
Głos wydarłszy im żywy,
Na milczenie grobowe!

Pomnisz, pomnisz, bywało,
Gdy natchnienia cud Boży
Duszę wstrząśnie mi całą
I pieśń świętą w niej złoży,

Ileż razy skwapliwa
Dłoń ma, bijąc w twe struny,
Nadaremnie się zrywa,
Byś te wszystkie pioruny

I orkanów tych szały,
Całą moją pieśń — burzę,

Chorał straszny, wspaniały,
W swym odbrzmiała mi wtórze!

Aż mi mdleje, drży ręka,
Aż się z palców krew toczy,
Z bólu serce aż pęka —
I zalewa krwią oczy.

A ty nędzna, ty licha,
Albo milczysz, jak drewno —
Albo szemrzesz mi z cicha
Skargę łzawą i rzewną.

Lub jak piersi, złamane
Pod brzemieniem boleści,
Rozproszone, urwane
Ronisz głosy bez treści.

Liro! z tobą we dwoje,
Całą-m schodził krainę;
A któż pieśni zna moje,
Kto zna serca głębinę?

Gdyby klątwy nie było!
Gdybyś, wolna jak ptaszę,
Całych swoich strun siłą
Mogła zagrzmieć pieśń naszę!

Gdyby!... Maryo Święta!
Ześlesz-że mi anioła,
Co z mej liry te pęta,
Czar ten straszny zdjąć zdoła?

Ześlij, ześlij, litośna!
Niech pieśń moja nie ginie!

Niechaj pełna, rozgłośna,
Choć ostatni raz płynie!

Przed drużyną niech bratnią
Głąb odsłoni mej duszy,
Niech choć raz ją poruszy,
Choćby była ostatnią!

A gdy marne próśb słowa,
Gdy w tej trosce, żałobie
Z klątwą, biedny niemowa,
Mam już w zimnym ledz grobie,

Niech choć głaz mój mogilny
Z liry już wyzwolonej
Wstrząśnie pełny dźwięk silny,
Pieśni długo tłumionej!

Liro moja ty biedna,
Srogie mąk mych narzędzie!
Niech pieśń taka choć jedna,
Choć pośmiertna niech będzie!

*Adam Pług.*

## PRZĘDZALNIA.

Wrzeciona latają, wirują, kołują,
Wrą hale posępnym łoskotem.
Szept słychać: »O wij się, wij, nitko nadziei!«
Szept ginie śród zgrzytu, grzmią hale z kolei
Ponurym chichotem.

Wirują wrzeciona, ulata nić biała,
Szept słychać: »O wij się nam prędzej!
»Nie będzie zła dola w drzwi nasze pukała!«
Chichotem i zgrzytem gra wrzecion zagrzmiała:
»Żyj w nędzy! Żyj w nędzy!

Ryk słychać, głąb hali śród mroku się nurza.
Ach, spojrzyj po tłumach daleko!
Gwar głuchych poszeptów powstaje, jak burza...
Sza!... Cicho!... To wicher obiega podwórza
I z oczu łzy cieką...

*Andrzej Niemojewski.*

---

# KUŹNICA.

Wrą koła w kuźnicy, dym czarny się kłębi,
To biegun cyklopi chcą odkuć tam w głębi,
Drgnął w swoich posadach glob stary, nim runie,
Na nowym go oni zawieszą biegunie!

Wrą koła, zgrzytają zębami w pogoni,
Dym czarnym sztandarem olbrzymów twarz słoni.
Drżą ściany! Hej, śmiało, wy ludzkie kolosy!
Brak ognia? Rzucajcie pod kotły swe losy!

Wrą koła, żar pryska, robota szaleje,
Pod kotły rzucono ostatnie nadzieje...
Cyklopy! Hej, śmiało! Do ognia z kolei
Rzucajcie swą rozpacz, gdy brakło nadziei!

*Andrzej Niemojewski.*

---

# DWIE PIASTUNKI.

Od kolebki, tylko, tylko
Com przeczołgał kilka lat,
Już mnie rzuca jedną chwilką
Matka, idąc w inny świat.
I zostawia chłopię młode
Na wygodę, niewygodę.

O! już wonczas główka mała
Przędła wdzięcznych widem rój,
Co żądała, nie żądała,
To się plotło w senny zwój;
Zlatywała myśl nieboga
To od Boga, to do Boga.

Raz sennemu tak przypadło
Dwoje dziewic, białych róż.
Jak widziadło, nie widziadło,
Przy nagłówku stały tuż.
Jak do matki, ku nim kłonię,
Jednej dłonie, drugiej dłonie.

I spierały się dziewice,
Która dziecko niańczyć ma.
»Ja śmiejące dam mu lice,
Niechaj zbytek, szczęście zna.
I myśl jego się pobrata,
To ze światem, to ze świata«.

»Puszczaj, siostro — rzecze druga —
»Puszczaj rączkę. W malcu tym
Budzić rozkosz, nie posługa
Ni to jemu, ni to im.

Ja go wniańczę w ostre bole,
W dobrą dolę, i w niedolę«.

A mówiła taką twarzą,
Tak jej oczy zaszły łzą,
Tak cierpienia w niej się skarżą,
Że mi ku niej piersi drżą —
Żem się rzucił cały pono
Na jej łono i w jej łono.

W on czas z dala znikła, znikła
Druga postać w jasnem tle,
A mnie smętność tak niezwykła
To do główki, to w pierś ssie.
Bo zostałem z własnej woli
Dzieckiem doli i niedoli.

Odtąd niańka, zazdrośnica,
Zaszczepiała dzień i noc
Boleść w serce, smutek w lica,
Słabość ciała w męską moc,
Urabiała, Bóg wie na co,
To ladaco na ladaco.

Czasem, czasem z za obłoku
Zapromieni drugiej twarz,
To ja lecę, lecz w wyskoku
Już, już tęsknię, Boże skarz,
Za tą pierwszą zapłakaną,
Tak mi znaną i nieznaną.

Lecz cóż robić, mówcie sami!
Kiedy tak mi lubo z łzami,
Kiedy serce, jak koń w cwale,
Rzuca pianą w cierpień szale

I z swą raną tak swawoli,
Że nie boli to, co boli.

Lecz cóż robić? kiedy żale,
Co się skąpią w zdroju łez,
To tak wonią okazale,
Jak lilija, róża, bez,
I siostrą ci są i bratem,
I są kwiatem i nie kwiatem.

Darmo, darmo siły krzepię,
Darmo szarpię, widzi Bóg,
Już mej dłoni nie odczepię
Od jej szyi, od jej nóg.
Bo w mej drodze jest sąsiadką,
W życiu matką i nie matką.

Raz wyrwałem się niebodze,
Och! był to weselny dzień,
Bębny biły mi po drodze,
Wpośród huku, wpośród grzmień,
Zdało mi się... tylko zdało,
Bo się rwało i urwało.

I straciłem raz na zawsze
Do mej chatki rodnej szlak,
Na rozstajne, na najkrwawsze
Drogi wbiegłem, jak ten ptak,
Co go w klatkę pchną sokoły,
Niby wesół, nie wesoły.

Ach! raz znowu-m na domowym
Progu zdybał szczęścia zdrój,
Usty, sercem niejałowem
Usłyszałem: twoja, mój;

I uciekłem w krąg zamęścia
Przed nieszczęściem — do nieszczęścia.

I wypchnąłem mą piastunkę
Za dziesiąte siódme drzwi,
I oddałem jej skarbonkę,
Pełną łez i pełną krwi.
I rzekłem jej: to ostatnie
Łzy me bratnie i nie bratnie.

Gdzie tam!... przyszła do podwoi,
Do znajomych sobie wrot.
Tuż przy łożu żony stoi
I roztacza chorób splot.
A szczęście mnie pożegnało
Trumieneczką jedną — małą.

Ha! cóż robić, piastuj sobie
Ulubieńca, piastuj wciąż,
To w żałobie, to w chorobie,
Mocnem pętem k' sobie wiąż.
Ej, strzeż! bo ci się wyślizne
Z tej mielizny w głąb, w mieliznę.

*Dominik Magnuszewski.*

## JESIEŃ.

Przyszła do mnie jesień blada
Z wieńcem zżółkłych liści w dłoni,
Przyszła do mnie i powiada:
»Pójdź, tam pogrzeb dziś na błoni!

»Wiatr już dumki gra żałosne,
»Bór zawodzi smutne pienia,
»Pochowamy twoją wiosnę,
»Pochowamy twe marzenia!«

Ja nie pójdę tam na groby,
Tam, gdzie pieje chór żałosny,
Tam, gdzie czarny świat żałoby,
Tam, gdzie grzebią ludzkie wiosny!

Szumi głucho jesień blada:
»Nie my wiosnę grzebiem w tobie!
»To w twej duszy liść opada,
»To w twem sercu grób przy grobie!«

*Andrzej Niemojewski.*

---

## Z POZA MOGIŁY.

Kiedym umierał, anioł śmierci blady
Schylił się nad moje łoże.
— »Chcesz żyć? — rzekł, widząc w oczach mych łez ślady —
Powiedz, a stać się to może.

»Mieć będziesz wszystko, czegoś nie miał wcale,
Czego ci było za mało,
Za czem goniłeś w niestrudzonym szale
I co ci wciąż uciekało:

»Tę, którąś kochał — duszy twej wybraną,
Tę, której pragnąłeś — sławę;

Zbudzisz się niby, jakbyś w letnie rano
Pożegnał sny twoje łzawe.

»Gdzie były ciernie, kwieciem wiosny świeżéj,
Dłoń luba szlak ci uściele;
Toć się i tobie także coś należy«.
— »Słuchaj mnie, blady aniele.

A tam co będzie? dokąd mnie Pan woła?«
— »Cień, zapomnienie i cisza«.
— »To, stróżu blady, nie zwlekając zgoła,
Tam twego wiedź towarzysza«.

*Felicyan Faleński.*

XI.

1 sierpień

Powiadomienie

ja A. Kamykowa

Podpisałam Administra-
cij domu Inwicka No 6-8
karty żywnościowe na
Ministerstwo Bezpieczeństwa kiedy się zwróciłam
to nie mogłam się
ni zadem sposub p

## TŁÓMACZENIE
### MARSZA POGRZEBOWEGO CHOPINA.

Tyle dzwonów! Gdzie te dzwony? Czy w mej głowie huczą?
Kędy idą roje księży z taką pieśnią kruczą?
Tu przede mną o dwa kroki czarny wóz się toczy —
Jak mi ciemno! ten wóz czarny ściemnił moje oczy.

Gdzieś w powietrzu krzyż jaśnieje, migają pochodnie,
A prowadzą mię pod ręce — idę tak wygodnie,
Same prawie się podnoszą zadrętwiałe nogi —
Dobrze, dobrze, że mnie wiodą — nie znam żadnej drogi.

Idę, płynę, niby śniący, bez myśli, bez woli,
Tylko w głowie, tylko w sercu coś mnie strasznie boli,
Coś zatapia w nich swe szpony — krzywe, ostre szpony —
A tu ciągle biją dzwony, a tu kraczą wrony...

Ha! muzykę jakąś słyszę — pięknie grają, pięknie...
Żar mam w oczach, a po twarzy coś zimnego cieknie —
Patrzą na mnie, ale zbliżyć nikt się nie odważa,
Musi coś być w mojej twarzy, co ludzi przeraża.

A wóz ciągną cztery konie, okryte żałobą,
A mnie ciągnie jakaś siła, wlecze mię za sobą...
Wielki Boże! toż ta trumna wysuwa się ku mnie!
Tam zagadka mego bytu — w tej trumnie! w tej trumnie!...

Na atłasie, piękna, cicha,
    Ręce trzyma w krzyż,
Przez sen do mnie się uśmiecha —
    Och! ty już nie śnisz!

Och! nie czujesz ty już woni
    Z wieńca białych róż —
Całowaniem twojej skroni
    Nie zbudzę cię już!

Nie wiesz nawet, że za tobą
    Idę, blady trup,
Że prowadzę cię z żałobą,
    Że prowadzę w grób!

Na toż ciebie biedna matka
    Wydałą na świat,
I jam kochał do ostatka,
    Bym cię w trumnę kładł!

Takież moje ślubne łoże?
    I ja w takim dniu
Żyję jeszcze? Boże! Boże!
    Co ja pocznę tu?!

Była słodka i anielska,
    I kochała mnie.
Jak piosenka jaka sielska,
    Płynęły nam dnie.

I jam przy niej był bez grzechu
    I anielskość miał,
Bo z jej oczu, z jej uśmiechu
    Jam sakrament brał.

Była dla mnie, jak natchnienie
  Geniuszu i cnót,
Wiodło mnie jej szat jaśnienie
  Do niebieskich wrót.

Gdzież zawiodło mię na końcu,
  Po przebyciu prób?
W czarną otchłań szedłem w słońcu!
  Przez nadzieję — w grób!

Takież moje ślubne łoże?
  I ja w takim dniu
Żyję jeszcze? — Boże! Boże!
  Co ja pocznę tu?!

Wzięli trumnę na ramiona, ponieśli ją śpiesznie,
Mnie zatrzymać chcą przemocą — ha! ha! to pociesznie!
Precz mi z drogi, głupi tłumie, bo będzie nieszczęście —
Młody jestem, wściekły jestem i mam silne pięście!

Ja mam jeden do niej prawo — precz! z drogi, ciekawi!
Czarne mrowie! tylko równy niech mi opór stawi —
Mego bólu żadna z waszych piersi nie pomieści.
I pierzchnęli — a ja idę, wielki król boleści!

Pośród gwaru podziwienia, śród hałasu dzwonu,
Oto zbliżam się do trumny — do mojego tronu!
Ty, grabarzu, na tym kopcu wsparty na łopacie,
By takiego pogrześć króla, ile chcesz, mój bracie?

A zakop mnie, a głęboko — tak mi źle na świecie!
Ciężej, niźli twoja ziemia, powietrze mię gniecie...
Precz z kropidłem! i święcona woda ją poplami —
Ja tu jeden mam kapłaństwo — pokropię ją łzami!

Z pod habitu zakonnego wysuwa się ręka,
Jakaś jasna, jakaś mocna! duch mój przed nią klęka.
Dotknęła mnie! a ja padam podcięty, jak kosą...
I wzięli mię i ponieśli, — gdzie oni mnie niosą?

*Kornel Ujejski.*

---

## DOM OBŁĄKANYCH.

...Więc jako piorun, zmysłów pomieszanie
Ludzkie rozumy w okamgnieniu łamie,
W dzikim się rodzi klęsk i grzechów tanie,
Lub ma dziedzictwa kainowe znamię —
I rządzi nami prawo niezachwianie,
Że zła natura przez srogą infamię
W życiu nam stwarza niesłychaną sprzeczność,
Która trwać będzie całą świata wieczność!

Bogini losu jest indyjską Mają,
Pełną tajemnic okropnego czaru.
Upiory szału nagle w mózgach stają,
Niweczą wszystko tak, jak skry pożaru,
A dzierżą władzę i nad ciemną zgrają,
Która wylata z nór Assomoiru,
I z Wittelsbachów genialnego rodu
Mściwie ofiary chłoną już za młodu...

Patrz na te dziwnie uroczyste mury!
Tu najstraszniejsza mieszka ludzka nędza,
Tu obłąkania krąży duch ponury,
Z mglistych widziadeł chorą myśl wyprzędza,

Tu przez olbrzymie ludzkich dusz tortury
Wybucha szału furyackiego jędza,
Która urąga, mając mocy tyle,
Krafftów-Ebingów zbawicielskiej sile.

Oto jak biada z potarganym włosem
Kobieta z ludu; twarz ma załzawioną.
Niewiara męża jest jej życia ciosem,
Więc go dla zemsty struła belladoną,
Lecz nagle, srogim przerażona losem,
Analfabetką staje się szaloną,
A teraz, płacząc, pamięć swą wytęża
I opowiada, jak kochała męża.

Inny ma wygląd ten u sali skrętu:
On z pompatyczną wita wszystkich miną
I przykazania wieszczy sakramentu —
Z tych, co z obłędów wielkościowych płyną —
On sam na niwecz, na miazgę do szczętu
Cały świat zburzy, by się stał ruiną,
I przyjął na się postać Herostrata,
Ażeby wszystko zgładzić z tego świata.

A oto drugi, nikły, zmięty, stary,
Chód mu cechuje ruch epileptyczny;
Przez całe życie pił z rozkoszy czary
I miał zachwytów poczet wcale liczny,
Aż sybaryta, gdy tak pił bez miary,
Zmiażdżony został przez ten szał bachiczny.
I teraz z wspomnień swojej satyryazy
Snuje powieści, pełne sprosnej skazy.

U stołu siedzi człowiek przygnębiony
Szklanego oka i chmurnej postaci.
Ten niewolnikiem żądzy był mamony,
W zapamiętałej tonął spekulacyi,

Aż orkan giełdy porwał mu miliony,
I w jednej chwili wszystko naraz traci —
Dziś wyobraźnię przeszłem szczęściem mami
I stół szpitalny znaczy wciąż cyframi.

Tam dalej, w kącie stoi bardzo blada
Dama z wysokiej towarzystwa sfery.
Wzrok idyotyczny naokoło pada,
Dawniej bogaty w blask pogodny, szczery;
Nic nie pamięta, nic nie opowiada
Z dziejów minionej życia swej chimery —
Do obłąkania zaszła mglistych krain
Przez jad trujący morfin i kokain.

A oto leży sławny ów artysta...
Skąpana w świętym do sztuki zapale,
Zmarniała dusza kryształowo czysta
W złej namiętności wyuzdanym szale.
Demon, porwawszy go na wzór Mefista,
W alkoholicznych wzruszeń nurzał kale,
Aż kapłan piękna u złowrogiej czary
Ujrzał nareszcie obłąkania mary.

Świat mu się cały w inne kształty zmienia:
Z nozdrzami panter tłum go kobiet wita;
Wielki dziwoląg twarz ma Rafaela;
Potem potworów płynie masa zbita...
Z Apokalipsy wszystko się wydziela
I deliryata za ramiona chwyta,
I boleściwie pierś mu ssą centaury,
Mamuty, małpy i ichtyozaury.

Chciałbym się wyrwać z dzikich mar uścisku,
Lecz chorych nerwów praca ta daremna!
Płyną potwory wśród piorunów błysku,
Władza szatana bije go nikczemna.

I geniuszowi ku urągowisku
Umysł i duszę noc ogarnia ciemna...
Dziś do widziadeł w swej leżącej pozie
Wznosi ramiona w strasznej bólów grozie.

Długie są dzieje mózgów roztrzaskania
I rozmaite twarze ich fantomu.
W ciemnoty wiekach bez politowania
Obłęd karano, jako znamię sromu;
Teraz oświata nędzę tę osłania
Czujną opieką w pałacowym domu
I niesie pomoc nędzy tej bogatą —
Za miłość ludzką cześć ci, o oświato!

*Włodzimierz Stebelski.*

## ŚMIECH.

Myśmy wszystko stracili wśród niewiary grzechu —
Do owego głośnego, serdecznego śmiechu,
Od którego twarz szczera wesołością błyska,
Co policzki rozdyma, z oczu łzy wyciska,
I taki jowijalny, a bez żółci przecie,
Że się człowiek śmiejący wydawał, jak dziecię.

O, śmiech ten nie był milczkiem pełznącą gadziną,
Ale lał się strumieniem, jako stare wino!
Lecz dzisiaj, o ty śmiechu ubiegłego czasu,
Coś jak wino wytrawne nie miał w sobie kwasu,
Ty nasz wesoły kumie, ty drużbo serdeczny,
Już z nami, stary śmiechu, wziąłeś rozbrat wieczny!

A uśmiech nasz dzisiejszy smutny i nieszczery,
Cichy i nudny, jako maryasz bez kozery,
Cierpko potrząsa głową i przygryza wargi,
Które, jakby gorączka, przepaliły skargi.

Dziś tu cynizm, bezczelność i jako polipy,
Tak gęsto się wijące, szarpiące dowcipy,
I tyle wszędzie żółci, coby gryzła wściekle,
Że w krąg słychać zgrzytania, jakby na dnie w piekle.

O śmiechu! zanim do nas wróciłeś ponury,
Wprzód cię okrutna dola wypędziła w góry,
I nieraz cię słyszano wpośród armat huku,
Wśród palących się grodów i barykad z bruku,
Przy ogniu karabinów, przy bębna odgłosie,
I na długiem tułactwie o straszliwym losie, —
A gdy się krwią niewinnych miecz kata rumienił,
Tyś się w dwuznacznik śmiechu i rozpaczy mienił.

Odkąd śmiech małpi skrzywił policzki Woltera,
Którym on żegnał ziemię w chwili, gdy umiera,
Odtąd w Paryżu skonał ów głośny śmiech stary,
Co miał swoje korzenie, miał swoje konary,
Jak wszystko to, co żyło w czasach silnej wiary,
A w miejsce jego nastał ów uśmiech jałowy,
Jak szkoły d'Alemberta i serca i głowy;
Odtąd Paryż się próżno wśród wstrząśnień szamoce,
Bo niewiara nie stwarza, lecz tylko druzgoce...

O, biada talentowi, co, pełen zapału,
Chce, jak orzeł, ulecieć w kraje ideału!
Głupi uśmiech go śrutem szyderstwa postrzeli,
I ptak ten, co już słuchał niebieskiej kapeli,
Co już swem okiem niebios zaczerpnął ułudy,
Musi z pod wrót niebieskich upaść w ziemskie brudy,

Nim go stamtąd bez skrzydeł, tracącego pierze,
Piołunna ręka śmierci przed czasem zabierze.

*Antoni Czajkowski.*

---

# ŻEGLARZ.

O morze zjawisk! Skąd ta noc i słota?
Była jutrznia i cisza, gdym był blizki brzegu:
Dziś, jakie fale, jaki wicher miota!
Nie można płynąć, cofnąć niepodobna biegu:
A więc porzucić korab żywota?

Szczęśliwy, czyjej przewodniczą łodzi
Cnota i piękność, niebieskie siostrzyce!
Gdy się noc zgęszcza, wzmagają powodzi:
Ta puhar daje, ta odsłania lice,
Tamtej widok oświeca, a tej nektar słodzi.

Szczęśliwy, samej kto ślubował cnocie!
Dopłynie, kędy sławy góruje opoka,
Balsam go rzymski ukrzepi w ochocie;
Ale jeżeli piękność nie zwróci nań oka,
Dopłynie we krwi i w pocie...

A komu piękność pokaże oblicze,
Potem wśród drogi zdradliwa odlata,
Nadziei z sobą mary unosząc zwodnicze:
Ach, jakaż później czczość w obszarach świata!
Już niedość krzepią i cnoty słodycze...

Zamiast piękności niebieskiego wschodu,
Walczyć z ustawną burzą, jęczeć pośród cienia;

Zamiast serc czułych, trącać o pierś z lodu,
Zamiast jej rączek, chwytać za ręce z kamienia,
I długo wśród takiego nie ustać zawodu?

Zawód tak trudny! zakończyć tak snadnie!
Nie będziem dłużej ćmieni, więcej kołatani...
Lecz wszystkoż z nami w tych falach przepadnie?
Czyli, kto raz wrzucony do tylu otchłani,
Nie zdoła z niej wylecieć, ani zginąć na dnie?

Co żyje, niknie: tak na mnie świat woła...
Za cóż głos ten wewnętrznej wiary nie wyziębi,
Że gwiazda ducha zagasnąć nie zdoła,
I raz rzucona krąży po niezmiernej głębi,
Póki czas wieczne toczyć będzie koła?

Któż krzyknął z lądu? Jakie słychać żale?
Wyż to, o bracia moi, przyjaciele moi,
Dotąd stoicie na nadbrzeżnej skale;
I tak się oko wasze znudzenia nie boi,
Że aż dotąd patrzycie na mnie i na fale?...

Jeśli się rzucę, kędy rozpacz ciska,
Będą łzy na szaleństwo, na niewdzięczność skarga,
Bo wam mniej widne te czarne chmurzyska,
Nie słychać zdala wichru, co tu liny targa,
Grom, co tu bije, dla was tylko błyska!

I razem ze mną, pod strzałami gromu,
Co czuję, inni uczuć chcieliby daremnie!
Sąd nasz, prócz Boga, nie dany nikomu;
Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie...
— Ja płynę dalej, wy idźcie do domu.

*Adam Mickiewicz.*

## NIENAWIDZĘ!

Nienawidzę tych ludzi, co w sobie
Nie mają ciepła,
Nienawidzę tych, którym się skrzepła
Skra w łonie,
Albowiem tu leżą, jak w grobie
Martwe kościska,
Zdaleka od słońca, co błyska
I płonie...
Napróżno ich w rannej godzinie
Do czynu budzić:
Gdzież im porywem pierś trudzić
Zwierzęcą!
Pigmeje w ślimaczej łupinie
Zakończą skrycie,
Gdy inni za prawdę swe życie
Poświęcą!

*Jan Kasprowicz.*

## W CIEMNOŚCI SCHODZI MOJA DUSZA...

W ciemności schodzi moja dusza,
W ciemności toń bezdenną,
Pól elizejskich już nie widzi,
Zawisła nad Gehenną.

W górze nad losem mojej duszy
Boleje anioł biały,

A tutaj szyki potępieńców
Szyderczo się zaśmiały.

Szydzą z mej duszy potępieńce,
Że cząstka jasnej mocy,
Co rodzi słońca, nie ma władzy,
By złamać berło nocy.

*Jan Kasprowicz.*

---

## SYN BÓLU.

Jemu od skroni wiatr włosy odegnał,
Gwiazdy ku niemu migały wesoło,
On stał na wietrze — a blade miał czoło,
I takiem okiem potaczał wokoło,
Jakby, konając, świat żegnał.

I z białą twarzą, jak posąg nagrobny,
On patrzał w niebo — a z bólu omdlewał,
A kiedy nocny chłód, co w nim powiewał,
Strzeźwił mu zmysły — on gwiazdom zaśpiewał,
A głos miał drżący, żałobny:

»I nigdyż ciszy nie znajdę dla serca,
Jak Arab w puszczy ku widmu ogrodu,
Stąpam pragnący w ramiona zawodu,
I tracąc wiarę, czyż mam już za młodu
Urągać jako bluźnierca?

Czego się dotknę, w ręku mi się kruszy,
Ciemnieje droga, kędy stopy zwrócę,

Blednieje gwiazda, gdy na nią wzrok rzucę,
Zmarłym nadziejom pieśń pogrzebu nucę
Z nową nadzieją w mej duszy.

I czuję niechęć ku dniowi białemu,
W ciemnej ustroni samotny usiadam
I stamtąd z jednym tylko Bogiem gadam:
Lżej mi, gdy duszę przed Nim wyspowiadam,
A jednak smutno samemu!

I znowu sercu ciąży jakieś brzemię —
Rwę się do świata, samotność mię nudzi.
»Tyś śpiewak ludu, więc idź między ludzi,
»O biedny ptaku! jeśli lot cię trudzi,
Zlatuj z błękitu na ziemię!«

To ziemia! ziemia! jaki gwar w tym wirze!
A gwar niesforny, a wir ciemny, mętny.
Rzucam się w niego miłością namiętny —
Obco w nim jakoś i chłodno — i smętny
Opieram głowę na lirze.

Śpiewać im będę — mam ja pieśni z nieba.
Słuchaj mię ludu, słuchaj!... Gdzież jest rzesza?
Ona wesoło do cyrku pośpiesza,
Tam gdzie ją skoczek najemny rozśmiesza:
Jej smutnej pieśni nie trzeba!

Więc jako pielgrzym, gdy między skałami
Zbłąkany spyta o drogę — i słucha,
A głos mu nazad powraca do ucha,
Nikt go nie słyszał! — i znów cisza głucha —
Jak on, zalałem się łzami.

Kilku zostało — na moją pieśń czeka —
Śpiewam! o! jak się im źrenice palą.

I płaczą ze mną, wraz ze mną się żalą...
Odeszli — jutro pieśniarza pochwalą,
Ale potępią człowieka.

Bo śpiewak, jeśli chce ujść od potwarzy,
Niechaj przed ludźmi stoi niewidomie,
A pieśń niech swoją zwiastuje im w gromie,
Niech ją jak morze rozleje w ogromie,
Niech ją jak wulkan rozżarzy.

I niechaj będzie, jako Bóg na niebie
Świętą tajnicą zakryty dla świata,
Bo człowiek nawet i Bogiem pomiata,
Jeśli w tym Bogu ujrzy swego brata
I podobnego do siebie.

A więc uciekam przed zawiścią braci,
I znów mię cisza grobowa oblega,
Gdy w serc tysiącu mój głos się rozlega,
Nie mam nikogo! — li po ścianach biega
Cień mojej własnej postaci.

Serce, którego uczuciem gorącem
Ludzkość, jak swoją własnością, frymarczy,
Nie może spocząć, gdy ból go obarczy,
Niby gladyator skrwawiony na tarczy,
Na drugiem sercu bijącem.

I wiecznie tęsknię za jakąś istotą,
Coby mą głowę do piersi stuliła,
I jako miękki powój się owiła
O moją duszę — i równą mi była
Sercem, natchnieniem i cnotą.

A jeśli wieniec cierniowy mi splotą,
A ból do grobu zepchnie mię przedwcześnie,

To żeby ona, złamana boleśnie,
Przy mojej urnie — świeciła mi we śnie
Jak anioł z koroną złotą.

Nieraz się rzucam zaślepiony w wierze,
Gdzie mię zawabi blask jasnego czoła,
Gdzie mię głos srebrny do siebie przywoła,
Zaczynam kochać — i zamiast anioła
Znajduję potem pół-zwierzę!

A jeśli kiedy szczęśliwym trafunkiem
Znajdę na świecie bliźnią duszę taką
Którą Bóg z moją tą samą oznaką
Związał i natchnął je myślą jednaką,
Świat je rozdzieli rachunkiem.

I wagą złota każdą duszę zważą
I pójdą w targi — kto da więcej za nią,
Każdą z osobna rozedrą, poranią,
I jak kwiat słaby skryją szklaną banią,
A potem zapomnieć każą.

O straszno patrzeć w dalszą drogę ciemną.
Codziennie oczy do światła otwierać,
By niemi tylko w noc czarną pozierać,
Cierpieć za życia, a w końcu umierać,
By nikt nie płakał nade mną.

A wszak do szczęścia równe miałem prawo
Razem z drugiemi; — za cóż mię Bóg karze?
Może w tej chwili, kiedy ja się skarżę,
On srogi wyrok zmienia dla mnie... marzę...
Ta gwiazda świeci tak mgławo...

Chcę się w nią wpatrzyć — niechaj oko wieszcze
Jasnym promieniem ciągle nad nią leci,

Jeśli ta blada gwiazda się roznieci
I nagłym blaskiem na niebie zaświeci —
To będę szczęśliwszym jeszcze«.

I patrzał w gwiazdę — czekał od niej hasła,
I patrzał długo nieruchomem okiem,
I drżał jak listek pod uczuć natłokiem,
I padł na ziemię, a gwiazda pomrokiem
Mgliła się, mgliła i zgasła.

*Kornel Ujejski.*

## BEZ GRANIC.

Potoki mają swe łoża
I mają granice morza
Dla swojej fali;
I góry, co toną w niebie,
Mają kres dany dla siebie,
Nie pójdą dalej!

Lecz serce, serce człowieka,
Wciąż w nieskończoność ucieka —
Przez łzy, tęsknoty, męczarnie —
I wierzy, że w swojem łonie
Przestrzeń i wieczność pochłonie
I niego całe ogarnie.

*El...y (Adam Asnyk).*

# ŚMIERĆ SŁOWIKA.

W drucianem więzieniu, gdzie kipi gwar miasta,
Zamknięto słowika!
Lecz chętka śpiewania tak wzrasta, tak wzrasta,
Że pierś mu przenika.
Och! niemasz tu cienia w olszynce, w leszczynie,
Co głowę osłoni!
Och! niemasz tu wtóru, bo strumyk nie płynie
Ze szmerem po błoni!
Och! niemasz tu lubej, dla którejby warto
Choć skonać wśród pieśni!
Nie można wylecieć na przestrzeń otwartą,
Bo klatka lot cieśni.
Tu, zamiast wietrzyka, o bruk koła grzmocą,
Aż trzęsą się ściany,
Tu kurzem osypie jadący karocą
Pan w złoto przybrany.
Tu, zamiast strumienia, tłum, płynąc jak woda,
I tętni i wrzeszczy!
Gdzie tutaj zacisze, gdzie tutaj swoboda,
By wydać głos wieszczy?
Aż chwieje się główka, aż pęka mu łono,
Kurzawa aż dusi,
Lecz kogo na świecie słowikiem stworzono,
Ten śpiewać już musi.
Poczyna piosenkę, w tony się rozpada,
Wygłasza swe żądze;
Gdy głuszy go ciągle przechodniów gromada,
Co liczy pieniądze.
Lecz silne, strzeliste śpiewanie słowicze
Przemagać poczyna.
Wóz tętni po bruku. »O ja go przekrzyczę!«
Tak myśli ptaszyna.

I nutą wciąż wyżej, a wyżej wystrzela,
Góruje głos młody.
Przypomniał swe chwile dawniejsze wesela,
Swe chwile swobody.
Przypomniał swój gaik i lube wieczory
Pod gęstą kaliną!
Przypomniał serdeczne, długie rozhowory
Ze swoją jedyną.
Jak, budząc się ze snu, przed jutrznią, przed słońcem,
W mgle rannej lał trele,
I głosem królując nad ptastwa tysiącem,
Był zawsze na czele.
»Przekrzyczę, prześpiewam niesforne te gwary,
Pomimo hałasu!
Do wyższej, do wyższej nastroję się wiary!«
Tak myślał syn lasu.
Lecz bardziej, o bardziej łoskotów grzmią krocie,
Bruk miejski wciąż dudni;
A jakby na przekor w ulicznej ciasnocie
I ludniej i ludniej.
Ów, drugi przechodzień swe kroki zatrzyma
I słucha pieśniarza.
Pochwała tem bardziej pierś jego rozdyma
I zapał rozżarza.
Niebaczny! twój tryumf opłacasz zbyt drogo,
Cóż ciżby brukowe?
Zdobędziesz ich oklask, lecz płakać nie mogą
Ich oczy matowe.
Słuchaczów, co płaczą łezkami rozkoszy,
Potrzeba ci właśnie;
Tyś nie znał oklasków, bywało cię spłoszy,
Kto w dłonie zaklaśnie.
Już ból wysilenia rwie piersi ptaszęce;
Skrzydełka omdlały...

On tego nie czuje, bo w swojej piosence,
Utopił się cały.
Całego słowika ogarnął szał pieśni,
Aż echem drga klatka;
Tem śpiewa donośniej, im cierpi boleśniej,
Z sił swoich ostatka.
A wozy wciąż huczą, a ciżba wciąż krzyczy,
Ci sobie, on sobie.
Aż pęknął od pienia gardziołek słowiczy
W ostatniej swej próbie.
Daremnie w swe drobne skrzydełka szeleszcze,
Chwieje się i słania,
Gorące serduszko zadrgało raz jeszcze,
Lecz taktem skonania.
I ten, co pieśniami górował nad knieją,
Tu zerwał swe siły;
A koła po bruku szyderczo się śmieją,
Że ptaszka zabiły.

*Władysław Syrokomla.*

## DZIEWCZYNA NA CMENTARZU.

NIEZNAJOMY.

Dziewczyno, nie chodź tędy o północnej dobie.
Co tobie jest do nocy? Do grobów co tobie?
W jednych wieczność z milczeniem, w drugich ciemność
[głucha:
Nie dla twego to oka, nie dla twego ucha.
Jesteś młoda i piękna, więc pewno wesoła,
Tutaj smutne obrazy i rozpacz dokoła

Dla ciebie głośne śmiechy, przyjemna zabawa.
Dla ciebie wonna róża wonią się napawa,
Dla ciebie skoczny taniec, srebrny głos muzyki,
Dla ciebie wieńce kwiatów i biesiad okrzyki,
Dla ciebie są klejnoty, perły, krepy, gazy...
Lecz zostaw nieszczęśliwym nieszczęścia obrazy —
Tyś jeszcze tak niewinna, jeszcze tak szczęśliwa,
Że nie pojmujesz smutku, co duszę przeszywa,
Gdy się do cierpiącego obojętny zbliży,
Nie znając jego cierpień... znieważy, poniży,
Odnowi dawną ranę, tysiąc innych zada,
Choć nie chce tego czynić, nic mu nie powiada...
Ale przyszedł z uśmiechem spokojnym na twarzy,
A w piersi nieszczęśliwej jad piekła się waży!

DZIEWCZYNA.

Ja... ja tu przyjść nie chciałam, lecz zmyliłam drogę.
Nocy, grobów się boję. Nie chcę i nie mogę
Dłużej zostać w tem miejscu, co mię tak przeraża...
Choć nie wiem, kogo moja przytomność obraża?...
To miejsce jest odludne, i o tej godzinie
Niema w niem nieszczęśliwych, żadna łza nie płynie.

NIEZNAJOMY.

Niema w niem nieszczęśliwych? więc na łzy się liczy
Srogie losu przygody i krople goryczy?
Och! dziewczyno, jeszczebyś najszczęśliwszą była,
Gdybyś każdy dzień życia nową łzą zrosiła...
Lecz patrz, jak grom pioruna strzaskał dąb zuchwały:
Jeszcze się pień pozostał, gałązki zostały,
Trochę więcej sczernione, ale one żyją,
Kołyszą chłodnym wiatrem, chłodną rosę piją...
Tylko, że już w pożywcze niezmieniona soki,
Ta rosa bujnych ramion nie wzniesie w obłoki,

Nie rozszerzy, jak dawniej, bo ogień zniszczenia
Nawet drogi dar niebios w nową boleść zmienia.
Czem jest rosa dla dębu, tem łzy dla człowieka,
Płacze on, gdy jest smutny, jednak szczęścia czeka,
Boleść jego nie przykra... łagodna... powolna,
Bo nadzieję i prawdę zastąpić jest zdolna.
Ach! ja, gdy mego życia przebiegam koleje,
Tego tylko żałuję... że już łez nie leję!!...

*Gabryela.*

# XII.

# JEREMIASZ.

Bo to mówi Pan: »Spustoszona będzie wszystka ziemia, wszakże końca jeszcze nie uczynię«.
*Jeremiasza. Proroctwo IV, 27.*

Przyszedł Chaldejczyk jak tygrys krwi chciwy,
I powlókł Judzki lud do Babilonu,
A Jeruzalem rozburzył i spalił.
Zamilknął prorok, jak łuk bez cięciwy,
Usiadł, dumając na gruzach Syonu
I jęknął czasem, gdy ból go rozżalił.

I zdjął dłoń z oka i w niebo zapłakał:
»Ludu mój, ludu! gdzieżeś ty się podział?
»Jakaż cię przepaść przede mną schowała?«
A nad nim orzeł libański zakrakał,
Co krwią ociekłem piórem się przyodział,
I w dziobie kawał niósł ludzkiego ciała.

I rzekł Jeremiasz: »Gdzie źródła Hesbonu,
»Wieczorna schadzka Izraela córek,
»Kędy pląsały one, jak gazele?«
I u stóp jego żałobnego tronu
Wybiegło w słońca blask dwoje jaszczurek
I wszczęło taniec w rozgrzanym popiele.

I zmartwiał prorok i dalej narzekał:
»O Panie! w czynach swych bądź pochwalonym,
Lecz gdzież Twój kościół, gdzie kapłanów hymny?«
A szakal w gruzach świątyni zaszczekał,
I na ołtarzu usiadłszy spalonym,
Zawył. Z ołtarza jeszcze szedł słup dymny.

I rzekł Jeremiasz: »Gdzież są wojownicy,
Gdzieżeś ty, królu, gdzie twoje hetmany?
Czy i w twej piersi tkwią wrogów oszczepy?«
A w tem nietoperz z przełomu ciemnicy
Wyleciał, piszcząc, i tłukł się o ściany,
I rwał się w pętach, jak Judzki król — ślepy!

A prorok, twarzą upadłszy na ziemię,
Ciałem złamany i duszą złamany,
Nie chciał już Boga o nic więcej pytać.
I w swojem sercu uczuł straszne brzemię —
I zdało mu się, że wszystkie szatany,
Zaczęły nad nim i śmiać się, i zgrzytać.

I odstąpiła go wszelka pokora,
I krzyknął w grozie: »Tyś Ojcem, Jehowo!
A własne syny wytępiłeś z szczętem!«
I spojrzał w górę. Zeschła sykomora
Z podartą korą, z potarganą głową,
Nad nim zwęglonym wahała się prętem.

A latorośli mnóstwo z jej korzenia
Pięło się w słońce zielono i zdrowo,
I ziemię, którą zniszczyła pożoga,
Znów świeżych liści wieńcami ocienia
I przyozdabia je nadzieją nową —
Ujrzał to prorok i pojął myśl Boga.

*Kornel Ujejski.*

## DO UKOCHANEJ.

Gdybym dziś, jutro, lub dnia z tych jakiego,
Nagle miał przenieść się do snu wiecznego,
Chciałbym spokojnie, lekko, bez boleści
Rozsnuć do świata wiążące mnie nicie,
Zniknąć bez śladu i przepaść bez wieści,
Jak łza w potoku, jak mgła na błękicie!
Lecz nim spór chwili wyrocznej przeminie,
Nim, skądem wyszedł, powrócę do Boga,
Chciałbym być z tobą w ostatniej godzinie,
I cicho konać na twych ręku, droga!

A gdy już zrzucę wszelkiej troski brzemię,
I ty me ciało będziesz kładła w ziemię,
Proszę cię, nie chcę dusznego sklepienia —
Klasztornych murów mieć nad mojem czołem!
Dość mi już było na świecie więzienia!
Śmierć niech łąk wolnych otoczy mnie kołem!
Gdzie na zielonem i otwartem polu,
Pod niebios wiecznie błękitnym pierścieniem,
Złóż moją głowę senną, pełną bolu,
I marmurowym przykryj ją kamieniem —
A marmur ochłódź wonnych krzewów cieniem.
Zasiej tam, zasadź bluszcze, rozchodniki,
Stulistne róże, podwójne gwoździki,
Niezapominajki i nieśmiertelniki,
Italskie mirty, podalpejskie dalie,
I borów naszych pamiątkę — konwalie!
Wszystkie, co kochasz i com ci przynosił;
Za życia kwiaty oddaj umarłemu!
Pomnij, żem o nie zasypiając prosił,
I rzuć je wieńcem na głowę śpiącemu!

Niech przytłoczony tym ostatnim darem,
Pchan coraz niżej tym kwiecia ciężarem,
W wieczność zapadam — aż w niej się przetworzę
Na drobne listki, gałązki, kielichy,
I z głębi grobu wyrosną — kwiat cichy,
I serce wonne przed tobą roztworzę!
Tak każdej wiosny, ócz wonnych tysiącem,
Będę wyzierał za śmierci okręgi,
I rósł tam jeszcze przy tobie, pod słońcem,
Stopy ci w miękkie obwiązując wstęgi...

*Zygmunt Krasiński.*

## MIŁOŚĆ DOSKONAŁA.

Ty szczęścia jasnym promieniem,
Ty wiecznie odżywczem tchnieniem,
Wśród życia naszego skwarnych lat,
Jak serce w łonie, ma cię świat!

Prawdziwa miłość nie podlega zmianie,
Żadnym się brakiem nigdy nie zniechęci;
W zaćmieniu szczęścia wierną nam zostanie,
W zawadach życia boleść nam uświęci.
Choć burze rykną, burzom się ostoi;
Choć czas ubiegnie, bieg czasu przetrzyma.
Rozstania, pracy, losu się nie boi,
Twarz ukochana zmarszczek dla niej niema —
Grób nawet nie ma poczucia utraty;
Bo dnia sądnego wyczeka do końca,

I za tym światem, nad wszystkimi światy,
Spłynie promieniem do słońc Bożych słońca!

*Gabryela.*

---

## UMARLI.

I oni w grzechach na ziemi tu żyli;
Po falach czasu przemknęli pocichu:
Wrzały ich głosy chwilę — i po chwili
Głucho i pusto — ni śladu, ni słychu;
Gdzież się podzieli — kto powiedzieć może?
Szczęśni, co zmarli w łasce Twej, o Boże!

Pokąd tu żyli z żądzami ziemskiemi,
Świat, który Chrystus przeklął — niby w dani,
Wielkość, rozkosze, wskazował im ziemi;
Mamił, aż znikli śród czasów otchłani:
Gdzież się podzieli — kto powiedzieć może?
Szczęśni, co zmarli w łasce Twej, o Boże!

Krzyż ponad światem — Krzyż Pański z daleka,
Jako ciemnościom światło udzielone,
Stał za wskazówkę na drodze człowieka.
Ale nie wszyscy patrzeli w tę stronę:
Gdzież się podzieli — kto powiedzieć może?
Szczęśni, co zmarli w łasce Twej, o Boże!

Byli mówiący: »Co znaczą w rozlewie
Wody te czasów? Co tam za żegluga!
My nic nie wiemy — i nikt o tem nie wie!«
Biada, o! biada, gwar ich brzmiał niedługo;

Gdzież się podzieli — kto powiedzieć może?
Szczęśni, co zmarli w łasce Twej, o Boże!

Byli znów insi, świątobliwsi, którym
Cuda się śniły. O! błogo — jak dzieci
Tu na wygnaniu, witali już chórem
Słońce śródniebne, co wieczność prześwieci;
Gdzież się podzieli — kto powiedzieć może?
Szczęśni, co zmarli w łasce Twej, o Boże!

Jak łódź na burzy, w bałwanów nacisku
Świat wszystek pędzi — co stanów! co młodzi!
O! łacniej zliczyć piaski w mórz łożysku,
Niż miliony, w które śmierć wciąż godzi;
Gdzież się podzieli — kto powiedzieć może?
Szczęśni, co zmarli w łasce Twej, o Boże!

I wiecznie, skądsiś z nieznanego brzega
Niby śpiew duchów w duszy się rozlega:
»Z głębi otchłani wołałem, o Panie!
Panie! na jęki, na modły skłoń ucho!
Nie karz za winy, bo któż się ostatnie?
Zgładź nieprawości świata naszą skruchą!«

»Ciebie, o Boże, chwalimy! i Ciebie
Pełna jest ziemia i pełne niebiosy,
Panie zastępów — święty, święty w niebie!«
I myż tam dążym — skąd lecą te głosy?
Gdzież się podziejem — kto powiedzieć może!
Szczęśni, gdy umrzem w łasce Twej, o Boże!

*Bohdan Zaleski.*

# DŻEB-EL-SZECH [1]).

Dżeb-el-Szech dumny, jak hodża Islamu,
Białym turbanem owinął swe czoło,
I ponad sady rozwinięte Szamu [2])
Ku Mekce zwrócon, pogląda wokoło.

Nad nim wieczysta groza tajemnicza,
On sam milczący, kamienny, lodowy,
Nawet gdy lato barwi swe oblicza,
On śniegów nigdy nie zdejmuje z głowy.

Jak go widziały pierwsze Sema syny,
Tak i dziś patrzy na pustyni spieki,
Tysiąca wieków pociekną godziny,
Takim ostatnie zobaczą go wieki.

Pierś jego w blizny szerokie podarta,
Starego świata pełna dzikich gruzów:
Tylko dla orłów zuchwałych otwarta,
Albo nad orły dla zuchwalszych Druzów.

Druz tylko jeden pnie się nad urwiska
Tam, aż pod turban Dżeb-el-Szecha biały,
I powróciwszy, z dumą w Szamie ciska
Trudem zdobyte turbana kawały.

Mistrz je Szerbetów w kryształowej czarze
Nosi po Szamie i dzwonkami wabi:
W strasznej pustyni konający skwarze
Śnią o tej czarze i dzwonkach Arabi.

---

[1]) Liban. [2]) *Szam*, po arabsku Damaszek.

Powieściom ludu jeśli dasz posłuchy,
Dżeb-el-Szech w morzu miał zamki z korali,
Na łożach z pereł poddane mu duchy
Śniły w sukienkach z szmaragdów, opali.

Lecz gdy na grzeszne plemię ręka Boża
Ognie siarczyste miotała Sodoma,
Taka potęga, mówią, była w gromie,
Że się zatrzęsło od niego dno morza.

Dżeb-el-Szech nagle porwał się na nogi,
Ciekawy, z morza pod niebo wyskoczył,
Straszny gniew Boży, kaźń Bożą, gdy zoczył,
Rażony grozą, okamieniał z trwogi.

Oto mijają za wiekami wieki,
Jak śnieg mu na skroń skamieniałą pada,
Lecz dzień ten chociaż od nas tak daleki,
Dżeb-el-Szech milcząc, swą przeszłość spowiada.

W olbrzymiej, sinej rozpadliny szybie,
Tu, owdzie skrzele Druz napotkał rybie,
I nieraz znosi konchy, morza dzieci,
Lub odłam głazu, w którym koral świeci.

Mówią, że Dżeb-el-Szecha bije serce,
Choć je odziały lody i opoki,
Że drży, gdy ludy, zaciekłe morderce,
Mordują w złości swe święte proroki.

Mówią, gdy gasło święte oko Issy [1]),
Piersi w głębokie rozpadły mu rysy,
A te nad czołem straszne rozpadliny
Są z dnia, gdy prorok zbieżał do Medyny.

---

[1]) Jezus.

Mówią hadżowie, że pomną noc starzy,
Gdy się Dżeb-el-Szech znów zabliźnił raną...

A dziś Dżeb-el-Szech grzesznym dla przestrogi
Potworne głazy, drżąc, zrzuca pod nogi,
My, patrząc z trwogą na spadłe olbrzymy,
Idziemy dalej i dalej grzeszymy.

*Karol Brzozowski.*

# SPIS RZECZY.

Str.

I.



II.

III.



IV.

Str.

VII.



VIII.

Str.

IX



X.



XI.

XII.

# SKOROWIDZ ALFABETYCZNY.